

WŁ. ST. REYMONT

ZA FRONTEM

NA NIEMCA — PĘKNIĘTY DZWON

— ORKA — DOŁA — WOŁANIE

— I WYNIĘŚLI — ZA FRONTEM

— ECHA — SKAZANIEC NR. 437



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ — KRAKÓW

— G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Redakcja jubileuszowej serii wydawniczej

Tadeusz Skoczek, Janusz Gmitruk

Komitet organizacyjny jubileuszu:

Krzysztof Bąkała, Janusz Gmitruk, Beata Michalec,

Tadeusz Samborski, Tadeusz Skoczek,

Bożena Żelazowska

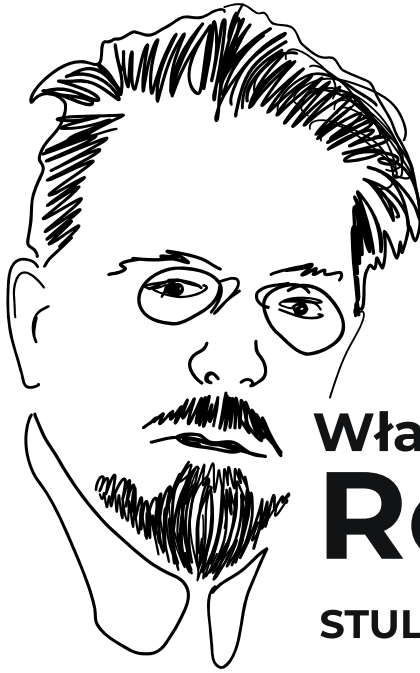
**MAZOWIECKIE CZYTANIE UTWORÓW W. S. REYMONTA
(2024)**

Patronat honorowy

Adam Struzik



Marszałek
Województwa
Mazowieckiego



Władysław Stanisław
Reymont

STULECIE NAGRODY NOBLA



Fundacja im.
Władysława Orkana

Władysław Stanisław
Reymont

— **ZA FRONTEM** —

Redaktor tomu oraz posłowie
Tadeusz Skoczek

Warszawa, 2024

ISBN 978-83-67398-96-1

Wydawnictwo Muzeum Niepodległości

(identyfikator wydawnictwa naukowego 42 700)

al. Solidarności 62; 00-240 Warszawa

wydawnictwo@muzn.pl

— SPIS TREŚCI —

s. 9

— NA NIEMCA —

s. 19

— PĘKNIĘTY DZWON —

s. 25

— ORKA —

s. 35

— DOLA —

s. 41

— WOŁANIE —

s. 47

— I WYNIĘŚLI —

s. 53

— ZA FRONTEM —

s. 133

— ECHA —

s. 139

— SKAZANIEC NR. 437 —

s. 181

— POSŁOWIE —

— NA NIEMCA! —

— Jakaś czwórka wali — zauważył Franek Kulesza, obcierając kosę.

— Kobierzycki dziedzic skręca do Charlupi — dorzuciła kobieta i, odłożywszy sierp, poszła, rozpinając stanik, do dziecka kwilącego pod krzakiem.

Franek zaostrzył kosę i, powłókłszy oczyma za powozem, ledwie widnym z kurzawy, zawołał niecierpliwie:

— Maryś, do wieczora niedaleko, a tyła jeszcze roboty! — I splunąwszy w garść, wparł się mocno w ziemię, przygiął i puścił kosę w zwartą, wyrośniętą ścianę pszenicy. Ciął zamasyście, półkoli-
stym, rozkolebanym ruchem, że zboże padało mu do nóg z sypkim chrzęstem złota. Kobieta szła w jego tropy i, podbierając sierpem nacięte garście, kładła je grubą warstwą w poprzek zagonu. Pracowali pośpiesznie, ze wszystkich sił i w nabożnym prawie skupieniu. Słońce doskwierało niemiłosiernie, zasię od zbóż i ziemi buchało jakoby z rozpalonego pieca. Najmniejszy powiew nie chłodził, pola lały w żarze ognistym, spiekota zapierała dech. Odpoczywali jednak z rzadka, tyle jeno, by grzbiet sprostować, kosę naostrzyć i jakieś słowo przemówić. W którejś chwili Franek, wykruszywszy kłós, odezwał się radośnie:

— Pszenica będzie sypała.

— Żydy się już o nią przewiadują. Judka powiedział, jako płaci po siedem.

— Oszukaniec, nie powącha mojego ziarna. Antoni daje po pół ósma.

— Da i po ośm za korzec, czysta kiej złoto, lepsza od dworskiej. Ale, wiesz to, że Stacho molestował dziedzica o te morgi na ogrodach?

— Na darmo, boć mnie sprzedać obiecał. Jużem się ugodził. Właśnie za pszenicę pieniądze pójdą na zadatek.

— I po całe trzysta rubli — westchnęła. — Laboga, czy aby poradzim! Już na nas wisi Józkowe tysiąc rubli, i Magdzina spłata, i w kasie dług...

— Da Pan Jezus zdrowie, uradzim wszystkiemu. Na dziesięciu morgach łącniej się wyrobić. Te dziedzicowe morgi wziąłbym pod buraki, sam mnie do tego namawia. Fabryka daje pożyczki na spłatę burakami.

— Wydolim to sami robocie?

— Dziewkę ci przynajmę — ozwał się łaskawie.

— Co lepsze, poleciało na Saksy. Ani chcą słuchać o służbie.

— Juści, kaźden szuka większego profitu. Ale może się jaka znajdzie.

— Wiem nawet o jednej w Rakowicach — podjęła żywo.

Nie słuchał. Żelazo świstało monotonna i ciężko padały podcięte kłosy.

— Wybrany czas na żniwa — szepnęła znowu po krótkiej przerwie.

Franek przykładał się do roboty coraz zapalczywiej, kosa zjadliwą błyskawicą migotała nad ziemią, pokładając równe, jakby mierzone garście.

— Na Kłockiem już prawie same ścierniska — zaczęła. — Nawiezą latoś do stodół, nawiezą. Od lat nie było takich urodzajów...

Nie odrzekł, ogarnąwszy jeno oczyma świat pełen zbóż, ludzi, stad, wozów, ciągnących z pól i kop, poustawianych na zagonach — kosił niestrudzenie. Mokra koszula przywierała mu do pleców, pot ściekał spod słomianego kapelusza i grzbiet dziwnie pękł z wysiłku, lecz ramiona, niby żelazne wahadła, nie folgowały w pracy ani na chwilę. Pola wznosiły się na wzgórze, do między szerokiej, nasadzonej kopcami, obrośniętymi tarniną; wyboista dróżka wiła się tam podwójną nicią kolein. Więc ile razy jej sięgał, prostował gnaty, ostrzył kosę, nabierał tchu i, zawróciwszy, nowy zagon zaczynał.

— Jęczmionom też pora, miejscami już się na pniu sypią.

— A nasz gąski niezgorzej przemłóciły — mruknął z przekąsem.

— Ino kawalátko za stodołą — tłumaczyła wystrachana. — Zna- rowiły się, że nie sposób upilnować. Wypierzą się, to sprzedam, spory grosz kapnie.

Wzruszył pogardliwie ramionami, a i nie czas było na swary, gdyż słońce kłoniło się coraz niżej. Dzień się już miał ku zachodowi, ziemie głośniały, jak zwyczajnie na żniwnem odwieczerzu. Pola, pokryte ludzkim mrowiem, zaczynały wrzeć przeróżnymi głosami. Żary były jeszcze od spieczonej ziemi, od zbóż żrałych i ciężarnych pełnymi kłosami, ale już wesole śpiewki podnosiły się rozgłośniej nad zagonami, wybuchały jazgotliwe pokrzyki dzieci. W ścierniskach zagrały brzękliwe kapele koników polnych; suche dźwięki nakowywanych kos przesywały jakby nożami, turkotały wozy, toczące się ciężko do stodół, a nisko, nad ziemią rozgłaszał się warkot żniwiarek dworskich, których ramiona wyblyskiwały raz po raz zębatymi śmigami. Nad omdlałymi w upale drogami snuły się kłęby złotawej kurzawy. Tu i owdzie wzorzyste, przyodziewy kobiet wykwiwały ze złotych łąnów pszenicy. Stada wróblej hołoty

nosiły się z wrzaskiem po ściętych garściach. Gdzie wystraszony zając rwał spod nóg żniwiarzy, wśród krzyków i naszczekiwania psów. Gęsi odzywały się znad strumieni, co srebrzystymi nićmi wlokły się wskroś zielonych łąk i pastwisk zrudziałych. Niebo wisiało bez chmur, błękitne, czyste i wysokie: świegotały szalejące jaskółki, a od przywiedłego zapachu zbóż i traw aż dech zapierało z lubości. Oczy niosły się daleko, po ziemiach wzgórzystych i rodnych, po wsiach prawie niewidnych w zielonych groblach sadów, z których jeno gdzieniegdzie wyrywały się czerwone dachy, białe ściany, a złote krzyże kościołów polśniewały żywymi płomieniami. Jakiś dwór, pański na wzgórzu, pod strażą drzew niebotycznych, grał w słońcu oknami. Niekiedy głucho dudniła ziemia, leciał przesywający świst i pociąg długi, niby wąż, przeslizgiwał się między wzgórzami, pozostawiając za sobą warkocz białawych dymów.

Kraj był cudny, rozległy, owiany tchnieniem głębokiego spokoju i uroczystej pracy żniw oddany. Jakoby bowiem msza odprawowała się na tych nieobjętych polach od rana do wieczora, przydzwaniały jej kosy, celebrowało słońce, a służył wszystek naród w znojmym, radosnym trudzie. Rok był wyjątkowo urodzajny i pogody sprzyjały żniwom. Przednówek się skończył, troski odeszły na bory i lasy, naród radośnie podnosił uciemnione głowy, radość promieniała w oczach i serca rozpierało poczucie dosytu i szczęsnego spokoju. Więc nadchodzący wieczór po ciężkiej pracy witano dziękczynieniem. Już przygasało słońce, blade mgiełki jęły zaciągać się nad polami, docinano ostatnich pokosów, ostatnie snopy ustawiano na zagonach i ostatnie wozy ładowano, gdy na dróżce, biegnącej miedzą po wzgórzu, zaturkotała jakaś bryka.

— Wójt jedzie — szepnęła Frankowa, prostując utrudzony grzbiet.

— A niechta jedzie — odparł, nie podnosząc oczu od kosy.

Przyczichnął naraz turkot i wójt zawołał:

— Kulesza, chodźcie-no, pilna sprawa.

Wziął kosę na ramię i podszedł nieco zaniepokojony.

— Ino świt, musicie stawić się do powiatu. Sołtys was powiezie.

— Na manewra wołają, czy co?

— Wojna! Zapasowych z czterech lat biorą. Co tylko papier dostałem.

— Jezus, Marya, Józefie święty! — jęknęła kobieta, chwytając się za głowę.

— Wojna — powtórzył głucho — wojna! — Serce mu z nagłą przestało bić.

— Z Niemcem. A nie spóźnij się, bo sztraf — upominał, podcinając konie. Pojechał dalej, przystając co kilkanaście zagonów, i nadbiegającym ludziom rzucał tę wieść straszliwą. Jakoby gromem roznosiła się po polach. Ludzie kamienieli w zgrozie, stawali bezradni, niemi, bez tchu. Musiał powtarzać, nim zrozumieli nowinę. Płacze wybuchały. Omroczyły się nagle serca i trwoga chwyciła za gardła. Zgniłe tchnienie nieszczęścia zwarzyło bujne, radosne przed chwilą życie. Przed wylękłymi oczami rozwarły się naraz przepaście i groby. Śmierć szła ku nim twardym, nieubłaganym krokiem. Słońce już zachodziło, pół nieba stanęło w łunach i zrumieniło świat, wszystkie wody zdały się płonąć żywą krwią człowieczą.

Wracali do wsi podobni zmartwiałym bryłom, ciężko i powolnie.

Ucichły gwary, pogasły śpiewki, w bolesną zadumę spowiły się dusze, lęk wyzierał z oczów i w sercach rosła niewypowiedziana straszność.

— Wojna! — szeptały pobladłe wargi. — Wojna! — powtórzyły trwożne echa — wojna!

Franek powracał z drugimi. Kobieta, przytulając dziecko, zanosła się coraz boleśniejszym płaczem. Męża jej brali! Ojca dzieci, gospodarza!

— O Jezu miłosierny! O Jezu litościwy! — lamentowała żałośliwie.

— Cicho! Płakaniem nie poradzi! — rzucał gniewnie i choć głowę podnosił hardo, dygotał w sobie, zmagający go troski żrące i złe przeczucia.

Wieś przepelniła się po wręby. Krwawe zorze zachodu dogasały; nadchodziła krótka lipcowa noc, upalna i przejęta zapachami pożytych zbóż. Ziemie oblekły się mrokiem i cichością odpoczywania. Po jasnym, wysokim niebie przelatowały spadające gwiazdy, niby głuche pioruny. Wieś zapadała w ciemnych chmurach sadów i niepokojącym milczeniu, że ptak nie zaćwierkał, nawet psy nie naszczekiwały, a ludzie w posepnym oniemieniu snuli się po drodze, podobni znikomym, szarym ceniom. Z domów poukrywanych w gąszczach sączyły się światełka, jak zgorączkowane spojrzenia, niekiedy wydzierały się krótkie lamenty lub żałosne płacze. Wszyscy bowiem czuli się jak struci, ani komu smakowało jadło, ni szła robota, zasię udręka coraz srożej trapiła. Rzucali więc wszystko i szli do sołtysa, gdzie na ganku, przy widnej lampie ktoś głośno odczytywał mobilizacyjne wezwanie. Wzdychali ciężko, przestępując z nogi na nogę, aż Franek Kulesza pierwszy rzekł:

— Nie ma co, zwołują nas na wojnę! — Powiódł oczyma po towarzyszach. Stali pobok w kupie, siedmiu ich było: chłopcy młode, dorodne, o żołnierskich postawach, jasnych oczach i suchych twarzach. Wszystko już na swoim, na dorobku, żeniate i ojce dzieciom. Trzymali się hardo, nie dając poznać, co się tam w nich wyrabia. Cała wieś patrzyła na nich. Jakieś kobiety, zanosły się ciężkim szlochem. Grobowe milczenie przerwał Józek Bednarek:

— Potrzeba iść, to pójdziemy. Przysięgalim! — Rozłożył ręce.

— Raz kozie śmierć! — wyrwał się drugi. — Każą bić, to będziemy prali.

— Nim go dosięgniesz, to ci pierw flaki wypruje — szepnął ktoś złowróźnie.

— A ze wsi kamienia na kamieniu nie zostawi.

— Na polski naród zawzięty, jak nikt drugi na świecie.

— Cóżby ta szczególniejszego upatrzył sobie do nas? — wątpił któryś ze starszych.

— Nie wiecie, co wyrabiają z naszymi w Prusach? — zawarczał groźnie Kulesza. — Chałupy ci nie dadzą postawić na swoim własnym gruncie, pacierza nie pozwolą po polsku i, jak się im spodoba, z ostatniego zagona cię wywłaszczą. A chcesz w sądach dochodzić sprawiedliwości, kryminal wygrasz co najwyżej. Wojnę teraz robią z naszym, bo na ziemię łakomi, ciasno im u siebie i nie ma kto na nich robić. Radziby darmo żywić się naszą krwawicą. Niech jeno przyjdą, zobaczycie, co tu będą wyrabiali. Dziedzic, ksiądz czy chłop zarówno im jeden, bo jeśli tylko Polak i katolik, za psa go nie uważają. Tyle lat chodziłem na saksy, to ich spenetrowałem.

— Naszą krzywdą stoją, ostatnie siły z narodu wyciągają.

— Żeby nie nasza robota, źreć by nie mieli co.

— I spanoszyli się na naszej pracy. A jak to nas uważają! Co słowo, to cię taki od polskich świń przeżywa; upomnisz się o swoje, ziandarma woła, do kozy wsadza i ciężko zarobionego grosza nie odda! Wilki zapowietrzzone, wilki!

— Ludzie, pora spać — zabrał głos sołtys. — O świecie musimy ruszyć do Sieradza.

Rozeszli się do domów, jeno poborowi radzili czas jakiś pod chałupą Kuleszy, wspominając krzywdy wycierpiane i upokorzenia,

że w sercach rosła zawziętość i głuche pragnienie pomsty. Rozdrażniali się aż do dygotliwego wrzenia i wściekłości. A teraz spada znowu na nich ta wojna. Żniwa w pełni, tyle roboty i trzeba rzucać wszystko i iść! Dlaczego? Że tym zbójom chce się cudzego! Niedoczekanie wasze! Zaciskały się pięście, płonęły groźnie oczy i serca rozpierało pragnienie walki.

— Trzeba ich tak zbić, żeby się nie było po co schylać — mruknął Bednarek.

— Człowiek nie doje, nie dośpi, haruje jak wół i jak może ogania się przed biedą, a tu przyjdzie wróg i gotów wszystko stratować i spalić...

— I na nic twoja praca, na nic zabiegi, na nic wszystko...

— Czemuż to tak, mój Jezu, czemu? — padały jęklive słowa skarg. Strach przejmował nie to przed śmiercią i ranami, a jeno przed jakąś nieubłaganą dolą, jaka się na nich zwałała...

Noc była późna, gwiazdy obficie zrosiły niebo, kożuchy mgieł bieleły się nad łąkami, a pierwsze koguty zaczęły pisać, gdy Kulesza, wskazując na lecącą gwiazdę, szepnął ze ściśniętym sercem:

— Może to spada moja gwiazda...

— Bogu jednemu wiadomo, któren z nas powróci... — jęknął któryś trwożnie.

Rozeszli się zaraz. Franek usnął natychmiast, żona, po drugiej stronie domu, popłakując i modląc się na przemiany, szykowała mu na drogę węzełki. Na świtaniu, na turkot zajeżdżającej podwozdy, Kulesza zerwał się z łóżka i poszedł, jak zwyczajnie, obrządzać inwentarze. Nie szło mu jednak, robota leciała z rąk, kręcił się, nie wiedząc do czego się prędzej brać.

Skończyło się na tym, że pogłaskał kobyłę, aż zarżała, chwytając go pieszczotliwie wargami za ramię, poklepał wypasione boki

krowom, zajął do maciory, nawet gęsiom, siedzącym w sadzie, rzucił dobre spojrzenie i wyszedł w pole za stodołę. Stary Kruczek włókł się za nim krok w krok. Wcześniej jeszcze było, przed słońcem, świt dopiero bieleł ziemię, pokryte ciężką rosą. Jęczmiona miał tuż przed sobą, obok zielone pole kartofli, niedojrzałe owsy polśniewały orosiałymi kiściami, zagony prosa, kawał nasiennej koniczyny, wyrosniętej jak bór, żytnie ścierniska, a za nimi het pod wzgórze rudziały pokosy pszenicy, wczoraj pociętej... Brał w siebie ten luby obraz, jakby konającymi oczyma, na wieki. Przecież ten szmat ziemi był mu wszystkim, chlebem i pacierzem, kołyską i całym żywotem. Z każdą grudką tej ziemi czuł się zrosniętym tysiącnymi korzeniami. A wojna wyrwywa go z matczynej łona i żenie precz, na zatracenie. Oczy mu się zamgliły, ledwie powstrzymał krzyk bólu, jakby mu szarpało wnętrzności.

— Psiekrwie! Zbóje zapowietrzone! — Złość go oślepiła, byłby pazurami rwał na sztuki pierwszego spotkanego wroga, żona stanęła przy nim. — Maryś — podjął, siląc się na spokój — przynajmniej a pośpieszaj ze żniwami. Florka zgódź do służby, przyda się w chałupie. A co tylko zbierzesz zapasu w ziarnie czy pieniądzech, zakop głęboko w ziemię. Te niemieckie wilki gotowe wydrzeć ostatni kawałek chleba. Mój Boże — westchnął żałośnie — wczoraj człowiek układał sobie na życie, a jutro może już gryźć ziemię.

— Franek, laboga! Franek! — buchnęła płaczem, rzucając mu się na piersi.

— Nie becz! Zapłacimy ścierwom za wszystko, zapłacimy! — obiecywał zapamiętałe, lecz do śniadania usiadł chmurny. Kobieta chlipała z cicha, dzieci kwiliły po kątach, w chałupie zrobiło się strasznie, jakby kto umierał. A kiedy sołtys zawołał, że czas, sądny dzień się zrobił. Nie było końca szlochom i krzykom.

— Pilnuj mi tu dzieci i gospodarstwa, zdaję wszystko na twoją głowę — powiedział na pożegnanie, wsiadając na wóz. Towarzysze już czekali. Cała wieś zebrała się przy nich. Wozy ruszyły z wolna, bo jeszcze każdy miał jakieś słowo ostatnie do rzucenia. Płacz ich przeprowadzał, kobiety ryczały w niebogłoso, niektórym nawet ze starych łzy kapały z oczu. Jeno poborowi nadrabiali minami, hardo i z góry spoglądając, zasię Józek Bednarek, żeby zagłuszyć babie lamenty a może i własne udręki, urznął wściekłego obertasa i przyśpiewywał.

Za wsią pod krzyżem, gdzie droga skręcała do miasta i trzeba się było pożegnać, uczynił się taki lament i krzyk, że sołtys kazał prędzej ruszać. Kulesza wstrzymał wóz i jeszcze zdążył zawołać do żony:

— A dół na ziemniaki wybierz za stodołą. Tam górka, woda nie podciągnie.

Konie ruszyły z kopyta i nie upłynęło Zdrowaś, wozy przepadły w tumanach kurzawy, słyhać było jeno harmonijkę Bednarka i jego śpiewania.

Właśnie i słońce wschodziło promienne i całe w szkarłatach, rumieniły się rosy, zaszemrały zboża, zagrały spod mgieł strumienie, ozwały się ptaki, a wszystkim światem powiał radosny głos dnia. Zasię w tych różanych jasnościach poranku, drogami od wschodu i zachodu, od południa i północy, turkotały wozy, płynęła nieskończona fala ludu, a wraz z ziemi podnosił się i grzmiał coraz potężniej ogromny głos:

— Na wroga! Na wroga!



— PĘKNIĘTY DZWON —

Hen, gdzieś, w jakimś kraju dalekim, za siedmioma morzami, na górze straszliwie dzikiej i nieba sięgającej, na wieży, co, niby skamieniała pięść, groziła przelatującym chmurom, wisiał dzwon pęknięty na trzy części i z sercem wydartym.

Wisiał dzwon pęknięty, dusza zabitego narodu.

Jak trup żałosny, wisiał w niemocie i opuszczeniu.

Przed wiekami to było, przed prawiekami, gdzieś, za ludzką pamięcią. Wiedziały jeno o nim podania, pieśń o nim szła z pokolenia w pokolenie, roiły sny młodzieńcze i starców trwożne szeptania przedzgonne.

I wiedział królewski ptak, siwy orzeł, prawieczny strażnik pomarłych wieków.

Góra wynosiła się samotnie, niby wyspa na morzu wiecznych mgieł, milczenia i mroków. Nigdy nie wschodziło nad nią słońce, stała jak grób umarły. Nie biły w nią pioruny, nie huczały nad nią wichry, omijali ją nawet ptakowie. A miasto traw i kwiatów, pokrywały zbielełe kości jakichś niepamiętnych wojów i rdzawe strugi krwi zakrzepłej.

I wieczne, trupie milczenie, pękniętego dzwonu posępne milczenie...

Zasię niekiedy, raz na sto lat, zrywał się królewski ptak i cichym lotem płynął w niziny, za mgieł granice, w słoneczne żary, w życiowy gwar.

Od sinych gór aż po bursztynem dzwoniące fale morza leżały ziemie ogromne, gdzie nigdy nie obsychały łązy, gdzie niema rozpacz siedziała na progach chat, gdzie na rozstajach Chrystusy ociekały żywą krwią męczeństwa i jęk był codziennym pacierzem żywota...

Drzewiej tu było inaczej, inaczej. Kiedyś, przed dawnymi laty ziemie te miodem płynęły i mlekiem. Miały grody wspaniałe i zamki strzeliste. Rycerzy miały walecznych i piękne królowny. Z litego złota gonty i srebra kowane. I ryby w rzekach, i zwierza w kniejach, i skarbów wszelakich pełne komory.

Od sinych gór po bursztynem dzwoniące fale szczęście mieszkało człowiecze.

Pieśni nie milkły, nie ustawało wesele. Nie wiedziano co strach i niedola. I łez nie znano. Fałsz się nie plenił, ni zdrada. Święty dzwon co dnia bił wieść słoneczną, Boga dobrego głosił wspaniałość i wszystkim stworom szczęście zwiastował. On złe przemagał swym świętym dźwiękiem, duszą był żywą narodu, modlitwą jego, żywota nieśmiertelnym głosem.

Aż uderzyła przeznaczeń straszna godzina. Złe moce wojnę wydały.

Nieszczęścia ślepy cios się zwalił. Zadrżały serca od zgrozy. Wróg wdarł się w otwarte granice, mieczem pobił niewinne i ogniem się srożył.

Uderzył święty dzwon na trwogę. Królewski ptak zakrzyczał na bój.

Jak jeden stanęły wojów kohorty. Kurzawa krwi przysłoniła słońce. Szczęk mieczów zgłuszył pioruny. Huf serc żelaznych i ramion zwarł się dokoła góry samotnej. Dzwonu, swej duszy, bronili mocą rozpacz. Pługawym siłom dawali krwawą odprawę. Z nawałą szatanów walczyli.

Z północy hordy płynęły rzekami, ze wschodu Tatar uderzał okrutny; z zachodu sąsiad nikczemny; z południa zwierzów zwścieklonych zastępy.

I niby fale spiętrzone runęły. I niby orkan piorunów uderzały. Czerwona, krwawa hostia słońca zagasła w odmęcie. Padły obrońce! Przemogły szatańskie moce. Sądny dzień nastał. Pociętych wojów krukom rzucono na żer. Zburzono grody wyniosłe i chramy, w pęta lud mnogi pobrano.

Święty dzwon zamilkł na wieki, wydarto mu serce, rozbito.

Nieszczęście siadło królować na smętarzyskach, trupom i mogiłom. O dolo człowiecza, dolo żalosna, dolo nieprześlągana! Ni pieśń wyśpiewa okrutność twoją, ni rozum pojmie, ni serce zdzierzy twe ciosy srogie.

Od sinych gór po bursztynem dzwoniące fale noc się żalobna zasłała, milczenie mogił, opary płaczów i bólów żrące rany.

Umarła radość, umarło szczęście, umarła wielkość i chwała.

Przechodził czas. Płynęły wieki jak chmury z obcych, dalekich stron, co echem ech przynoszą wieść umarłą, praojców głos nieznan i niepojety... Na sto lat raz królewski ptak uderzał krzykiem — surmy bojowej krzykiem ogromnym:

»Kto jeno żyw, niech wstanie, podniesie miecz, na czyn się waży. Pęknięty dzwon zahuczał! Zmartwychpowstania ziści się cud!«

Na odzew jeno brzęk kajdan z nizin zagadał, skarga bezsilna i pogrzebowe lamenty. Bez echa leciał orłowy krzyk, w pustce się głosił. Ktoś jeno oczy podnosił zdumione za cieniem skrzydeł olbrzymich, ktoś żegnał się trwożnie przed marą, ktoś rzucał kamieniem...

Nie drgnęły już serca niewolą zatrute. Umiłowali kazamat ciemnice, straszne im były słoneczne blaski, niezrozumiałą pieśń bojów.

Odlatywał ptak na górę samotną, na niemym dzwonie przysiadł i dumął dumy posępne. I czekał kresu przeznaczeń strażnik niezłomny.

Zarosły groby, bluszcze zwieńczyły ruiny, wyschły źródła gorzkich łez, przeszłość odeszła w dał siną. Nawykli kajdan. Rycerzów syny odrodne przed wrogiem były pokłony. Za ochłap życia strój obcy wzięli i wiarę, nowym się panom stali opoką, lud w uległości ćwiczyl. Brzęk złota pieśnią stał się nowego żywota. Jarmarcznym swarem karmiły się rzesze. Mędrce cielątek pisali herbarze, Bogiem głosili zyski plugawe, miasto ołtarzów kramy wznosili. Uczeni w piśmie nad rozkopaną mogiłą zasiedli, a jadem grobów zatruci, mówili: umarła! oplwali trupa, królewskie szaty zeń zwlekli, nożem rozumów i pychy krajali. Nawet imienia się zrzekli, nawet już pieśni o zmarłej wzbranieli: umarła na wieki! — uczyli.

O, nie umarła! W sercach maluczkich tała żywot swój wieczny. Pod niską strzechą miała świątynię i wiernych. Czcili jej imię zgłodniałe rzesze, wydziedziczonych była pacierzem nadziei, dusz zrozpaczonych wiarą jedyną i mocą. W tajonych pieśniach głos jej przemawiał potężny. Przez wieki ciemne i straszne jako pochodnia jaśniała bezdomnym. Pokoleń łańcuch niósł ją pokoleniom. Głosiły o niej puszczy dzikich ostępy, zapadłe groby, nieczytelne runy. Śpiewała ziemia, okuta w niewolę... Śpiewały wody spleśniałe. Wichry wiosenne wieść o niej nosiły. Stygmaty kładła na czoła wybrane. I żyła wielka, nieśmiertelna, święta!

Aż przeznaczenia przyszedł kres, nowe się lata zaczęły, znowu królewski ptak zakrzyczał, surmy bojowej krzykiem ogromnym:

»Kto jeno żyw, niech wstanie, podniesie miecz, na czyn się waży. Pęknięty dzwon zahucz, zmartwychwstania mści się cud!«

Od sinych gór po bursztynem dzwoniące fale zadrgały serca.

Z przyziemnych siedzib porwał się bojów huf, a przodem leciał królewski ptak na krwawych zorzach rozpięty.

Uderzyć w dzwon! Uderzyć w dzwon! Cud zmartwychwstania się ziści!

Runęli w bój i śmierć, poszli kupić zwycięstwo!

Na trupie trup się piętrzy, krew potokami się leje, huragan bojów się miota. Obca im trwoga, niestraszna śmierć, ni wraże zastępy.

Jako lwy walczą... Cóż, że ich garść, wiara im daje nadludzką moc. Nadzieja żywi zwycięstwa. Przeparli rabów kohorty, przemogli szatańskie moce, po wałach trupów drą się na górę, pod wieżę...

Uderzyć w dzwon! Uderzyć w dzwon! Cud zmartwychwstania się ziści!

Dosięgli skarbu, już rąk tysiące targnęło śpiż, już krzyk zwycięstwa uderzył w niebo, już wrogów serca upadły.

Dzwon nie zahuczał, serce miał wydarte, był na trzy części pęknięty! Jakoby w otchłań, w dzwon się rzucili; w spękany kielich śpiżowy rozpaczonym miotem serc zadzwonili, ciał swoich mocą, szalem uniesień i krwi ofiarnej potokiem wrzącym.

Zagadał głucho, jakby zza grobów echem nadziei.

Za tysiącami poszły tysiące, a każdy śmiercią własną uderzał w spękane, nieme śpiże. Cały się naród uwiesił dzwonu. Cały się naród zwarł przy tym znaku. Cały się naród przemienił w ciosy. Zaś ptak królewski wciąż wołał — surmy bojowej głosem ogromnym:

»Uderzyć w dzwon! Uderzyć w dzwon! Cud zmartwychwstania się ziści!«

Za tysiącami poszły tysiące na krwawą pracę zbawienia. Po trupach ojców syny się parły złym mocom wydrzeć zwycięstwo. Ilu tam padło, Bóg jeden wie i matki dzieci rodzące.

Ale przemogli! Rzeki ofiarnie wylanej krwi stopiły śpiże spękane,
ziścił się cud, głosem zwycięstwa zahuczał dzwon!

Opadły więzy, opadły mroki, rozbłysło słońce wolności. Od si-
nych gór po bursztynem dzwoniące fale bił dzwonu głos nie-
śmiertelny, zmartwychpowstania zwiastował cud. Na nowy żywot
zwoływał.



2 października 1914

— ORKA —

W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego! — wyrzekł uroczyście chłop i przeżegnawszy się z namaszczeniem, ujął za pług. — Wio! Powoluśko a krzepko! Smagnął batem z przyzwyczajenia. Pług zaprzężony w krowę i troje ludzi, werznął się w ziemię i odwałł czarną, lśniącą skibę. Grunt był ciężki, stare koniczynisko wytarte do ostatniego ździebła i ubite niby klepisko, że chociaż pług szedł płytko, skiba kładła się ostro, nastroszona.

Starucha ledwie kształtem dająca pozór człowieczy rozbijała motyczką twarde grudy, kilka wron podskakiwało za nią, wybierając z bruzdy pędraki.

Orka szła niezmiernie ciężko i powoli, pług był stary, na kółkach i zaprzęg lichy: w pierwszą parę ciągnęła kobieta z krową złączona wspólnym, drewnianym jarzmem, zaś na przedzie, zaprzężeni w rodzaj szorów, mozolili się rosła dziewczyna z chłopakiem. Krowa była jeno szkieletem, obciągniętym poszerzeniałą skórą, a ludzie zaledwie cieniami. Długi uparty głód jednako wyzierał im z oczów; okryci w łachmany, wynędzniali, bosci ciągnęli jednak zgodnie bez skarg i wyrzekań, przyginając się w strasznym wysiłku do ziemi, a z taką mocą, że trzeszczały orczyki i postronki.

— Choćby ta spyskać ze trzy albo cztery morgi! — marzył głośno chłop, ledwie się wlekący za pługiem. Baranicę miał na łbie, strzępy kożucha na plecach i chore nogi okręcone w szmaty. Żyto niegorzej ruszyło — spojrzął na zielonawe zagony pobok rozciągnięte

— ziemniaków się nasadzi pod motyczkę, jęczmienia wsieje, ze ćwiartkę grochu, to się jakoś przy boskiej pomocy, przebiduje! Wio! Wio! Zachęcał pchając usilnie pług.

— I pod len trza by parę zagonów i pod kapustę! Przypomniała cicho dziewczyna.

— A nie zabrali to siemienia? — wtrąciła kobieta. — Trzymałam na siew i na tę kapkę oleju! Dobrali się kieby do miodu! Próżna mar-nacyja wszystko i tyła!

— Na deszcz się znowu zbiera! Mówiłem ci Magduś, spuść wody ze żyta, wygniło przy bruzdach. Ani chybi że idzie deszcz! Zagady-wał żonine wspominki.

Jakoż kwietniowy poranek, chociaż się był podniósł pogodny i ja-sny, schmurzał się i posepniał, blade słońce przezierało z oparów niby opłatek. Szare, omglone równie roztaczały się dokoła, jak tylko było można sięgnąć okiem, jeno tu i owdzie naznaczone siwymi płachtami rozlewisk i kępami drzew. Pierwsza wiosna zaledwie tknęła ziemię: już puszczały wierzby, po łąkach żółciły się kaczeń-ce, na rowach otwierały oczy stokrotki, oziminy nabierały zieleni, a skowronki od świtu do nocy wyśpiewywały, ale na polach było jeszcze szaro, pusto i dziwnie smutnie. Nie było wesela w sercach ludzkich i cmentarna cichość unosiła się nad światem.

— Kto jeno żyw wychodzi na robotę! — zauważył chłop, gdy do-sięgnąwszy granicy, nawrócili ku wsi. Nikt nie odpowiedział, dy-szeli, przykucnąwszy na miedzy.

— I na dworskiem robią! Całe cztery pary, dopiero ci parada! — szepnął z politowaniem.

— Nie frasuj się o dziedzicową skórę, poradzi sobie — mruknę-ła kobieta. — Jeszcze chłopom nakażą mu pomagać przy orce. A jak to było we żniwa? Gniew ją przejmował.

— Było tak, juści, nie za darmo przecież, płacili...

— Co im się spodobało! A przymuszali pomagać dworom, jak za pańszczyznę — przypominała.

— I szkoda czasu! Ciągnijta! Tomek już jęczmień bronują! — uważał, patrząc na lewo.

— Podorał na zimę, to teraz sobie pan i w krowę poradzi. A nie molestowałam cię to świętymi słowami: Wojtek orz! Koń był i czasu miałaś dosyć. Wolaleś na jarmarki jeździć i po karczmach się uradzać z łajdusami, a teraz we mnie i dzieci orzesz! Kieby w bydlęta!

— Twoja prawda żono, twoja — przyznawał pokornie. — Śmierci bym się pierwiej spodziewał, niżli tego, że na wiosnę konia miał nie będę. Śmierci! — zajęczał boleśnie. Zmierzali się ku wsi. Rozciągnęła się w poprzek pól, na łagodnym skłonie pod słońce leżała grobla sadów, z których gęsto sterczały nagie kominy, zręby spalonych chałup i rumowisk budynków. Połowa wsi leżała w gruzach. Dwór, stojący na prawo za wielkim stawem, czerniał się kupą rozbitych ścian, cegły i połamanych dachów, zaś z ogromnego parku pozostały jeno żalosne kikuty postrzelanych drzew, jakoby pięście grożące niebu. Wojna przeciągnęła tędy i na każdym miejscu znaczyły się ślady jej nieubłaganych pazurów. Poszarpała wsie, wyłamała lasy, stratowała pola i na rodnych ziemiach pozostawiła plugawe, żółte groble okopów i nieskończone rzędy mogiłek, obsadzonych białymi drzewami krzyżów.

— Wawrzon orzą we dwie krowy — zagadał chłopak, przystając przy tej okazji.

— Patrz roboty a nie cudzych ogonów — posłyszał odpowiedź wraz z poświstem bata.

Przymilkli, ciągnąc pług niestrudzenie, a uważając, jako wkrótce za nimi cała wieś wyszła na robotę i już na każdym poletku

ktoś się ruszał. W szarym, przemglonym powietrzu gmerali się jako te mrówki cicho, z wolna i akuratnie. Kto w konia, kto w krowy, kto jeno w ludzki sprzężaj, a kaźden orał, siał lub bronował. A byli, co tylko rydlem, jakby gołymi pazurami, darli tę świętą ziemię z ponurą zawziętością.

— Mój Boże, po inne lata sto koni wychodziło na robotę! — westchnął chłop.

— A jakie to szły śpiewania, pokrzyki, ugwary! Hej! — wspomniała cicho dziewczyna.

— Pan Jezus wiedział, co zrobił! — zamamrotała starucha, przysiadając na skibie, gdy stanęli nabrać nieco sił i oddechu. — Tyle się rozmnożyło złego, że kara przyjsć musiała! Spokornieją ścierwy, spokornieją! Wynosił się jeden nad drugiego i pysznił! W morgi jeno wierzyli, a w pełne sakwy! Za nic mieli biednego, za nic sprawiedliwego. Rozwalał się jeno po świecie, któren rublami sypał! Dał wam Pan Jezus radę!

— Ale i pocziwym stała się niemała krzywda! — wtrąciła posepnie młodsza.

Orali znowu w głębokim milczeniu, chłop rozważał babczyne słowa i pilnie szukał w sumieniu czym by się zasłużył na ukaranie, aż w końcu rzekł twardo:

— Panowie sobie wojują, a chłop w skórę bierze. Splunął i prał krowę aż zaryczała.

— Człowieku, dyć to ostatnie bydlątko! — spróbowała mitygować kobieta.

— Cicho! Wio ścierwy, bo gnaty poprzetrącam! — grzmiał rozszonony.

— Tatulę, boćki przyleciały — zakrzyczał naraz chłopak, wskazując ręką. — Boćki, laboga!

Przystanąli patrząc za bocianami, krążącymi nad zburzonym dworem i parkiem.

— Kajże to se założą gniazda, kaj! — westchnęła współczująco kobieta.

— Biedne sieroty! — Nawet tej suchej topoli nie darowali. Wszystko im na przeszkodzie! Wrzał głucho.

Bociany spłynęły na zalane łąki, jakiś pies gnał ku nim z radosnym naszczekiwaniem. Wszystkim zrobiło się jakoś weselej, jakby z bocianami wraz zakwitła w sercach nadzieja.

— Ciągta ludzie! Józiek, nie wykręcaj łbem, bo weźmiesz batem — upominał chłop, ale już go gniew opuszczał i sam co chwila niósł się oczami na łąki, a coś w sobie rozmawiał:

— Jak wracają na gniazda bociany, to wojna odlatuje! — wyrzekł z głębokim przeświadczeniem.

I znowu podały się karki jarzdom, przygięły się plecy, nogi wparły się w ziemię i pociągnęli pług w głuchym milczeniu. Zmroczyło się naraz i zaczął padać drobny, uprzykrzony deszcz. Sypał obficie niby przez sito, zasuwając świat jakby rozdrzanym szklivem, przenikającym do kości chłodem i wilgocią. Wiosenna plucha zaniósła się na dobre i orka stawała się coraz cięższa i moźniejsza, ślizgały się nogi, że raz po raz któreś ryło nosem po ziemi, brakowało już sił, jarzmo uwierało boleśnie, a postronki wrzynały się dzieciom w ramiona i piersi aż do krwi. Ciągnęli jednak bez skarg i jęków, utykając i co trochę przemieniając miejsca w uprzęgu. Chłop wyręczał wszystkich po kolei, a do prowadzenia pługa stawała żona, to córka, to chłopak. Niewiele to pomagało, robota szła coraz ciężej i każda nowo odwalona skiba zdała się być przemoknięta nie tyle deszczem, ile potem i krwią strasznych wysiłków. A chwilami, kiedy już brakowało oddechów, walili się na ziemię, gdzie popadło

i leżeli, jak pomordowane bydłeta, martwi niby kloce i zgoła już niewiedzący nawet o sobie.

Niedługo odpoczywali, bowiem nieubłagana konieczność wprzęgła ich z powrotem w jarzma, przymuszając do krwawego trudu. Straszliwe widmo głodu, nieodstępnie snuło się za nimi, poganiając batem rozpaczny.

— Siwkciem już bym od świętej pamięci zaoża! — wyrwało się chłopu.

Sercami zatargał nagły ból, wyciskając z oczów łzy gorzkich wspomnień.

— Prawdę im rzekłem: zołzowaty i ma grudę. Nie uwierzyły! Juści, na oko koń jak malowany, rosły i chody miał cuganta. Po dworskich, to i nie dziwota. Do nóg się pokłoniłem. Nie gubcie, powiadam, toć nasz żywiciel. Dziesięć morgów pola, sześcioro narodu i z wiosną za pasem, powiadam. Jakże se poradzimy sieroty bez konia, jak! — powiadam. Poświargotały i wzieni. Powtarzał może już po raz tysięczny. Ta chwila utraty konia stała mu wciąż w pamięci; była to niezagojona rana, przez którą uciekało jego życie.

— Taki koń! Jacek dawał mi za niego parę kasztanów, a nie chciałem bez dopłaty.

I do figłów był skory! Pamiętacie jak to łoni pierzynę z płota ściągnął i latał z nią po sady, a odebrać sobie nie dawał — rozrzewniała się dziewczyna.

— I na gwizdanie przylatywał jak piesek — wspomniał chłopak.

— Był, był, a teraz i łajna po nim nie stało.

— A żebyśta ścierwy! Wio! Wio! Krowa się naraz przewróciła, kobiety uderzyły w płacz, skoczyli na ratunek, na szczęście nic się jej nie stało i dała się podnieść na nogi.

— Granula! Loboga! Granula! — lamentowała kobieta, obcierając ją z błota i głaszcząc, jak dziecko najmilsze. — Jeszcze gotowa zgubić tę ostatnią kapkę mleka.

— I tak żremy, że świnie nie tknęłyby naszego jadła!

— Zła bydlakowi marchew, to niech idzie w chrzan!

— Dam ja ci lepiej żreć, poczekaj! — wrzasnął chłop, zacinając batem synowskie portki.

— Nie bijcie, a to cisnę wszystko i pójdę sobie w cały świat!
— groził płaczliwie.

— Będzie jedną gębę mniej! A powędruj se synku! Matka sporządzi ci torbeczki. Nie bój się, nazbierasz, ale kijów na plecy, nazbierasz! A może przystaniesz do żołnierzów? W sam raz dla ciebie rozbijać i kraść i palić. Idź synku! — mamrotał dotknięty do żywego.

— Ja sobie jeno tak, a ociec powstają, jak na tego złego psa! Wiecie — zaczął nagle z innej beczki — a to siwek bojał się żołnierzów!
— Głupiś! Ale taki koń i bojałby się, czego! — poczuł się prawie obrażony.

— Prawda! Latową porą pojechałem którejs nocy na rowy we dworskiej koniczynie. Były i drugie chłopaki. Konie trzymalim na postronkach, w gotowości. Ale i tak o świtaniu przydybał nas polowy! Ale nie bił i koni nie zajmował, a tylko krzyknął: Moskale wałą przez las! I pojechał naprzód, a my wszystkie za nim. Stanęlim w zagajach nade drogą! Mój Jezu, było tego mrowia, że sztyki to się kolebały niby żyro na zagonie, ani początku dojrzał, ani końca! Ledwie com się napatrzył, a tu trąby jak nie hukną, zaś siwek jak nie zadrze ogona i jak nie pogna na przełaj! Zrucił me na rowach i popędził do chałupy.

— A no, twoja to była sprawka! Teraz baczę, jako koń całą niedzielę żreć nie chciał, a tylko pił i postękiwał. A ja w głowę zachodziłem! Czekajże, ja ci za tę sztukę zapłacę!...

— Naści głupi — stanęła w obronie matka. — Procesujże się o ten zeszłoroczny śnieg!

— Dla porządku, żeby konia szanował, frycówka go nie minie! — obiecywał.

Ale na tym się skończyło, gdyż wspomnienie utraconego konia, ożyło naraz we wszystkich i opanowało jednaką żalością. Raz po raz ktoś przypominał różne zdarzenia, świadczące o jego zaletach, o jego śliczności i o jego przywiązaniu do domu. Wspominali z takim żarem tęsknoty, jakby o kimś droгим, bliskim, a już utraconym na wieki...

— Wiecie — zagadała na odpoczynku dziewczyna. — Nieraz już w nocy zdawało mi się, jako siwek rzy pod chałupą. Juźcić myślałam, że to przez śpik tak mi się majaczy! Dopiero onegdajszej nocy, kiedym przecknęła wyraźnie słyszę: cosik rzy! Wychodzę na dwór z potrzebą i patrzę: siwek, nie siwek? Przeżegnałam się i przecieram oczy: coś białego rusza się pod stajnią. Myślę, uciekł tym złodziejom i przyleciał do chałupy! Skoczyłam do niego, a tu jakby wiatr zakręcił kłębem mgły i wszystko gdzieś przepadło. Jeno na drodze zatętniało i pies Wawrzonów zaczął gonić i szczekać. Aże mnie zamroczyło ze strachu. Może zdechł i teraz tłucze się po nocach i swoich szuka...

— To konie będą przychodziły po śmierci, jak te dusze pokutujące? — zgromiła matka.

— Jać nie mówię! Przysięgłabym jednak, żem go widziała. W kościele bym przysięgła!

— A bo to mu była krzywda! Miał swoje wygodę i roboty mało wiele.

— Taki wam był dobry, a praliście go orczykiem i wyklinali — zgnął mściwie chłopak.

— Jak biłem, to na bicie musiał dobrze zarobić, a tobie wara!

— Zarobił, że cię schlanego przywoził z karczmy — dołożyła mu żona.

Umilkli. Deszcz się wzmagął, w brzdach już polśniewała woda i ziemia zapadała się pod nogami, a każdą skibę przychodziło krajać coraz z większym mozołem. Orali jednak niestrudzenie. Oczy im wyłaziły, krew broczyła od jarzma i postronków, gnaty dziwnie pękały i w głowach się mąciło, ale chłop nieubłaganie poganiał.

— Zabijcie mnie, a już nie poradzę! — zajęczała naraz dziewczyna, waląc się na ziemię. Przysiedli przy niej, matka obcierała jej twarz, a chłop jął się tłumaczyć.

— Trudna rada! Odzipnij córuchno! Mus pogania. Choćby z pół morgi pod ziemniaki zaorać! Kto nie posieje, nie zbierze. Cóż to, z głodu mamy zdychać, czy ze swojego we świat iść po żebranych chlebie? — Niedoczekanie wasze ścierwy! Niedoczekanie! — zakrzyczał i zacisnąwszy pięście groźnie potoczył oczami.

Orali dalej z niestrudzoną zaciekłością.



— DOLA —

Jesień szła późna, mokra i przesmutna. Niskie niebo skłębionymi runami burych chmur, zwisało ciężkim, ołowianym całunem. Szary, przemglony dzień październikowy, dygotał udręczeniem; rozpacz łkała w poświstach wiatru i szmery deszczów były jakby szelestem nieustannych i nieutulonych niczym łez. Bowiem gdzie tylko dosięgły oczy, tam leżały rumowiska wiosek, żałosne szczątki rozstrzelanych lasów, ruiny kościołów, czarne szkielety popalonych sadów. Wojna stratowała żelaznymi stopami cały kraj, iż wszystkie ziemie stały się jakby jednym cmentarzyskiem, nad którym jeno tu i owdzie wznosiły się czerwone kominy jak grobowe kamienie ociekające żywą jeszcze krwią.

Nawet pola leżały shańbione, podarte, pełne plugawych resztek mordów, zgliszcz i pożarów. Nawet powietrze przesyciły trupie zapachy rozkładów i spalenizny. Śmierć wyła na trupach i ruinach weselną pieśń potęgi. A na wschodniej stronie jeszcze widać było czarne obłoki dymów zwieńczone krwawymi błyskawicami pożarów. Paliły się tam jakieś wsie, jakieś miasta, jakieś dwory i wiatr przynosił głuchy, monotony i dziki skowyt rozwścieklonych armat. Zaś szeroką drogą, wijącą się pokrętnie wśród omglonych pól, niby błotnistą, czarną rzeką, uciekały oszalałe tłumy. Ciągnęły wozy naładowane dobytkiem i dziećmi, ryczały krowy ciągnięte na postronku i wyły zbłąkane psy. Spływali z miedz, z rumowisk, z lasów i nor nieskończoną procesją i uciekali we wszystkie świat,

byłe dalej. Niekiedy wpadał na nich oddział kawalerii, przelatującej gdzieś na oślepie. Niekiedy tratował z przerażającym rykiem samochód. Rozpierzchali się na chwilę i gdy minęło niebezpieczeństwo, znowu ruszali naprzód. Przygięci pod tobołami do ziemi, śmiertelnie znużeni, obdarci, głodni, przemykali się w trwożliwym i ponurym milczeniu. Twarze mieli skamieniałe w męce przerażenia i rozpacz. Byli tacy, którzy już od całych tygodni uciekali bez wytchnienia i pamięci. Sypiali po rowach, po rozwalinach i opuszczonych okopach, żywiąc się czym się dało; czasem nędznymi resztkami zapasów, czasem znalezioną padliną, zaś najczęściej zgniłym kartoflem, wydartym z marznącej ziemi gołymi pazurami. Huragan wojny wymiółł ich z siedzib odwiecznych i niby garść zwiędłych liści, pędził przed sobą w dzikim zamęcie strachów, na zatracenie. Naraz, jakby na przekór tej niepowstrzymanej fali, jakiś duży pies, kształtem przypominający wilka i jak wilk o rudej, gładkiej sierści, potężnych kłach i trójkątną głowie, wyskoczył z uciekających szeregów, zawył przeciągle i popędził z powrotem. Myślano, że się nagle wściekł. Nikt go nie znał i nikt nie zatrzymywał. Przybłądą był niewiadomo skąd. Kilka psów popędziło za nim, ale wkrótce wróciło pokornie. On zaś gnał jak oszalały. Poniosło go jakieś wspomnienie mocniejsze nad wszystko. Leciał szukać swojej wsi, swojej budy i swoich gospodarzów. Po jakimś czasie przysiadł nad drogą, rozglądał się przekrwionymi oczami. Obce mu było wszystko: obce te splugawione pola, obce drogi, obce ruiny, a tak jakoś straszne, że porwał się na nogi i z nosem przy ziemi, pędził ku wschodowi, ku polom walki, skąd słyhać było huk armat i skąd jeszcze wciąż uciekali ludzie. Poleciał na przelaj, omglonymi polami.

I dnie całe przechodziły mu na daremnym węszeniu. Krążył w promieniu paru mil, zdeptał wszystkie drogi, obwąchał wszystkie spalone wsie, przystawał do gromad obozujących po lasach, włókł się za obozami, węszył po polach bitew, głuchy już na strzały i wrzaski, obojętny na niebezpieczeństwa. Czasem litościwa ręka dzieliła się z nim kromką chleba, częściej jednak, na pokorne skowyty, dostawał kopnięcie. Wychudł straszliwie, zdziczał i z głodu już nie gardził żadnym pożywieniem. Widziano jak chleptał ludzką krew i domyślano się jeszcze straszniejszych sprawek, więc kiedy się zbliżał do ludzi, witały go kamienie i kamienie leciały w jego ślady. Wzgardził przeto nimi, omijając z daleka ocalałe wioski. Nie zbliżał się nawet do dzieci wołających na niego. Wciąż i nieustrudzenie szukał swoich. Aż w jakiejś chwili wpadł na znajomy ślad, właśnie na tej samej drodze był go odnalazł, którą uciekał wraz z ludźmi, tylko wyżej o parę mil. Zaszczekał radośnie i biegł ostatkami sił. Pamiętał, że zaraz za wzgórzem leży ta jego wieś. Pamiętał rozstaje dróg, gdzie w cieniu wielkich drzew stał krzyż, a za nim rozciągały się rzędy białych chałup. Dopadł wreszcie pola i pod krzyżem przysiadł zmartwiały: nie było już białych chat, nie było lasu za rzeką, nie było wielkiego domu w środku wsi, nie było nawet pól opadających do rzeczki — były jeno kupy rumowisk, żółte, nieskończone groble piachów, kałuże, kikuty spalonych sadów, resztki obłamanych kominów i stado wron kraczących na złomach i ruinach. Mokre mgły niby łachmanami spowijały wszystko i zalewały pluszczące, nieustanne deszcze. Ale pies, pomimo tych zmian straszliwych, poznał wieś swoją. Oblatywał każdą osadę z osobna, węszył, naszczekiwał, szukał w rumowiskach, w każdym obejściu, w każdym dole, za każdym ludzkim śladem

leciał i nie potrafił nawet odszukać miejsca, gdzie stał dom jego gospodarza. Jakby trzęsienie ziemi przewróciło całą wieś na nice. Wszędzie ciągnęły się głębokie rowy, sieci kolczastych drutów, zwały belek, stosy cegieł, kupy przegniłej słomy, szeregi mogił nastroszonych niskimi białymi krzyżami, wygasłe dawno ogniska, jakieś okropne, przekrwione strzępy szmat i żelaza. A nigdzie ani śladu życia, ani śladu człowieka, ani śladu schronienia. Coś, jakby obłądny strach nim zatargał. Zgiął się w pałąk, zjeżył, ogon podwinął pod siebie i zawył. Wył długo, rozpaczliwie i okropnie. Padał w błoto, darł pazurami ziemię i skowycząc żałośnie tarzał się w jakiejś straszliwej, niepojętej męce. Kilka wron, mających go na uwadze, gdy wreszcie wyzbyty z sił leżał jak nieżywy, spłynęło z drzew i ostrząc dzioby, jęły zmierzać ku niemu krzywymi podskokami. Otaczały go z wolna groźnie nastawionymi dziobami. Już najśmielsze podfruwały z rozwarłymi pazurami; już przykrył go obłok rozchwianych, czarnych skrzydeł, drapieżnych szpon, zakrzywionych dziobów; krótkie, chrapliwe krakania były coraz niżej nad nieszczęśliwym. Zerwał się jeszcze w porę i uciekł na rozstaje pod krzyż, w gąszcze cierni i suchych badyłów. Wrony pognały za nim i obsiadły krzyż i czuby drzew, czekały cierpliwie. Pies leżał zgoła już bez sił i zdawał się prawie płakać, krótki, urywany, żalorny skowyt wyrывał mu się z gardzieli. Beznadziejna rozpacz brzmiała w tym głosie. Nie mógł się poruszyć z miejsca i głód skręcał mu wnętrzności. Nie miał już gdzie lecieć, nie miał czego szukać.

Śmierć krążyła nad nim, wrony całym stadem obsiadły cierniowe krzaki.

Tak przeszły długie godziny, gdy naraz doleciał go zapach dymów i ludzi, wyskoczył na drogę i poczołgał się za wiatrem. Jakoż

w pośrodku wsi, pod złomem kościelnej ściany, odpoczywali jacyś nędzarze. Wielki ogień palił się przed szałasem przypartym do murów i uczynionym z desek i gałęzi. Zapachniały pieczone kartofle. Na barłogu tuliło się kilkoro dzieci, parę kobiet siedziało zapatrzonych w ogień, a jakiś stary człowiek żelaznym prętem wygrzebywał z ogniska kartofle, rzucał je dzieciom i sam jadł z wilczą żarłocznością. Pies przyczołgawszy się do ogniska zaskomlał cichutko.

— Poszedł precz! — warknął człowiek grożąc pogrzebaczem. Pies odskoczył na stronę, ale potęga głodu i niezwalczona potrzeba zbliżenia się do ludzi, przywiodły go z powrotem. Nawet nie skomlał, jeno łzawymi oczami żebrał o miejsce przy ogniu, o jedno łaskawe człowiecze słowo. Wtem człowiek spojrział na niego tak jakoś szczególnie, że pies zatrzymał się na miejscu i patrzył mu w oczy podejrzliwie.

— Naści piesku! Nie bój się głupi! — mamił podrzucając na przyręte kartofel, a zarazem obmacując głodnymi oczami jego grzbiet potężny. Pies jakby rozumiejąc to jego drapieżne spojrzenie, zaczął się ostrożnie wycofywać od ognia.

— Dzieci, wołajcie psa! Jakiś mądrala! I cmokał na niego jak mógł najpieściwiej.

Nic jednak nie pomogło, żadna zachęta. Pies ciężko dyszał, piana szła mu z pyska, szczekał zębami, dygotał, lecz miał się na ostrożności. Wszystkie oczy wpijały się w niego żarłocznie i wszystkie ręce zdały się wyciągać do jego gardzieli. Trwało to krótką chwilę, aż człowiek trzasnął go zniecka prętem przez grzbiet, lecz nim zdążył cios powtórzyć, pies pognał we świat ze straszliwym skowyttem bólu. Stado wron poleciało za nim i obsiadło ciernie pod krzyżem, gdzie się był zaszył i zdychał w męczarniach.

Deszcz padał wciąż, pluskał w gałęzie i strugami spływał po krzyżu. Błaszany Chrystus w cierniowej koronie, nagi, pełen świeżych ran od kul i szrapneli, zdawał się podnosić oczy na świat straszliwie smutny, zbroczony krwią, splamiony mordami, i szeptał:

— Panie, Panie! Czemuś mnie opuścił.

A z głębin niewiadomych biły armaty głucho, nieustannie — jakby młoty nieubłaganie zabijające trumnę wszystkiego żywota.



16 stycznia 1917

— WOŁANIE —

Usłyszała wyraźnie, usłyszała na pewno.

Noc była jasna i cicha, świat stał w srebrzystej poświacie, przez ogromne okna księżyc lał świetlistą pobiałę na ścianę, pełną portretów.

Dźwignęła się do okna, różaniec zabrzęczał i pacierze spłynęły gorączkowym szeptem. Modliła się, nasłuchując zarazem i patrząc. Park grążył się w zielonawych brzaskach i cichości, wody lśniły jak tarcze, kowane w srebrze, lipcowa, nagrzana noc dyszała upajającymi aromatami.

Naraz jakiś cień omroczył świat, zaszemrały trwożnie drzewa, jękliwy krzyk pawia rozdarł powietrze, a gdzieś z głębin nocy buchnął krótki, daleki, niewiadomy głos i przepadł w głuchym milczeniu nocy.

Porwała się gwałtownie. Cisza uczyniła się jeszcze głębsza, słyszała jeno szelest spadającej za oknami rosy i bicie własnego serca. Obejrzała się podejrzliwie, pokój był pusty, tylko w miesięcznym świetle portrety zdały się poruszać i wychodzić z poczerniałych ram. Opadła w fotel, oczy jej uciekły w głąb z przerażenia, gdy oto sunął ku niej Barszczanin z ryngrafem Częstochowskiej na piersiach i bladą twarzą upiora; za nim rycerskie pachole, poległe pod Raclawicami; trzecim szedł mąż spod Somosierry, czwartym — ułańskie widmo spod Grochowa, piątym — smutna postać wygnańca, pobrzękująca kajdanami. Korowód mar,

korowód cieni, korowód ech nieśmiertelnych, a każdy zdał się pochylać nad nią i coś przemawiać. Zmartwiała w grozie, nie mogąc pojąć, czego chcą od niej posępnie błyszczące oczy i nie-mie, zakrzepłe twarze. Cóż mogła uczynić więcej? Wszak jedyne-go syna oddała na śmierć pewną. Zaniosła się rozdzierającym szlochem bezsilności...

Że musiał stawać przeciwko braciom? Litości zabłagała jej dusza rozkrzyżowana w męce i łzawe oczy utonęły w pustyniach nieba. Omdlewała z nadmiaru boleści, gdy znowu ten głos niewiadomy zatargał jej wnętrzności, jakby za włosy ją porwał i przebił nożami. Rozpoznała głos syna. Wołał ratunku z jakichś dalekości, z chaosów bitew, może spod wspólnych mogił. Nieprzewyciężony nakaz podniósł ją z miejsca i zmuszał do posłuszeństwa głosowi krwi. Przemknęła przez komnaty cicho niby cień, oddechy śpiących roznosiły się z alkowy, zakwiliło żałośnie dziecko, majaki sprzętów zastępowały drogę, wstawały tysięczne echa życia. Nie zawahała się jednak. Opuściła dom rodzinny. Objęła go wzrokiem pożegnań i bez łez ni żalów poszła w nieznaną drogę. Poszła w noc, niebo wisiało wysoko, jasno świecił księżyc i gdzieniegdzie spały białe chmury, pozwijane w kłęby. Bezmiar ją ogarnął litościwie, powiodło matczyne serce i ten synowski głos, jeno że coraz słabszy, cichszy i dalszy.

— Idę, syneczku! Idę! Oczy jej niosły się przodem jak ptakowie wylękli.

Szły dni lipcowe, znojne, w przepych słońca przyodziane i królewską krasę pól dzwoniących kosami, nabrzmiałych weselem, plennych. We wdowiej szacie, blada śmiertelnie, z płaczącymi oczyma, snuła się po świecie niby żałobne widmo. Milkły głosy, gdy się zjawiała, i dreszcz smutków targał sercami. Niekiedy pytała o drogę,

ale nie czekając odpowiedzi, odchodziła śpiesznie, ślad swój znacząc na kamieniach pokrwawionymi stopami.

— Do miejsc świętych wędrująca! — szeptali za nią zdumieni ludzie.

— Matka — odpowiadały kobiety, całując krwawe piętna. — Matka!

Nie wiedziała, co się koło niej dzieje, nie wiedziała nocą li idzie czy dniem, zali słońce świeci, czy gwiazdy ją prowadzą. Śpieszyła do syna.

Nie potrzebowała ni snu, ni odpocznienia, ni posiłku. Niekiedy chłodziła spieczone usta leśną jagodą lub garścią krynicznej wody i szła dalej. Przez miasta gwarne szła, przez bory ogromne, wsie mnogie i pola niezmierzone, aż weszła w kraj stratowany żelaznymi stopami wojny. W kraj, gdzie pleniły się tylko ruiny, łzy i rozpacze. Gdzie wsie były kupami gruzów, kościół w zgłiszczach, ziemia zryta pociskami, drzewa potrzaskane i gdzie krew płynęła rzekami, a śmierć kosila codzienne, nieubłagane żniwo...

Za stadem kruków, ciągnących na żer obfity, poszła, za nieustającym hukiem armat, łunami pożarów i zagonami świeżo usypanych mogił. Nic jej nie mogło powstrzymać, żadne przeszkody, niebezpieczeństwa, nawet tłumy uciekających ludzi, którzy oszalałymi z trwogi głosami krzyczeli do niej:

— Tam bitwa!

— Właśnie tam idę. Syn czeka na mnie! — mówiła nieodmiennie i próżna wszelakiej trwogi dosięgła samego dna huraganów. Jakby piekło ujęło ją w swoje druzgocące ramiona. Gromy huczały ze wszystkich stron, biły w niebo, biły w domy, biły w lasy, biły w pola, śmierć śpiewała rozpasany hymn zwycięstwa! Nieprzeliczonym rojem brzęczały kule, pękały szrapnele, fontanny wyrwanej ziemi chlustały wysoko, waliły się z trzaskiem drzewa, padały

szare szeregi jakby podcięte, czasem przelatwały tętenty konnicy, dudniła dziko ziemia i wydierał się straszny, nieludzki ryk...

Na każdym kroku spotykała zabitych, porozrywanych w łachmany i rannych żebrzących o zmiłowanie. Tysiące rąk wyciągało się do niej błagalnie, i tysiące łkań i krzyków leciało za nią. Nie rozumiała ich języka i głuchą została na straszną wymowę ran i cierpień. Szukała swojego syna. Bowiem wołania jego stały się jej coraz bliższe i wyraźniejsze.

Na jakichś rozstajach zastąpił jej drogę kamienny Chrystus, siedzący w cieniu drzew, na niskim słupie, głowę w cierniowej koronie wsparł na rękę i patrzył nieodgadzionymi oczyma.

Przywarła do jego stóp spalonymi ustami rozpaczy.

Patrzył surowo wskroś bitewnych chaosów, wskroś wszystkiego świata. Szare tumany przysłaniały ziemię, na niebie wisiało ogromne słońce, podobne przy zachodzie do wyłupanego, krwawiącego oka. Ziemia dygotała w konwulsjach walki, armaty niby straszliwe dzioby kuły z zawziętością, kuły bez miłosierdzia, sine bicze pociśków smagały z przeszywającym świstem, a z huraganu nieustających grzmotów wydierały się ogromne krzyki niewidzialnych tysięcy, bijąc w niebo piorunami skarg i jęków.

— Jestem, syneczku! Jestem! — odpowiadała, tocząc błędnymi oczyma, albowiem w czerwonych łunach zachodu zamajaczył nieskończony korowód człowieczych postaci; coraz bliżej widniały jakieś okrwawione głowy, wybite oczy, potrzaskane ręce, jakieś poczwary zlepione z błota, ran i krwi — wypełzały jak widma z pól, czołgały się na brzuchach, wlokły się na rękach, wynurzały się prosto z ziemi i wyły ranami, męką, strachem i rozpaczą...

— Matko ratuj! Pomocy! Ratuj! — Obląkane spojrzenia, konające głosy, poszarpane ciała, szaleństwo i przerażenie uderzyły w jej serce wylękle.

— Boże miłosierdzia i litości! Boże! — załkała rozpacznie, wypatrując syna. Był przy niej, osuwał się na jej piersi konającym omdleniem, ale miał sto twarzy, i tysiące ran. Każdy wydał się być jej synem rodzonym, bo cierpiał jednak, jednaką mową żebrał zmiłowania i jednakowo cisnął się do jej piersi. Przygarnęła wszystkich matczynym objęciem miłości, jakby ramionami wszystkiej polskiej ziemi.

— Synaczkowie moi! Synaczkowie! — zaszeptała głosem mocniejszym nad ból, mocniejszym nad śmierć, głosem nieśmiertelnej ojczyzny. Obcierała im czoła skrwawione, całowała rany, koła cierpienia, mówiąc każdemu jakieś słowa krzepiące, że uśmiechy szczęścia wykwiwały na stygnących wargach i marli cicho w jej ramionach, marli w ukojenia łasce. Noc zapadła, księżyc zaświecił w martwiejące oczy, bitwa ścichła i wiatr zaszumił jakby szelestem odlatujących duchów. Ona zaś siedziała bez ruchu, trzymając w ramionach pomarłych i konających, zastygła w bólu nad pobitymi w bratobójczej walce, tylko ciężkie perły łez spływały nieustającym potokiem na te sieroce, nieszczęsne głowy. O świtaniu pozamykała im oczy i kiedy zorze jęły wschodzić, podniosła w niebo twarz pełną niewzruszonej wiary i zaśpiewała wraz ze skowronkami wieczny hymn dnia wstającego:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon Boże wielki.

Jednocześnie i armaty zaczynały bić na nowo.

— I WYNIĘŚLI —

Kościół wrzał od przerażających krzyków i szlochań, bowiem armaty grały nieustannie, jak burza przewalająca się ze strony na stronę i hucząca coraz bliżej i groźniej, że rozdygotały się prawieczne mury, dzwoniły szkliwa pajaków, zwisających od niskich sklepień, a ludzie zamierali w śmiertelnej trwodze. Bitwa wybuchnęła o świtaniu, niespodzianie; wsie stanęły w płomieniach i setki armat zaśpiewały ponury hymn śmierci i zniszczenia. Ulewa piorunów spadła na ciche, uśpione wioski. Ludzie śmiertelnie wystraszeni, rozpierzchli się niby ptakowie po lasach i zbożach, uciekali gdzie ich poniosły oczy, gdzie miarkowali jakie takie bezpieczeństwo. Więc kościół stawał się jedyną ucieczką przed zagładą; kto jeno zdążył, chronił się w jego mury potężne, pod opiekę krzyża świecącego na wieży dawał skołataną głowę. I wciąż jeszcze napływały nieprzytomne od strachu gromady, wciąż waliły się w mrocznych nawach tłumy nędzarzów i co chwila wybuchały dzikie, obłądne skowyty trwogi, gdyż straszliwe, wzmagające się z minuty na minutę, bicie armat, jakoby bicie jakichś potwornych dziobów kujących nieubłaganie we wszystkie głowy i serca, doprowadzało do szaleństwa. Przyciszyło się nieco, gdy ksiądz wyszedł ze mszą uroczystą na intencję odwrócenia klęski, ale skoro jeno wyjął z tabernaculum Przenajświętszy Sakrament, pierwsza kula uderzyła w kościół. Posypały się strzaskane szyby, kurz przysłonił nawy i obłąkańczy krzyk zatargał murami. Ksiądz nie przerwał

nabożeństwa, widniał przed wielkim ołtarzem niby białe zjawisko, świece płonęły jarząco i z chmurnej głębi wielkiego obrazu wynosiła się jasna postać zmartwychwstającego Chrystusa. Przypadły do niego wszystkie oczy, zgorączkowane wargi spłynęły szeptem pacierzów. Łzy lały się po twarzach i zduszony straszny płacz rozdzierał serca. Kościół napełnił się gwarem błagań, jęków i szlochów. Pokos ciał walił się w proch z rozkrzyżowanymi ramionami i czołgając się przed ołtarz, wszystką rozpaczą zebrał zmiłowania. Ten okropny chór człowieczej niedoli zgłuszył nawet odgłosy bitwy i huki armat. Przez wielkie drzwi szeroko wywarte, zaglądał słoneczny poranek sierpniowego dnia, niekiedy wpadały wróble stada i z wylekłym świergotem obsiadały gzymsy i ołtarze, a niekiedy napływały dymy gryzącą chmurą spalenizny.

Naraz jakby potworna pięść huknęła w dzwonnice na wieży, trzask piorunów rozdarł powietrze, zwały się mury, zajęczały spadające dzwony, tynki wraz ze szkliwem pajaków posypały się na głowy. Wszyscy rzucili się w panicznym strachu do wyjścia, zdało się, iż cały kościół runie. Powstały dzikie sceny tratowań, szal bezprzytomnej ucieczki, ryki zwierząt mordujących się nawzajem. Ale że właśnie zabręczały dzwonki na Podniesienie i ksiądz z niewzruszonym spokojem odwrócił się z Przenajświętszym Sakramentem, wzburzone fale opadły i rozpląnęły się po mrocznych nawach. Lud wrócił do przerwanych pacierzów, ale modliły się tylko wargi, bitwa bowiem zbliżała się wilczymi skokami i ze wszystkich stron huczała rozsrożonym huraganem. Już słychać było coraz bliżej dzikie chichoty szrapneli, basowy huk armat, suche trzaski salw karabinowych i ohydne, monotonne gdakanie mitraljez. Zasię chwilami buchał jakiś ogromny krzyk, rozlegały się gwałtowne tętenty i turkot pędzących wozów amunicyjnych.

Ze wsi podnosiły się długie, żałosne ryki bydła i wycia psów.

Jakby grobowy kamień przywalał wszystkich; rwały się pacierze, ostygaly serca, beznadziejność wyzierała z twarzy szarych, zmartwiałych w męce i tępa głucha rezygnacja zakamieniała dusze. A kiedy znowu jakaś kula uderzyła w kościół i rozległ się głuchy łoskot pękających murów, tylko niewielu uciekło, reszta klęczała wpatrzona nieprzytomnie w księdza, jakby wyczekująca na cud zbawienia. Ale cud się nie stawał, natomiast armaty jęły bić w mury coraz uporczywiej, niby jakieś piekielne dzięcioły, że już pękały ściany, zapadały się dachy i część sklepienia runęła. Wtedy strach rozpedził wszystkich po polach. Ani się kto zatroskał o zabitych i rannych, daremnie jęczeli wśród rumowisk i kurzawy. Kościół pozostał prawie pusty, tylko przed ołtarzem klęczało kilku chłopów z zapalonymi wielkimi świecami i ksiądz. A kule już były celnie, już każda nieubłaganie trafiała. Co chwila wybuchał grzmot, co chwila kościół dygotał w posadach i co chwila nowy cios uderzał w prawieczne mury. Biły w niego ze wschodu i biły z zachodu z jednaką, nieustającą ani na jedno mgnienie zaciętością. Kościół umierał rozdierany na strzępy. Nie wiadomo jakim cudem trzymało się jeszcze prezbiterium i żyła ta nieulekła gromadka. Dopiero gdy runął jeden cały bok kościoła i tą śmiertelną raną błysnęło słońce i zamigotały pola, ksiądz zadrżał nieco i, skończywszy mszę, wziął złoty kielich z Sakramentem w drżące dłonie. Ostatni raz odwrócił się na kościół i oczami z tamtego świata powlókł po ruinach, westchnął ciężko, uniósł ostrożnie święte naczynie i zstępując ze stopni ołtarza, zaintonował głosem mocniejszym nad spiże wszystkiego świata:

»U drzwi Twoich stoję Panie«

I ruszył prosto przez skrwawione rumowiska, przez trupy i złomy, nie bacząc na, grady kul, na padające mury, na jęki żywcem pogrzebanych.

— »Czekam na twe zmiłowanie« — wtórowali ogromnymi głosami chlopi postępujący przed nim z zapalonymi świecami, jakby na procesji. Ministrant w komży i czerwonej pelerynce wyprzedzał i dzwonił.

Przystawali na mgnienie przy białej, szerokiej drodze. Ogromna wieś rozłożona wkoło kościoła i tonąca w sadach, stała w ogniu. Morze płomieni przewalało się z sykiem i trzaskiem. Czarne dymy snuły się nisko nad ziemią. Paliły się zboża na pniu; nieobjęty łąn pszenicy drgał pokryty różową płachtą ognia. Paliły się nawet sady i płoty. Gdzieś rozpaczliwie ryczały krowy. Bitwa huczała dokoła! Ryk armat szarpał powietrzem. Jakieś złe, niewidzialne moce szamotały się ze sobą. I nigdzie nie dojrzał nawet człowieczego cienia.

— Gdzie iść? Jak wynieść Przenajświętszy Sakrament z tego potoku ognia i krwi? — wszędzie śmierć wyła, pieśń nieubłagana, wszędzie mord, wszędzie nieszczęście. Ksiądz zmierzył oczyma białą drogę: była nieco wyniesiona i obsadzona topolami, które chwiały się ustawicznie, jakby targane wichurą. Słońce świeciło. Miało się na upał. Niebo wisiało bez chmur. Spokój letniego dnia spływał z błękitów. Jeno nad ziemią szalała zawierucha i pola okrywały dymy i pożoga, zaś białą drogę zasypywały pociski ze wszystkich stron, że co trochę wytryskiwały fontanny ziemi, leciały potrzaskane gałęzie i waliły się odwieczne drzewa, jak ptaki z rozpostartymi skrzydłami.

»U drzwi Twoich stoję Panie«! Zaśpiewał znowu ksiądz i nieulekle ruszył przez wieś, ku lasom, widniejącym na horyzoncie granatowym pasem.

I przeszli. Oszczędził ich ogień i nie tknęły nawałnice kul. W polach, daleko już za wsią, zaczęli się pokazywać ludzie, wypełzający z jakichś jam i rowów. Widok księdza w kościelnych szatach, złoto-kielicha i świec płonących, budził niewysłowione zdumienie. Wstawał podziw i cześć. Ogarniało ich święte uniesienie. Nie czuli już trwogi. Błada twarz księdza, jego wniebowzięte oczy i kielich z żywą krwią i ciałem Pańskim, dawał dziwną moc, niezłomną nadzieję i wiarę. Nikt się o nic nie pytał, każdy wiedział co powinien. Dobrowolnie stawali bronić świętości, dobrowolnie szli na śmierć prawie pewną. Szli zwarci jedną wiarą i pragnieniem i jednym uniesieniem śpiewający. I chociaż śmierć zaczęła ich kosić, nikt się nie cofnął. Kto padł, pozostawał na białej drodze, a żywi parli się naprzód, strzegąc świętego skarbu nad skarby. Na jakimś wzgórzu bardziej wystawionym na strzały, ksiądz się zachwiał i niby ktoś podcięty leciał na ziemię, ale nim padł, już kielich ujęły inne mocne dłonie, wyniosły go w górę i poprowadziły rozśpiewane rzesze.

Szli niczym niepowstrzymani; miażdżyły ich padające drzewa, rozrywały szrapnele, siekły karabinowe grady, prażyło słońce i grodziły drogę trupy, jęki i płacze. Znowu nowe ręce poniosły święty symbol. Gromada rzedła, kule co chwila robiły szczyrby, co chwila ktoś padał zabity, kielich przechodził z rąk do rąk. Niósł go jakiś szlachcic! Niosła dama w żałobie! Niosło pacholę z chabrowymi oczyma! Niósł jakiś ranny żołnierz! Niósł kto był pierwszy z brze- ga. Aż wkońcu przeszedł w twarde, spracowane chłopskie dłonie.

Ilu ich jeszcze padło! Ilu pozostało na tej białej, kalwaryjskiej drodze! Ale niestrudzenie nieśli wskroś huraganów, wskroś śmiertelnych odmętów bitwy, wskroś pożogi i zniszczenia.

I wynieśli.



— ZA FRONTEM —

I.

Michał Koziół porwał się gwałtownie z barłogu, jakby na mocny głos, wrzeszczący mu do ucha, by wstawał czempędzej. Nie dojrzał jednak nikogo, w ciemnościach rozlegały się jeno chrapania śpiących. To znowu wyraźnie usłyszał, jako ktoś chodzi nad nim po rumowiskach chałupy. Wylazł śpiesznie z głębokiego dołu na świat, przytaił dech i na próżno brodził oczami w ciemnościach i nasłuchiwał. Noc jeszcze była zupełna. Na wsi piałły pierwsze kury, od pól niedojrzanych zawiewał ciepły, wilgotny wiatr, zapach gorzkawy pogorzeli zawiercił w nozdrzach. Na szarym niebie przewalały się bure kołtuny chmur, podobne topniejącym śniegom, ni jedna gwiazda nie zamigotała na wysokościach; zasię nad pobliskimi borami, majaczącymi czarną, falistą ścianą, strzelały nieustannie ciche, ogniste świece, całe płonące zielonawym światłem. Biły wysoko nad lasy, zawisały długą chwilę w powietrzu i rozsypywały się z wolna w skrzący obłok pyłów. Zwyczajny był tych niemieckich sposobów, więc dziwną mu tylko była cichość dzisiejszej nocy. Jakże, ni huku armat, ni trzasku karabinów, nic...

— To nie darmo, rychtują ścierwa jakąś sztukę — pomyślał, wracając do dołu pod rumowiska chałupy. Przyległ na barłogu, obtulił się kożuchem, ale już nie zasnął, bowiem ustawicznie coś mu gadało do ucha.

— Co to może być? — medytował, próbując cośkolwiek pomiarkować. Głosy były nie do rozeznania i napływały jakby z głębin ziemi, brzmiały niekiedy, jak ściszone szloch, to jękiem się wydawały, to wołaniem długim, żalonym, dalekim. Strach nim zatargał gwałtownie.

— Nic, jeno dusze pobitych lamentują o poratunek. Lutry to przekłete, niemce, ale... — wzdrygnął się, odmówił pacierz i rozbudził żonę.

— Matka, może by dać na mszę za tych pochowanych na ogrodzie.

— Co ci się troi! Ale, za takich psubratów dawałabym na mszę — podjęła zapalczywie. — A kto nas przywiódł do takiej marnacy, że ino kij wziąć a torby i na świat iść po proszonem. Może nie te piekielniki, co?

— Prawda. Jezu miłościwy! — Westchnął i przypomnienie strat poniesionych zważyło się na niego strasznym ciężarem, że już ledwie dychał z udreki, że już ledwie mógł wstrzymać krzyk rozpaczny.

— Cóż człowiek mocen przeciw złej doli, co? — zażalił się, przynięciony ogromem własnego nieszczęścia. — Nieprzeliczone tysiące ciągnęło tych zbójów, a każdy łakomy na cudze, a każdy rwał, co mu się żywnie podobało, a każdy się pasł chłopską krwawicą. Ziemia jeno ostała i zgliszcza, goła ziemia i krzywda! Słuchasz to, matka?

Dosłyszawszy chrapanie w odpowiedzi, zwłókł się po cichu i wyszedł znowu na świat. Wstawał już ciepły, kwietniowy dzień, świtało, ciemności rzedły z minuty na minutę, w brzaskach zórz zapalały się wody porozlewane. Miało się na pogodę. Przysiadł na rumowiskach chałupy i wpił się żalonymi oczami w swoje zagony, wylaniające się na jaśnie poranka; leżały martwe, poszarpane dołami,

poryte, wytratowane i rozjeżdżone, że jeno tu i owdzie dawała się widzieć płachta nietkniętej oziminy.

— Cóż ja wam poradzę, sieroty, co? — jęknął w bezsilnej żałości. Zawrócił śpiesznie w obejście. Pożal się Boże, jak wyglądała jego gospodarka: ze stodoły pozostały jeno murowane słupy; na miejscu obór i stajni widniała kupa gruzów, dom piętrzył się stosem cegły i opalonego drzewa, z którego wystawał przetrącony kulami osztych komina. Spory sad był również poszarpany na strzępy, ruina pokazywała swój doskonały obraz. Ocalała tylko murowana piwnica w podwórzu, nakryta grubą warstwą ziemi, w niej też chroniła się reszta dobytku: stał wychudzony koń, leżała jedyna krowina i w grudce pochrząkiwała maciora z prosiętami. W kącie, na wiązce słomy, chrapał jego najmłodszy Jasiek. Nie budził go, bo i po co? Była to jaka robota? Przecież w polu ani sposób się pokazać, strzelali do każdego! Mój Jezu, wiosna w pełni, ciepło, ziemia prawie kipi od rostu, a ty człowieku patrz jeno i czekaj zmiłowania boskiego! Gniew nim zatargał. Podrzucił koniowi siana, gdy naraz zadygotała ziemia i straszliwy huk rozdarł powietrze.

— Niemieckie skowronki! — szepnął nienawistnie, wybiegając zobaczyć, gdzie upadł pocisk! Właśnie był słup ziemi wychlustywał pod lasem.

— Na mojej pszenicy! Ażeby wam kulasy poodejmowało! — zaklął.

Dzień się już był zrobił niemały i jak zwyczajnie przed samym wschodem słońca, skowronkowe pieśnię jęły dzwonić po polach, lecz rychło umilkły, bowiem armaty zaczynały swoje codzienne pacierze. Las oddawał huki bełkotliwymi echami, a przywłóczyły im trzaski karabinów. Koziół wzruszył niecierpliwie ramionami

i poszedł na wieś. Leżała również w ruinie, spalona i rozbita prawie do fundamentów, robiła wrażenie żałobnego cmentarzyska. Ze stuz górą chałup, utrzymało się jakimś cudem kilkanaście, a i to podziurawionych, niby rzeszoto i z poutrącanymi kominami. Z ogromnych, odwiecznych topoli przy drodze, pozostały jeno kikuty, żalobnie sterczące ku niebu. Kościół, stojący na górcie w pośrodku wsi, był jedną kupą gruzów i ścian poszarpanych. Nabożeństwo odprawiało się pod nim, w głębokich sklepach, gdzie chowano kiedyś dziedziców. Plebania była również zbombardowana i ksiądz mieszkał w piwnicy. Nie ominęła tej wsi nieszczęsnej ani jedna z okropności wojny, nie oszczędziły jej kule, nie oszczędziły pożary i nie oszczędziły rabunki. Większość mieszkańców rozbiegła się po świecie, a co pozostało kobiet, dzieci i starców, tuliło się po dołach i ruinach, przymierając głodem i wyczekując na cud zmiłowania. Przywarli tak mocno do ziemi rodzonej, do kątów odwiecznych, do ruin i grobów, że nie potrafiły ich wygnać żołnierskie swawole, ni nawet kule niemieckie, zalatujące codziennie i o każdej porze. Ni te grzmoty ustawiczne dział, ni bitwy, ni pożary i rabunki, ni nieustanna groza śmierci, czyhającej na każdym miejscu i o każdym czasie. Jednym cmentarzem stała się wieś, że strach było patrzeć na ruiny i zniszczenie. Drogi leżały puste, nawet psa nigdzie nie napotkał, ludzie tygodniami nie wyłazili z nor swoich. Tyle ich zobaczył, jak kogoś wyprowadzali na cmentarz, marli bowiem gęsto, zwłaszcza dzieci snęły, jak ptaki, od głodu, od zimna, od chorób wszelakich. Jakby jeszcze mało było mogił i krzyżów na polach, zrytych okopami.

— Snać na zatracenie wydał nas Pan Jezus! — medytował Michał, obrzucając z górci przed kościołem całą wieś, widną, jak na dłoni. Stara Marcinowa zjawiała się skądściś z nowinami i zatrajkotała:

— Wiecie, mój Franek powrócił, przyniósł sporo grosza i korzec grochu.

— Niech posieje, niemce mu niezgorzej zabronują — mruknął urągliwie i zadarł głowę na parę bocianów, kołujących nad kościołem.

— W samą porę przyleciały — zagadała z uśmiechem. — Czekają roboty, tylu dziewczkom pomogła wojna... Bieda jeno, że nie wiadomo, kaj niemiec wyjrzy na świat, a gdzie kozak...

Poleciała dalej roznosić nowiny, a Michał patrzył za bocianami, które przysiadły na złomie ściany kościelnej, zaklekotały rozgłośnie i poniosły się nad wieś, na próżno wyszukując zwalonego gniazda. Krążyły coraz niżej i krzyczały coraz żałośliwiej i boleśniej.

— Nawet ptakom przyniesły krzywdę! Nikomu nie przepuszczają.

— Kazałem na lipę wciągnąć bronę, może się zagnieżdżą — mówił ksiądz, stając przy nim. — Od wczoraj latają i skarżą się, aż serce ściska. Zestrzelili gniazdo biedotom — szeptał. Stary był, chudy, przygarbiony i prawie w łachmanach, z twarzy bladej patrzyła mu niezgłębiona dobroć i niebieskie, dziecinne ufne oczy. — Jakże się masz? Zdrowi twoi?

— Bóg zapłać. Spycha się dzień nocą i tak w kółko. — Pocałował go w rękę.

— Słyszałeś? W nocy wrócił Franek z Koziarą, Bóg da, wrócą i drudzy.

— A co tam komu za niewola powracać na nieszczęście...

— Czemuś to nie uciekł, tylko siedzisz, jak kamień?

— Ja?... Gdzież to pójdę i po co! Mało to swoich dałem wojnie, może już ziemię gryzą... Na tułaczkę nie pójdę... Moja to ziemia od dziada pradziada, jakże mi ją odbieżyć i we świat iść obcy!

— Wiosna ich przynagła i rodzona ziemia woła do roboty. Tylko patrzeć, jak się wszyscy zbiorą z nawrotem. Nie bój się, i na niemce

przyjdzie godzina kary. Mówię ci, człowieku, że Bóg ma więcej, niżli rozdał i nie da ukrzywdzić sprawiedliwego — wyrzekł z namaszczeniem i podreptał na wieś. Pilno mu było do biedoty, do tych jam i nor, zionących wilgocią, chorobami i nieszczęściem. Opatrznością bowiem stał się dla wszystkich, chociaż sam często gęsto przymierał głodem i mieszkał w nieopalanej piwnicy.

Zastanowiły Michała księżę słowa, obracał je w głowie i rozważał.

— Ziemia woła do roboty! Juści! — Rozejrzał się, jakby oprzytomnionymi oczami. Słońce już wypływało znad borów, niby złotem jaśniejąca monstrancja, wynosząca się coraz wyżej nad lasem. W bladawym jeszcze świetle ożyły czarne, stratowane zagony, zazieleniły się skrawki ozimin i wody szeroko porozlewane zagrały blaskami. Wiosna szła całym światem i jakby na przekór nie-milknącym grzotom dział, jakby ma przekór szalejącej śmierci i mogiłom gęsto usypanym, posiewała królewską dłonią nowe, bujne i radosne życie. Armaty huczały ponurym basem, tu i owdzie z pól wytryskiwały słupy ognia, dymów i ziemi, na widnokregu przesuwwały się szare łańcuchy żołnierzy, jadowicie błyszcząły stalowe płoty bagnetów, wskroś pól przeciągały nieskończone obozy, czasem na przełaj, po oziminach, leciała kawaleria, czasem rwał się okropny, wstrząsający krzyk mordujących się nawzajem i groza pokazywała twarz przerażenia.

Ale wśród tych huraganów człowieczej złości i zbrodni, rodziły się dni coraz bardziej nagrzone i pod tkliwymi całunkami słońca ziemia zdała się dygotać i prężyć warem wzbierającej mocy; tryskały liście z drzew okaleczających, zieleniły się pola, zakwitały łąki, a tu i owdzie dzikie wiśnie okrywały się w śnieżne przyodziewy, kaczęńce tkały złotolite kobierce i całym światem przepływał wzmagający się z minuty na minutę, nieśmiertelny hymn życia.

Z jam i rumowisk wypełzali ludzie; wylękłe, spalone łzami niedoli oczy ze zdumieniem widziały słońce i wiosnę; wargi się uśmiechały i nadzieje wstępowały w udręczone serca. Zaroily się sady, wietrzono pościele, gdzie już zadzwoniły dziecinne głosy, nikt już nie potrafił wysiedzieć pod ziemią, raz po raz ktoś przebierał się chyłkiem w pola ku swoim zagonom. Na ogrodach, po miejscach zasłoniętych rumowiskami, kopano ziemię i posiewano rozsady. A kiedy któraś z gospodyń wypuściła do sadu parę gąsek, jakimś cudem ocalonych, pół wsi zbiegło się patrzeć i lubować gęsiorowym gęgotem. Zasię Michał Kozioł chodził jakby pijany. Po wiele razy w dzień i w nocy wyląził w pole na zwiady, trawiąc długie godziny na medytacjach. Coś się z nim wyrabiało niewypowiedzianego. Nie mógł jeść i nie mógł całkiem sypiać, wychudł na szczapę, ledwie już nogami powłóczył a nie potrafił usiedzieć na miejscu, takie go żarły ognie niczym nieugaszone. Jakże, trzydzieści morgów jego ziemi czekało — trzydzieści morgów wołało do niego słodkim, nakazującym głosem. A on słyszał, czuł, rozumiał i chodził szarpiąc się w bezradnej męce. Bowiem z dnia na dzień wyczekiwał, aż to przekłete ptactwo kul przestanie krążyć nad jego polami. Ale wciąż słyszał ich piekielne chichoty, wciąż żelazne szpony rozdzierały mu ziemię i wybijały doły. Pewna śmierć czyhała tam na każdego śmiałka. Dobrze wiedział, ile co dnia wynoszą rannych, ile pod lasem przybywa mogił i krzyżów. A pomimo tego nie wytrzymał w końcu. Któregoś ranka o świtaniu przykazał Jaškowi zakładać konia do pług.

Zastąpiła mu żona drogę z niemałym lamentem.

— Naści głupi! Kaj to jedziesz? Na czystą zgubę!

— Nie twoja sprawa. Wynieś jęczmień na słońce i przesusz.

— Twoja wola, jeno Jaśka ci nie dam. Ostatni mi został, a ty go na pewną śmierć wystawisz. Loboga, ludzie ratujcie! — zapłakała żałośnie.

Nie dał się, i nie zważając na jej płacze i prośby, ruszył z chłopakiem w pole. Prawie pod samym lasem leżało kartoflisko, które chciał zaorać pod jęczmień, tam właśnie, gdzie najczęściej padały pociski. Stał na nieustraszenie na zagonie, przeżegnał się, lejce zarzucił na szyć, Jaśkowi kazał prowadzić konia przy pysku, by się nie strachał strzałami, ujął pług mocną dłonią i zaczął orać. Dojechał końca zagonów, zawrócił i kładł skibę za skibą, równo i spokojnie, nie bacząc na strzały ni niedalekie wybuchy. Orał zawięcie, z lubością wpierając bosc nogi w wilgotną, chłodną ziemię, radośnie patrzył na lśniące, tłuste skiby. Rzeźwy a ostry zapach ziemi upajał go niby kadzielne dymy w czas podniesienia. Hej, co mu tam wojna i kule! Swój własny zagon orze, pod chleb uprawia rolę, jak jego ojce i dziady robiły, jak jego wnuki robić będą. Szczęsny spokój przepełnił mu duszę. Pan ci on jest nad pany, gospodarz prawy i wierny posłusznik tej świętej ziemi.

Cichość się w nim rozrosła ogromna — cichość pełna tajemniczych, wiośnianych poczynań i marzeń, jako w tej ziemi rodzącej.

— Tatulcu, strzylają! — wołał niekiedy Jasiek, trwożnie zezując na strony.

— Nowineś rzekł. Niech se strzylają! Co nam do tego. Weź no krócej kobyłę, bo się jeszcze stracha. Wio maluśka, wio! Karemi to by się było zaorało do wieczora. Mój Boże, co się to z niemi stało!

Już piąty zagon doorywał, kiedy przyleciał z krzykiem jakiś oficer.

— Człowieku, czyś ty rozum stracił? Uciekaj, bo cię zabiją...

— I... przecież nie do mnie strzylają. Komu straszno, niechże se ucieka, mnie pilna orka wypadła. Ja ta na swoim siedzę! — dodał z naciskiem.

I orał dalej, nie bacząc na coraz gęstsze strzały i dzikie, bitewne wrzaski wybuchające spoza lasów; nie zszedł z roboty aż o właściwej porze.

Nazajutrz już parę pługów ukazało się na polach, a Józefowa, której chłopą wzięli do wojska, wozila krową nawóz pod kartofle.

— Jaka to gospodyni — chwalił ją Koziół — i kupy akuratnie usada. Drugie, to jeno umieją się żalić a lamentować.

Kończył już orać, gdy przyleciała z wrzaskiem Tereska.

— Gospodarzu, a to Sikorę rozerwało z pługiem i koniem!

— Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie — wyszeptał, obcierając uznojone czoło. — Co Pan Jezus komu przeznaczy, to go juści nie minie. Wio, popędzaj Jasiak, musim doorać.

A nazajutrz o świtaniu również stanął do roboty, stanęli i, drudzy zachęceni jego przykładem, że na polach w kurzawie płomienistych wybuchów, pod gradami kul, nieustannie świszczących, zaroilo się od ludzi. Niejeden kurczył się w sobie, żegnał, pacierze odmawiał, czasem trwożnie umykał z głową, gdy pocisk niżej zawarczał, ale z placu nikt nie uciekał.

Nic to, iż drugiego dnia przywlekli z pola starą Marcinową, ciężko poranioną, że tegoż jeszcze dnia Nawrockiemu oberwało nogę a chłopaka Koziarów, poszarpało na strzępy.

Nie powstrzymało to pozostałych.

Jeno wzmożyły się ciche płacze głuchą nocą, jeno żalosne lamenty rodzin pokrzywdzonych zakwiliły rżęsiściej pod rozwalonym kościołem — zasię reszta, zarówno chłopci, kobiety, dziewczki jak i wyrostki, wychodzili nieustraszenie na robotę.

Kto padł, po tym mówiono pacierze, a pozostali, niby żołnierze świętej sprawy, stawali w karnym ordynku, posłuszni nakazowi ziemi.

Robili, co robić byli powinni.

Wypadło oddać tej ziemi ostatek krwi i dech ostatni, oddawali ze spokojną rezygnacją.

Próżno sam proboszcz z dobroci serca ostrzegał i powstrzymywał.

— Nie dość, że zabijają, ale i z roboty nic nie pozostanie, stratuja i zniszczą.

— Śmierć robi swoje, a ty chłopie rób swoje! — odparł na to Michał Kozioł i wyjechał z pługiem na rolę; drudzy też nie posłuchali Jegomości.

Na nieszczęście bitwy wzmagały się z dnia na dzień i takie huragany pocisków rwały się po polach, że roboty w dzień, przy słońcu, musiano wreszcie zaprzestać. Niepodobna się było pokazać na świecie.

Wieś zaległa w jamach i dołach, ponuro nasłuchując piekielnego warkotu armat, lecz skoro jeno zmrocząło na świecie, wszyscy stawali do przerwanych robót. Kto jeno żył ruszał w pola. Od zmierzchów do pierwszych świtań, wrzała wytężona, gorączkowa praca.

Przyświecały im krwawe łuny pożarów, wybuchy granatów i przemglone gwiazdy.

Michał Kozioł zaraz z wieczora zniósł worki z jęczmieniem na swoje zagony i zabrał się do siewu. Przepasany białą płachtą i kolebiąc się z boku na bok, rozsiewał zboże półkolistym, błogosławiącym ruchem.

Jasiek bronował.

Noc była szara, mętna i często rozdzierana błyskawicami wybuchów. Niekiedy brzęczały karabinowe kule, niekiedy ogromny grzmot wstrząsał powietrzem i słupy ognia buchały w niebo, a czasami blade, straszliwie wytrzeszczone oczy reflektorów spadały na pola i mknąc cicho po zagonach, szukały uparczywie i długo. Wtedy, w owym widmowym świetle jawiły się przygarbione sylwetki ludzi, zwarte wody i każda fałda ziemi. Zasię potem, w miejscu tknięte tym piekielnym spojrzeniem, biły długo i z nienawiścią bomby i szrapnele.

Michał Koziół nie zważał na nic, co się wyrabiało dokoła, spieszył się jeno i już dosiewał trzeciego zagona, gdy naraz zakręcił się w miejscu i przysiadł w bruździe. Straszliwie zaboląły go piersi, ledwie dech poradził złapać, ból rozrywał mu żebra, nie jęknął jednak, i przywoławszy Jaśka, oddał mu płachtę ze zbożem i rzekł cicho:

— Dosiej synu... jakoś me zamroczyło... wytchnę zdziebko.

Jasiek posłusznie zastąpił rodzica i siał tym samym ruchem siewców całego świata, tak samo jak ojciec, kolebiąc się ze strony na stronę, siał równo, akuratnie, cierpliwie i spokojnie.

Michał Koziół spoglądał za nim uważnie i długo, ale nagle, jakby go ogarnęła senność... chciał się zerwać... chciał coś wołać... wytężył oczy... noc mu przysłaniała wszystko... noc gasiła światłości...

Chłopak był coraz dalej... już cieniem się wydawał... nikłym, dalekim cieniem, a każdy grzmot armatni uderzał go prosto w serce, rozrywał na ćwierci, zabijał...

Naraz Koziół, sprostował się, coś zabełkotał, rozkrzyżował ręce i padł twarzą w czarną, spulchnioną ziemię, jakoby w matczyne miłujące objęcia.

A Jasiek siał niestrudzenie.

II.

Dzień był wypadł przykry, chmurny i wiejny a do tego już od samego świtania grzmoty armat wzmagały się z minuty na minutę. Dygotała ziemia, z rozkwitłych wiśni sypał się okwiat śnieżysty i lękliwie drżały krzewiny, okryte pierwszymi listkami.

Sroga bitwa wrzała za czarną, niedaleką ścianą borów. Z przyszywającym wizgiem leciały stada kul od pola i raz po raz tryskały z zielonych zagonów fontanny burych dymów, ziemi i ogłuszających trzasków. Niekiedy wiatr przynosił jakoby żelazne gdakania karabinów maszynowych, to jakieś obłąkańcze wybuchy nagłych ryków.

W taką właśnie porę, jeno już o dobrym dniu, ruszał spod kościoła orszak pogrzebowy.

Michała Kozła wyprowadzano na cmentarz, że zaś gospodarz był na włoce, że padł na roli przy robocie, jako ten prawy żołnierz, i że miał ludzkie uważanie, to bez mała wszystka wieś ściągnęła na pogrzeb. Nawet sam dziedzic przyjechał.

Trumnę złożyli na wozie zaprzężonym w kulawego konia i nędzną krowinę. Jasiak powoził a Michałowa, ledwie już zipiąc z płaczów i zgryzot, powlekła się za półkoszkami.

Na czele orszaku zatargała się żałobna chorągiew, pokazująca straszliwą śmierć z kosą w piszczelach, za nią szedł ksiądz w czarnej kapie i łysy organista z książką w ręku.

Ksiądz zaśpiewał po łacinie, przywtórzył mu organista i wraz wykręcili z kościelnego obejścia ku cmentarzowi. Widniał z dala u końca drogi na wzgórku pod lasem kępami białych brzoź i pochylonych krzyżów.

Pęknięty dzwon zakołatał z dzwonnicy niby rozbity garnek.

Droga prowadziła szeroka, miejscami grząska i pełna kałuż. Siedziały nad nią rzędy topoli, podobne okałeczonym dziadom, wyciągającym odtrącone kulami, żalosalne kikuty gałęzi i wierzchołków. Niskie łąki siwiły się rozlewami, na suchszych miejscach żółciły się kaczeńce i wybuchały zielone chmury wierzb i łożyn.

Wiatr szumiał górą i zawiewał gorzkim i gryzącym zapachem spalenizny.

Huk armat nieustannie szarpał powietrzem, jeno w krótkich przerwach słyszeć się dawały świergotania skowronków i jakieś głuche, dalekie tętenty.

A skoro kondukt, przebrnąwszy błota, jął się podnosić na wzgórze, kule zabrzęczały nad głowami, niby te uprzykrzone osy. Ten i ów przyginał się nieco, wtulał głowę w ramiona i, spozierając na boki, ruszał prędzej i jakby zdeterminowany na najgorsze. Strach jednak zaczął podnosić włosy, ścisnąć gardła i plątać nogi. Zaszemrały gorączkowo pacierze, żegnano się skwapliwie i bito w piersi, aż jakaś kobieta zaintonowała »Kto się w opiekę«. Zbili się w kupę, niby owce przed wilkiem, gotującym się do zbójckiego skoku, zasię dziedzic, trzymający się na stronie, przysunął się również i zaśpiewał z drugimi.

Śpiewali coraz mocniej, ufniej i rozgłośniej, jakby pragnąc zagłuszyć armaty i te krew mrozące w żyłach, straszne warczenia nadlatujących pocisków i własne trwogi, szarpiące sercami. Bo-wiem chwilami zrywały się prawdziwe orkany grzmotów i kule padały tak gęsto, że w polach nieustannie wybuchały słupy dymów i ognia, zaś w szarym, przemglonym powietrzu nad borami wiły się skręty krwawych błyskawic.

Pieśń podnosiła się z wolna do krzyku, nabrzmiałego błaganiem rozpaczny, szli już coraz prędzej i wylękłe oczy, jak pobłąkani ptakowie, krążyły bezradnie.

Naraz pocisk uderzył niedaleko w łąkach, obryzgując wszystkich błotem i wodą. Zamarła pieśń, zda się skamienieli w miejscach, nasłuchując z łomotem serc uderzenia kul w topole, niby zawziętego kucia dzięciołów. Nim ochłonęli, już drugi, jakby dobrze mierzone, trzasnął w topolę, rozdzierając ją na strzępy. Zwaliła się z jękiem na drogę. Wszyscy pierzchnęli w najdzikszym popłochu. Jeno ksiądz pozostał na swoim miejscu, śmierć tańcowała wraz z chorągwią. Jasiak powoził a Michałowa, głucha i ślepa na wszystko, szła samotnie, trzymając się kurczowo trumny.

Cmentarz, na który wreszcie dociągnęli, srożył się w zapamiętałej bitwie z wichurą. Szum drzew był jak morze wzburzone. Prześwistywały złowróźnie kule. Ogromne brzozy, podarte pociskami, całe w strzępach i ranach, zmagaly się z wiatrem. Białe kolumny chwiały się na wszystkie strony, bijąc długimi gałęziami. Wierby, podobne zielonym obłokom, biły się rozpaczliwie o mogiły. Szumy drzew i wichru głużyły chwilami odgłosy bitwy. Ale sam cmentarz dawał obraz okropnego pobojuwiska. Wszystek był jakby rozstrzelany. Straszliwe pociski pootwierały mogiły, że na każdym kroku czerniały głębokie wyrwy, pełne błota, kości, spróchniałych trumien i jakichś szmat plugawych. Wojna przeorała go pługiem śmierci i zniszczenia. Krzyże z postrącanymi ramionami walały się po drogach kalekie i jakby konające. Kaplica, w której chowano dziedziców, stała w ruinie, prawieczny dąb, rozdarty do korzeni, zwałił się na nią i pokrył sobą. Jakby chciał bronić od ostatecznej zagłady własnym trupem. Sam cmentarz konał a śmierć wyła

tryumfalną pieśń na żalonych rumowiskach. Jeno żołnierskie mogiłki za kaplicą, ciągnące się rzędami, jednakie wszystkie i jakby pod komendą niskich, białych krzyżów, leżały oszczędzane przez kule.

Obok nich pochowano Michała Kozła.

Ksiądz śpiewał mu po raz ostatni, Michałowa lamentowała w niebogłosy a Jasiiek z kościelnym zasypywali dół z zajadłością i, nie małym pośpiechem.

— Chodźcie, matulu! Nie ma czasu! — powiedział po skończeniu, podnosząc ją z ziemi.

Ksiądz ją pocziwie podtrzymywał, i gdy powracali do wsi, rzekł:

— Wola Boża! Umarł Grzela! Rozerwało Franka! Zginęła Marcynowa. Zabiło chłopaka Koziarów! Przyszła kolej na Michała! Wieczne odpocznienie daj mu, Panie. Chłopiec był sprawiedliwy i pocziwy. Cóż począć, taka wola Boża. Ta wojna, to kara za grzechy, straszna kara. Ten wiatr tyle drzew nie wyłamie i tylu liści nie oberwie, co ludzi pada dzień po dniu. Nie płaczcie! Łzy nie pomogą.

— Musicie mieć, matko, siły do przetrzymania tych okropnych czasów. Bitwa jakby już przycichała — zauważył naraz, pilnie nasłuchując. — Ciężko wam będzie samej na tylem gospodarstwie. Jasiiek, a poradzisz to sobie z ziemią? — zapytał się nagle.

— A bo ja wiem? — zafrasował się chłopak głęboko i, skrobiąc się po głowie, rzekł z powagą: — Robił będę, jak tatuś robili! Może i poradzę! — niebieskie jego oczy błysnęły mocą.

— Mój Jezu, z tylu synów ten ci mi jeno ostał sierota, ten jeden! — zapłakała znów matka.

— Wróć i tamci, wróć — pocieszał ją serdecznie. — Niech no się tylko wojna skończy.

Wracali wszyscy razem na wozie. Zwinięta chorągiew leżała wzdłuż półkoszków. Z górki wóz potoczył się szparko, ale w łąkach Jasiek przynagłał batem swój zaprzęg, bo jakoś gęściej zabrzęczały kule karabinowe i robiło mu się straszno na sercu.

— Przeciera się, idzie na pogodę. Naprawdę ścicha! Że to im się nie sprzykrzy! — westchnął.

— Jak te pludraki wezmą po łbie, to się im uprzykrzy! — szepnął organista, siedzący w tyle.

Ksiądz zażył tabaki, a kichnąwszy raz i drugi, podał chłopakowi tabakierkę.

— Naści, zażyj sobie, mój ty gospodarzu! — poklepał go po plecach.

— Bóg zapłać jegomości — wyrzekł z powagą Jasiek, biorąc tabakę.

— Macie ziemniaki do sadzenia? Bo jak nie, to dziedzic pożyczycy na odrobek.

— Mamy! Ojciec poutykali po różnych schowaniach i żołnierze nie naleźli — odpowiedział Jasiek, uprzedzając matkę. — I gnój wywieziony, żeby jeno zasadzić...

— Choćby ziemię spyskać, jak to prosię, a co się tylko da, wsiać i wsadzić — upominał ksiądz.

— Juści, że ziemi przecież nie ukradną! — pogadywał ośmielony Jasiek.

— Przecież i ta wojna nie będzie trwała wieki! A może się przetoczy w drugie strony!

— Walek, co to handluje z żołnierzami, powiedział wczoraj, jako wojska lada dzień pójda naprzód. Pobiją i zaczną pędzić przed sobą. Przez Kozłów przewaliło się tysiące tysięcy. A co armat! Sam widziałem: ciągnęły ogonem przeszło na milę długim. Pono Japończy

ciągną z pomocą — tu organista, pochylając się nad księżymi plecami, zaszeptał tajemniczo: — Pod sekretem powiedział o tym wójtowi sam komisarz! A i pan dziedzic z Dąbrowy potwierdzał. Pojadą balonami prosto na Berlin! Z Niemcami będzie kaput! Od początku mówiłem to samo! Gdzie im się mierzyć z naszymi. Nasz musi wziąć górę! Boże święty! A któż to mu się oprze? Kto?

— Nasz! Jaki nasz? — zachnął się proboszcz. — Plotą bzdury, a ty je powtarzasz, jak ostatni cymbał! Nasz! Dobry mi nasz... — Urwał nagle i, obejrawszy się gniewnie na organistę, tylko wzruszył ramionami. Rozmowa w tej materii wydała mu się niebezpieczną.

Jechali w milczeniu. Michałowa szłochała cicho. Bitewny huragan oddalał się gdzieś dalej i słabnął z minuty na minutę, że tylko już niekiedy dawały się słyszeć głucho i jakby coraz dalsze grzmoty. Niebo pojaśniało, jeno mgliste tumany czy dymy wlokły się nad łąkami, a stada wron leciały z krakaniem ku pobożowiskom.

Jasiek zawiózł księdza przed plebanię, podobną raczej do kupy rozwalonych ścian, dachów i cegły. Czekał już tam dziedzic, wysoki pan w siwym ubraniu, z twarzą wygoloną i niebieskimi oczyma. Dwa srokate wyżły leżały mu przy nogach.

— Bałem się, że i żywa noga nie wróci z cmentarza — powiedział, witając księdza.

— Bez woli Boskiej i włos z głowy nikomu nie spadnie!

— A myśmy uciekali, jak zające przed nagonką. Byłem, jak ksiądz wie, w różnych opałach, ale pierwszy raz w życiu złapał mię taki strach, że chyba w tej ucieczce nikt mię nie przegonił. Zachlapałem się, jak nieboskie stworzenie. Najgorsze jednak, że Smole przestrelono nogę. W ucieczce nie wiedział o tym, dopiero jak się znalazł w chałupie i zobaczył krew, zemdłał. A teraz krzyczy wniebogłosy.

— Zaraz pójde do niego. Przegryzę coś niecoś. Od wczoraj nic jeszcze nie jadłem.

— Jeśli będzie potrzeba, mogę posłać po doktora. Michałowa — zwrócił się do wdowy — bardzo mi żał waszego męża, człowiek był mądry i poczciwy. Stało się, taka wola Boża. Nie pierwszy on i nie ostatni. I jeszcze w taki czas odszedł, kiedy potrzeba siać i sadić! Jak wy sobie poradzicie? I z inwentarzem, widzę, krucho?

— A juści. Ten koń, ta krowa i maciora, to wszystko, co nam pozostało — szepnęła głucho.

— Macie już co w polu zrobione? — troskał się poczciwie.

— Gnój pod ziemniaki wywieziony i wsiane ździebko jęczmie-
nia. Przy tym go zabiło. Świętymi słowami prosiłam, żeby nie szedł
pod kule. Nie usłuchał! I teraz my sieroty nieszczęśliwe! Sieroty!
— zapłakała, szarpana straszną żalnością.

— Słuchajcież, przyślę wam jutro dwie pary koni z pługami. Za-
sadźcie kartofle.

Michałowa pochyliła mu się do kolan, dziękując ze wszystkiego
serca.

— Spiknęli się na nas, to musimy sobie pomagać i nie dać się.
Uważajcie, gospodyni: nie dać się. Jednaka bieda wsiadła nam
na karki.

— Jasiak, a padnijże dziedzicowi do nóg za taką łaskę! — rozka-
zała synowi.

Jasiak uczynił, co mu nakazała, lecz kiedy powracali do chałupy,
rzekł niechętnie:

— Dałbym sobie radę i bez dziedzicowej łaski.

— Głupiś, nie bądź hardy! Pamiętaj, pokorne cielę dwie matki
ssie! — upominała.

Na ruinach chałupy czekała już na nich Tereska, córka komornicy, zabitej walącymi się ścianami domu, dziewczka jak piec i wielce urodziwa. Pomogła wysiąść gospodyni, prowadząc ją do piwnicy, w której obecnie mieszkali. Piwnica była sklepiona, obszerna i ciemna, gdyż małe, wysoko umieszczone okienka skąpo dawały światła.

Pachniało w niej jałowcem, woskowymi świecami a ździebko i kapustą. Na kominie trzaskał wesoły ogień, podłoga była umieciona, wysypana żółtym piaskiem, potrząśnięta świerkowymi gałązkami, i wszystko na przyjęcie spodziewanych gości nagotowane.

Należało się pamięci nieboszczyka i prawiecznym obyczajom, aby jako tako wystąpić. Przeto długi stół ustawiono pod okienkami, a na nim przetaki z nakrajanym chlebem i miski bielejące się krajankami sera, zaś w kominie parkotały jakieś gary, smakowitą parą zalatujące.

Jakoż pokrótce jęli się schodzić ludzie: przyszli krewni, przyszli powinowaci i przyszli, którzy z nieboszczykiem żyli w przyjacielstwie, a że żaden nie szczędził pocziwego słowa, wspominań o zmarłym i użalał się nad sierotami, to raz wraz wybuchały szlochy, płacze i lamenty. Ale, ponieważ czasy były ciężkie, więc, aby ulżyć sierotom, gospodyni naniósł placków, sera i zdarzyło się nawet jedno i drugie niezgorsze pęto kiełbasy. Któryś znów z bogatszych i szcudrzejszych wyciągnął niemałą flachę gorzałki.

Ciasno się uczyniło w izbie, gwarno i prawie ciemno od dymów.

Michałowa zapraszała na chleb żałobny, molestując każdego z osobna i usadzając wedle znaczenia i majątku. Pierwsze miejsce na ławie pod ścianą wziął Balcerek, dawny wójt i cioteczny nieboszczyka, przy nim zasiadł łysy i pękaty organista, a reszta posobnie,

jak komu wypadło. Kobiety zajęły ławę po drugiej stronie stołu.

Zaczem, wedle starego obyczaju, organista wystąpił z przemówieniem żałobnym i tak do serca trafiającym, że chociaż mało co go kto rozumiał, wszyscy się popłakali. Poczem, zmówiwszy wspólny pacierz na intencję zmarłego, wzięli się do jadła i napitków.

Michałowa z Tereską posługiwały pilnie, bacząc, aby nikomu nic nie brakowało.

I tak sobie na przemian pobożne pieśni śpiewali, jedli a w kieliszki podzwaniali. Kolejki szły gęsto a cicho, jeno głosy były coraz tkliwsze, twarze czerwieniały i dusze, omotane udręką, biadoliły na człowieczą dolę. Jakże, taka wojna, tyle zniszczenia, wieś w ruinie, pola odłogiem, śmierć na każdym kroku, nieszczęście w każdej chałupie! Niejedna zapłakała rzewliwie na te straszne wypominki strat i krzywd, zaś ten i ów srożył się, pięścią bił w stół i wygrażał na wszystkich zbrojnych zbójów i złodziejów.

Naród się burzył, targał i szumiał, niby ten bór napastowany przez srogą nawałnicę, że po jakimś czasie już niepodobna było rozróżnić głosów, bowiem wszyscy naraz mówili, skarżąc się jeden przed drugim i wyżalając z przeróżnych utrapień i dolegliwości.

Niekiedy od grzmotów armat zadygotały ściany, aż dziad, siedzący pod kominem, stary, kulawy Pietr, markotnie tropiący nosem za gorzałką, jękliwiej i głośniej wyciągał litanię za nieboszczyka. Nikt ani zwrócił na to baczenia, więc dziad rozpoczynał wojować z pieskami i dziećmi, cisnącymi się do wywartych drzwi.

Ale w tym żałobnym rozgwarze nie zauważono nawet braku Jaśka. Matka, zajęta ugaszczaniem, płaczem i kumami, zapomniała o nim ze szczętem. A chłopak się nie zjawiał. Siedział w murowanej piwnicy w sadzie, przemienionej czasu wojny na stajnię i oborę. Żal go rozbierał po ojcu, a ilekroć posłyszał gwary, płynące od strony

chałupy, pycha przepełniała mu serce, że tak godnie czcili jego pamięć, a zarazem rosła w nim zawziętość i gniew przeciw matce.

— Proboszcz uczęstował mnie tabaką i gadał, jak z gospodarzem, sam dziedzic mnie uważał — rozmyślał żałośnie. — A matka dbają o mnie tyła, co pies o piątą nogę!

Poczuł się strasznie pokrzywdzonym, wciąż na darmo, wyczekując.

Tereska zaglądała do niego co pewien czas, rozprowadając popieszczeniście, co się tam dzieje: jak to piją, jak jedzą, jak śpiewają i o czym to się uradzają.

Chłopak chmurniał, zacinając się w coraz większej obrazie.

Pod wieczór, właśnie kiedy były ścichły piekielne kanonady, a słońce czerwone i ogromne zawisło już nad borami, Tereska przyniosła mu kapusty z kiełbasą.

Ani chciał tknąć łyżką, lecz tak prosiła, tak mu podtykała, że wziął się do jedzenia. Ona zaś, cisnąc mu się do boku, molestowała żarliwie, by przyszedł do chałupy.

Nie pomogły prośby, ni jej zagładania w oczy, bo rzekł na wpół z płaczem:

— Nie pójdę! Ojcowy pogrzeb, to kiedy mnie za stołem nie usadzili, to niech sobie sami żrą i piją. Kogo nie proszą, tego kijem wynoszą. Nie pójdę!

— Juści, że tobie, Jasiu, należy się pierwsze miejsce. Prawda, przecież twoja gospodarka po ojcu a nie matczyna — przywarła do niego piersiami. — Twoja, Jasiu!

— Taki gorąc od ciebie idzie, aże poty na mnie biją — mruknął, odsuwając się nieco.

Oblizwała czerwone wargi, a wpierając w niego z bliska jarzące ślepie, zaszepotała:

— Żebyś posłuchał a przed matką nie wydał, tobym ci cosik rzekła.

— Powiadaj. Z ozorem nie latałem, to i teraz nie polecę. Myśmy z tatusiem trzymali za jedno, chociaż matka przykazowała powiadać wszystko, jak się zdarzyło na jarmarku czy odpuście. Anim pary z gęby nie wypuścił. To Franek zawsze wydawał ojca.

— A będziesz to śmiał zrobić, co ci poradzę? — przytuliła się znowu do niego.

— Zrobię, Teresko, na złość matce, a zrobię! — obiecywał.

— Jak się wszyscy rozejdą, to matce rzeknij, żeś ty tutaj gospodarzem, że to twój gront, twoja chałupa i twoje wszystko. A dołóż, jako gospodarkę swoją, głową poprowadzisz.

— Czy ja poredzę sam, Tereska, co? Przecież i ojciec a nic bez matki nie poczynali.

— Ja ci pomogę, Jasiu, we wszystkim, tylko mnie słuchaj. A potem jeszcze powiedz, żeby ci matka oddała pieniądze. Sporo zostało gotowego grosza, wiem, gdzie schowane.

— Zdałyby się, że to i buty już mi zlatują z kulasów. Od żołnierzków tanio by kupić.

— Ostro się postaw a matka ci odda. Nie bój się tylko.

— Jać się nie boję, ale matka prędką i gotową wziąć się do kija...

— A dałyś to się bić? Nie parobek to już z ciebie, nie gospodarz? — jątrzyła.

— Dać bym się poniewierać nie dał, cóż jednak poradzę, jak mnie zdzieli przez łeb? Przecież nie oddam. Jakże, z matką bym się bił? I tatusiowi różnie się trafiało, a nigdy na nią nie podnieśli ręki. Niech bije a ja swojego i tak nie daruję!

Naraz Tereska jak oparzona skoczyła w głąb obory, pod żłoby, bowiem Michałowa z Balcerkiem ukazali się na progu. Przyszli po Jaśka i, pomimo jego oporu, wzięli go z sobą, do izby. Balcerek,

usadowiwszy go na ławie między gospodarzami, przepił do niego i, podając pełny kieliszek, wyrzekł uroczyście:

— Napij się, chłopaku. Gospodarz teraz z ciebie, jak my wszyscy. To ci w tej żałobnej godzinie powiem, coby ci nieboszczyk ojciec powiedział: szczęść ci Boże we wszystkim! Niech ci ta święta ziemia rodzi, dzieci się chowają i przyrasta fortuna. Wujem ci jestem i opiekę nad tobą bierę, sieroto. Pijże, Jasiu! — tu ryknąwszy płaczem, wziął go w szerokie ramiona.

Po nim uczynili to samo drudzy, że Jasiak poszedł kolejką z rąk do rąk wraz z kieliszkiem i flachą, każdy zaś przepijał do niego, każdy ścisnął, każdy najlepszego życzył i, wspominając zmarłego ojca, mądre słowa przestróg i rad prawił a na drogę żywota błogosławił.

Potem wzięły go w swoje obroty kobiety, a że chłopakowi było na ośmnasty, że twarzy był urodziwej i foremnej postaci, że mogło się zdarzyć, jako na całej włóce usiedzie, to otoczyły go niby kokosze i dalejże nad nim krzekorzyć, jednać podchlebnymi słowy, durzyć łaskami, a złote góry obiecywać. I każda swoje kładła mu w uszy:

— Naści tego słodkiego miodu, sieroto. Pofolguj sobie dzisiaj, bo jutro nie wiadomo co nas czeka. Taki gospodarz, mój Boże, a zerwało go niby tego marnego kurczaka!

— Na matczyną pociechę rośnij, a przejdzie wojna, to na wesele zapraszaj.

— Nie bój się, Jasiu, przyjacioły ojcowe cię wspomogą. Wszystkim zarówno ciężko, ale jeno krzyknij a pół wsi przyleci pomagać. Sam nie poradzisz w roli, do sadzenia ziemniaków przyślę ci Julię. Dziewczyna jak smok, zrobi za dziesięć.

— Słomy ci potrzeba na poszycie chałupy, damy ci, sieroto. Twój ojciec świadczył każdemu jak mógł, to cię dobrzy ludzie nie opuszczą w potrzebie.

— Świnię nam onegdaj w polu rozerwało, dziewczyny narobiły kielbas. Przyjdźże, Jasiu podjesz sobie, sieroto, i frasunków się zbędziesz choćby na te minuty.

Gadały mu jedna przez drugą, że chłopak, pijany już nieco i ledwie rozumiejący co się z nim wyrabia, uciekł im na powietrze. Wypadła za nim Tereska.

— Nie wierz im — zaszepiała, odciągając go na stronę pod drzewa. — Każda by cię rada, jak tego cielaka, zaprowadzić na stronku do swojej komory. Mój Boże, bogaczowi, choćby jak pies parszywemu, niejeden sprzedałby i własną skórę. Uważaj, coć rzeknę: jak się rozejdą, wystąp zaraz, niech matka odda ci pieniądze po ojcu. I nie bój się!

— Cóżbym się miał bać? Gospodarz przecież jestem! Loboga, tak mi się w głowie kręci!

Ale goście nieprędko się rozeszli. O zmierzchu część zebranych ruszyła do domów, bo po wsi rozległy się, pijackie przyśpiewki, wrzawy i klątwy na ciemność i błoto, reszta zaś żałobnej kompanii piła jeszcze na intencję Michała Kozła.

Wieczór był nastał cichy i ciepły, mgły przysłoniły wieś jakoby w białą, puszystą wełnę. Niebo wisiało ciemne i bez gwiazd. Nad łąkami krzyczały czajki. Dziwny spokój ogarnął świat, bowiem od zmierzchu nie zagrzmiął ani jeden strzał. Bitwa ucichła.

Deliberowali o tym w niemałym zdumieniu, snując różne przypuszczenia, kiedy zjawił się Walek, trzymający we wsi sklep i handlujący z żołnierzami.

— Wiecie — krzyknął od progu — wypędzili pludraków! Zmiatają na łeb na szyję!

Radość ogarnęła wszystkich. Piekielna zmora wojny spadła z serc. Odetchnęli z niezmierną ulgą, zdało się im, że już koniec nieszczęściom, pożarom i śmierciom. Gwar się uczynił, każdy wypominał swoje klęski a snuł horoskopy na przyszłość. Dla wielu jednak ta wiadomość nie wydawała się prawdziwą. Nacierali na Walka, by opowiadał samą prawdę.

— Nie wierzycie? Kozaki siedzą u mnie w sklepie, to wam powiedzą!

Kto jeno żyw, poleciał, aby się przekonać o tej radosnej nowinie.

W izbie uczyniło się naraz cicho i pusto, nawet dziad pokuszykał za wszystkimi.

Michałowa z Tereską zajęły się sprzątaniami, zaś Jasek drzemał w kącie za stołem:

— Matka! — zagrzmiał naraz, przeciągając się, jak to był czynił nieboszczyk ojciec.

— Czego ci? — odburknęła.

— Oddajcie mi pieniądze po tatusiu — wyrzucił hardo i jednym tchem.

— Spiełeś się i pleciesz trzy po trzy. Ruszaj mi zaraz do stajni, pora spać.

— Co mi tam wasze rządy! Słuchał was nie będę. Ja tu gospodarz — grzmotnął pięścią w stół. — Jak przykazuję, tak być musi, a nie, to fora ze dwora! Moje tu wszystko i wola moja!

— W imię ojca i syna! — krzyknęła, rozwierając ramiona. — Co mu znowu do łba strzeliło? Słyszałaś, Tereska? A ty pijusie jeden, a ty zapowietrzony skowyrku! Ja ci pokażę rządy!

Ryknęła i, jako że była prędką i twardej pięści, wywlokła go spoza stołu, sprąła, co wlażło i, zapędziwszy do stajni, obiecywała jeszcze jutro mu dołożyć.

Chłopak ani nie zipnął i, zmalretowany, rzetelnie zbity, padłszy na swój barłóg, zapłakał gorzko. I w tym płaczu zasnął. Obudził się przed świtem i na świat wyrzął.

Noc już konała, przygasały gwiazdy, białe, spienione mgły okrywały pola i łąki, że jeno czarne czuby drzew widniały nad nimi. Cicho było. Ani jeden strzał nie zatargał powietrzem. Gdzieś z drugiej wsi dochodziło pianie kogutów. I ptaki już się budziły.

Jaśkowi rozboleła gnaty i twarz opuchnięta przypomniały wczorajszy despekt. Zaklął siarczyście i, okręciwszy się ojcowym kożuchem, przyłożył się znowu, medytując nad swoją dolą. Przypomnienia piekły niby ogień i coraz więcej rozżalały.

Dzień już był i słońce wyniosło się na chłopa, kiedy Tereska go rozbudziła.

— Jasiu, dziedzic od południa przyśle dwie pary z pługami do sadzenia ziemniaków.

— A to sobie sadźcie! — mruknął, nie podnosząc głowy z pośłania.

— Matka kazali, żebyś leciał na wieś po ludzi. Trzeba nająć ze sześcioro. Tyle roboty! I doły odkryć, i ziemniaki przebrać, i krajać, i sadzić. Wstań, Jasiu.

— Kiedy matka taka gospodyni, to niech sobie sama poradzi, mnie nic do tego.

Tereska, kucnąwszy przy barłogu, zaczęła go nauczać, jak ma sobie postąpić.

— Twoją stronę trzymam, Jasiu, ale ci powiem, jako złością nic z matką nie zwojujesz. Pójdzie udry na udry i co z tego będzie? Gniew i obraza Boska. To ci poradzę, rób jak twój ojciec robili:

matka piekłowała, często gęsto nawet i nieco oberwał, a zawsze na swoim postawił. Bo się głośno matce nie przeciwiał. Udawaj, jakbyś nie słyszał, niech się wykrzyczy, a ty swoje rób i z wolna wszystko w garście bierz. Ani się opatrzy, jak cię słuchać pokornie będzie. Wstań, Jasiu — szeptała, gładząc go pięściwie po twarzy.

Chłopak się nie odezwał więcej a w końcu odwrócił się do niej, plecami.

Potem przyleciała matka i, wywarłszy na niego gębę, gotowa była nawet spróbować pięści, ale ją powstrzymał jego nieulekły wzrok. Wysłuchał próśb i gróźb i rzekł:

— Robił wam nie będę. Kiedy mnie macie za psi pazur, to sobie sami gospodarujcie! Zbrakło tatusia, to teraz mnie chcecie ciesać kołki na łbie.

Aż się jej pazury same wyciągnęły do jego kudłów, powstrzymała się jednak.

— Czyś ty się wściekł? Opamiętaj się, póki mówię po dobremu! Dzień już jak wół, słońce, cicho, wojska odeszły, na polach aż się mrowi od ludzi, robota czeka. Dziedzic od samego południa przysła dwa pługi do pomocy. Wstań i biegaj po ludzi. Wstań, synu.

— Rzekłem swoje — odparł spokojnie i, wstawszy z posłania, usiadł na słońcu pod ścianą.

Skłęta go, jak psa, i poleciała na wieś najmować ludzi do pilnej roboty.

Jasiek zaś suszył zęby na słońcu i siedział nieporuszony, srodze zamedytowany, jakby nawet nie widząc, że na dołach z ziemniakami zrobiło się rojno i gwarno.

— A kajże to syneczek? — pytała Marcinowa, pyskacz baba, że i na świętym nie zostawiłaby suchej nitki. — Pewnie już w polu! — zaśmiała się, przebijając ziemniaki.

— Obrządza inwentarz — odparła Michałowa, posępnie pozierając w stronę chłopaka.

— Pono do świtania przedzwaniiali nieboszczykowi kieliszkami, to się utrudził chudziak.

— I po co mu się śpieszyć spod pierzyny? Albo to nie gospodarz na włóce, albo to najemnicy nie zrobią za niego? — dogadywały drugie, dobrze wiedząc, co się stało.

Dotknięta tym Michałowa jęła się cicho wyżalać przed Tereską.

— Już mnie bierą na ozory! Co ja z nim pocznę? Uparty, jak prawdziwy kozieł. Nie i nie.

— Boście go spostonowali okrutnie.

— Ledwim go tknęła. Chłopak przecie nie chuchro, nic mu się nie stało.

— Ale gębę ma posiniaczoną i płacze, że go bolą gnaty — dokładała ostrożnie.

— Przyprowadził mnie do złości. Jakże, ledwie to od ziemi odrosło a już z pyskiem na mnie! Kubek w kubek, jak jego ojciec. Przemów ty do niego.

— Was nie słucha, to mnie by ta posłuchał! Jeszcze mnie zeklnie.

Ale poszła, próbując na wszystkie sposoby skaptować go dla matki, lecz i sobie też zjednać i urobić dla siebie. Miała na niego głęboko ukryte zamiary. Na darmo jednak poszły przymilania, zagładania w oczy, przyśmiechy i obejmowania w pół.

— Głupia! — mruknął wreszcie — myśli, że jak matczynej kiecki się puściłem, to się zaraz przy niej uwieszę. A susz sobie zęby do żołdatów, prędziej co wskórasz!

Odskoczyła zagniewana. Matka zaś, wysłuchawszy jej opowiadania, postanowiła użyć jeszcze jednego sposobu, jaki jej nigdy nie zawodził z nieboszczykiem mężem:

— Trzeba mu narządzić dobre śniadanie, to się ułagodzi.

Pokrótkce sześć jajek i kawał kiełbasy zaskwierczały w tygielku, aż zapachniał cały sad.

— Jasiu, chodźże jeść — przemówiła jak mogła najłagodniej.

— Nie pójdę! Wsadźcie sobie w nos wasze jadlo! — warczał, błyskając ślepiami.

— To niechże się pieski ucieszą jajecznicą z kiełbasą — rzuciła od niechcienia.

Pociągnął nosem i, nie przemówiwszy już, poszedł do izby i łapczywie wziął się do jadła.

— Podjedz sobie, Jasiu — zagadała pocziwie, stając przy nim. — Przemówże choć to słowo. Loboga, że to człowiek nie ma ani godziny spokoju! Choryś czy co? Żeby nie roboty z ziemniakami, tobym cię zawiezła do doktora — próbowała z nim tak i owak.

Nie odezwał się i, najadłszy się do syta, pasa ojcowym sposobem przyciągnął i zaczął ze skrzyni wywalać swój świąteczny przydziełek. Patrzyła w zdumieniu, nie mogąc pomiarkować, co z tego wyjdzie. Wzwał buty, kapotę włożył i, nasadziwszy kapelusz, oglądał się za kijem.

— A gdzie się to wybierasz? — przemówiła, dygocąc w jakimś bolesnym przerażeniu.

— We świat. Poszukam sobie służby, a nie, to przystanę do żołdaków. Nie będę wam zawałał miejsca w chałupie. Zostańcie matko, z Bogiem i pocałował ją w rękę i ruszył ku drzwiom.

— Jasiu, na rany Boskie, co ty wyrabiasz! — zakrzyczała w rozpacz, zastępując mu drogę. — Jasiu, laboga! Po moim trupie przejdiesz! — rzuciła się na niego i, objawszy mocno rękami, wybuchnęła strasznym płaczem. — Nie puszcę cię, nie puszcę! — bełkotała nieprzytomnie.

Chłopak zmięknął nagle. Matczyny płacz tak go chwycił za serce, że usadziwszy ją na ławie, przytulił się do niej i zapłakał rzewliwie, jak to ukrzywdzone dzieciątko.

Pofolgowali czułościom, zalewając wszystkie gniewy i zawziętości potokami szczerych łez. Wypominali przy tym nieboszczyka, i braci na wojnie, i siostrę na trzeciej parafii, i swoje sieroctwo, i pilne roboty. Starczyło im łez na oplakanie wszystkich krzywd poniesionych od losów, wojny i ludzi. Pojednanie skończyło się na tym, że Michałowa wetknęła mu w rękę pieniądze, pozostałe po ojcu. Przeliczył je i oddał z powrotem.

— Schowajcie, matko, konia musimy przykupić, jednym nie obrobimy — zawyrokował.

Poczem, zjadłszy jeszcze jedną jajecznicę, zabrał się pilnie do roboty.

W Kozłowej gospodarce wszystko poszło swoim zwyczajnym trybem. Zbrakło ojca, to syn stanął na świętym zagonie, jak zawsze bywało i jak zawsze będzie.

— Zawzięty, obraźliwy, honorny, ale będą z niego ludzie — myślała o nim pokonana matka. — Gospodarz mój kochany! — zaszepotała, patrząc, jak się z wolna, mądrze i akuratnie zabiera do roboty. — I nieboszczyk nie potrafiłby lepiej. Taki dzieciuch, a jaki to mądrala! — dziwowała się z radosną dumą. — Dobra krew gospodarska — utarła nos i wzięła się do pracy.

Od tej chwili nastąpiła w chałupie zgoda i głęboki spokój. Obie kobiety zabiegały około chłopaka, jakby koło skarbu, sprawiał się bowiem, jak prawdziwy gospodarz, i robił za trzech, aż się temu cała wieś dziwowała i proboszcz go pochwalił przed ludźmi, stawiając za przykład.

Bowiem po odsunięciu się bojowego frontu, roboty było tyle, że nie wiadomo, co było pilniejsze. Wiosna się też ustaliła na dobre i szła wszystkimi stronami. Sady stanęły w kwiatkach, ruszyły oziminy i obsychały drogi i mokradła. Przyszły dnie ciepłe, słoneczne, skowronkowymi świergotami przejęte i lubością dyszące, że wszystko rosło w oczach.

Cała wieś wysypała się w pole. Od świtu do nocy huczała wyjeżona, ciężka praca. Od świtu do nocy orano, siano i sadzono. I od świtu do nocy wrzały po drogach i polach krzyki dzieci, granie piszczałek, naszczekiwanie psów i ptasie śpiewania. A od krańca do krańca, jak tylko można było dojrzeć, wszędzie gmerali się ludzie, chodziły pługi, wlokły się brony i spadały w czarne role złote deszcze zbóż, że ani jeden zagon, ani jedna skiba nie pozostała odłogiem. Pracowano końmi, pracowano krowami, a komu i tej żywicielki nie zostawiła wojna, sam się zaprzęgał do pługa i krajał skibę za skibą. We wsi umilkły swary i kłótnie, bowiem każdy jako ten żołnierz stawał na zagonie i robił święcie, do ostatniego tchu, co mu przykazywała wiosna i ta ziemia rodzona.

I żeby nie te okopcone kominy, sterczące z rozkwitłych sadów, nie te żałosne rumowiska chałup i nie te nocami słyszeć się dające grzmoty dalekie armat, to ani by kto pomyślał, że tędy depały srogie stopy wojny. Rumowiska, okopy i mogiły zarastały bujną trawą. Przytem wieś leżała z dala od większych traktów, więc tylko niekiedy zaglądały do niej patrole kozackie i przeciągały jakieś zabłąkane oddziały. Od grabieży, postojów i rekwizycji broniła ją kompletna ruina. Czasem też Walek przynosił jakieś wojenne nowiny, opowiadając je ludziom powracającym o zmierzchu z roboty.

— Nie wywołuj wilka z lasu — ostrzegał surowo. — Wojna poszła sobie od nas, to nie daj Bóg, aby miała jeszcze powrócić. — I przy tym żarliwie się żegnali.

Niejeden dygotał na wspomnienie jej straszliwego oblicza, że kiedy najbliższej niedzieli pokazał się przed kościołem, jak zwykle, chłopak Mielczarków z gazetami, wykrzykując dla zachęty o nowych bitwach, Balcerk zawołał gniewnie na parobków:

Nie kupujcie! Mają też o czym pisać! Byle czym durzą i głupi wierzą. Dopiero mi to wielka rzecz wojna: jeden drugiego zarzyna, jak świnię, i cudzą krzywdą się pasie. Panowie ze sobą wojują, a ty, biedny człowieku, cierp, nastawiaj łba, zdychaj z głodu i jeszcze płać za tę fanaberię — splunął ze wzgardą.

Wszyscy starsi czuli za jedno, żaden też po gazetę ręki nie wyciągnął, ale młodzież rozkupowała, czytając ją sobie na głos po sadach i miedzach.

Jasiek, że jeden ze sąsiadów znalazł w gazecie wiadomość o śmierci syna, to ją co niedziela kupował i czytał matce od początku do końca. Czytywał ją zwykle po nabożeństwie, w sadzie, pod baldachimem kwitnących grusz i jabłoni, przy brzęku pszczelnym.

Nad nimi wisiało błękitne niebo i słońce przebierało złocistymi palcami wśród kwiatów i gałęzi. Matka słuchała z sercem pełnym lęków, aby czasem nie wyczytał o śmierci którego z jej synów, i przesuwając ziarna różańca, wlokła oczyma po wzbierających zielenią polach. Tereska, leżąc na trawie, wpatrzona w Jaśka, dziwowała się w cichości, że z takich maluśkich literek, a tak wszystko mądrze i do składu wywodzi.

— Nie bójcie się, matko: jakby Franek albo Józek byli zabici, gazeta by o tym wiedziała. Oni wiedzą wszystko. Nawet, jak co komu ukradną — zapewniał uroczyście.

I tak im przechodziły te kwietniowe dni i niedziele.

Nastąpił miesiąc maj. Zboża ruszyły w słupek i kłoszące się żyta podnosiły się z dnia na dzień, jakby ta lśniąca, szmaragdowa toń. Trawy po łąkach i rowach zdawały się być niezmiernym kobiercem, przetykanym kwiatami. Padały ciepłe i częste deszcze. Poranki podnosiły się przemglone, rosiste, południa stawały nagrzane, wieczorami świecił księżyc, zaś noce były pełne słowików, że od ich śpiewań, klaskań i zawodzeń aż w głowie się mąciło. Przechodziły dni tak niepojęcie cudne, jakoby nieustające hymny śpiewane przez wszystko Boże stworzenie i całą mocą radości, szczęścia i wesela!

A chociaż człowiecze dusze rozumiały tę świętą mowę wiosny, nie starczyło jednak czasu na jej wielbienie, gdyż ciężka praca przyginała karki do ziemi, że wszystkie dni przechodziły w jednako znojnym i wyteżonym trudzie.

Jeno o zmierzchach, przesyconych zorzami zachodów, przed figurą Matki Boskiej, stojącą w pośrodku wsi, ubranej w zieleń, kwiaty i światła, cała wieś odprawiała majowe nabożeństwa. Nie raz jeszcze późnym wieczorem, wśród słodko pachnących kwiatem sadów rozlegały się ściszone a żarem przejęte śpiewania dziewcząt. Głos Tereski brzmiał najgórniej i najrozleglej.

»Dobranoc, wonna lilijo!

Dobranoc, niepokalana Maryjo!

Dobranoc!«

Wtórowali im zasypiający ptakowie a czasami dalekie, głucho grzmoty armat.

I tak się maj przetoczył a przyszedł czerwiec. Nastąpiło suche i upalne lato. Słońce podnosiło się coraz wyżej, a noce były tak ciepłe, że tu i owdzie wynoszono się na spanie do sadów. Pola stały pełne, nalane zbożami, jako to morze falujące od brzegu do brzegu z chrzęstem ciężkich kłosów i poszumem. Niezmierna, zielona puszcza przysłoniła ziemię, nad którą tylko śpiewały skowronki, przeciągały bociany i gdzieniegdzie wynosiły się wioski i kościoły. Nawet kręte linie okopów i rzędy mogił żołnierskich utonęły w bujnych trawach, kwiatach i pszczelonym brzęku. Po łąkach zadzwoniły pierwsze kosy.

Aż nadszedł był lipiec, jako ten bogacz brząkający czystym złotem dojrzewających zbóż. Dnie były długie, bez chmurki, dyszące żarem i spiekotą. Pod nogami dzwoniła wyschnięta ziemia. Spłowiałe łąny kolebały się coraz powolniej i ciężiej, a pęczniące kłosy zwisały coraz niżej.

Wszystkie rowy, miedze i granice zagrały barwami, niby wstęgi przepasujące złotawe pola. Każdy bowiem chwast, każde ziele i każda najmniejsza roślinka występowała w królewskim przyodziewku kwiatów. Powietrze przejmował miodny zapach koniczyn. Już ścichały pola, milknęli ptacy, natomiast przepiórki zaczynały się odzywać i wróble stada spadały zuchwale na wykłoszone jęczmiona. Po wsi dzwoniły nakuwane sierpy i kosy. Zbliżał się czas żniwny, wyczekiwany z upragnieniem, gdyż latosi przednówek dawał się srodze we znaki. Z przyczyny wojny i zniszczenia w niejednej chacie głód bywał częstym gościem. Niekiedy srożyły się lipcowe, gwałtowne burze; na szczęście, pioruny były w lasy a grady chodziły stronami. Upał też wzrastał się z dnia na dzień, słońce od świtu do nocy paliło niemiłosiernie i żarem rozdrżane powietrze mieniło się nad ziemią.

Dnie wlokły się długie, znojne, niby ziarna różańca do siebie podobne i jednakowo zapełnione krwawym, ciężkim mozołem.

Wieś bowiem, zaraz, po wiosennych robotach, zabrała się do odbudowy. Jak grzyby po ciepłych deszczach, powstawały na rozwalinach przeróżne szopy, budy i klety. Rodziły się z desek, z niedopalonych bali, z gliny pomieszanej ze słomą i z rumowisk, dość, jako w parę tygodni podnosiły się tu i owdzie po sadach ściany i żółte dachy słomiane.

Stawiano byle jak, aby tylko mieć schronienie i zdążyć przed żniwami.

I u Michałowej działo się, jak wszędzie. Jasiak, pracował bez wytchnienia; wychudł, poczerniał i tak podrósł, że trudno było go poznać. Twarz miał spieczoną na słońcu, jak bochen chleba, zaś do kwiatów lnu podobne oczy świeciły hardo i wyzywająco. Czynił się coraz podobniejszym do nieboszczyka i tak samo się poruszał, mówił i brał się prawą ręką pod bok. Świącie też starał się go naśladować we wszystkim, w tym się jeno różniąc, jako rządy w domu sprawował twardą ręką. I mógł sobie pofolgować, gdyż matka za nim już nie widziała Bożego świata. I tak samo sobie poczynął między sąsiady i w kościele, zajmując miejsce przynależne po ojcu. Na procesjach baldach nosił i z grubą świecą stawał na warcie przed ołtarzem wraz z innymi. Kręcili zrazu nosami starsi gospodarze, ale ustąpić musieli, bowiem nad wiek był mądry, przemyślny i uparty, że zawsze postawił na swoim.

Dzięki tej wytrwałości, pomocy dziedzica, którego zjednać sobie potrafił, i pieniądзом, pozostałym po ojcu, odbudowę prowadził tak pośpiesznie, iż w połowie lipca stała już szopa na zboże i naprędce skleconą chałupę pokrywano słomą. Reszta miała się wykonać dopiero po żniwach.

Ale uderzył grom, burzący wszelkie człowiecze zamierzenia.

Już na jakiś czas przedtem jęły krążyć dziwne i zgoła nie do wiary wieści o cofaniu się Moskali. Przynosił je Walek, zapewniając na ucho, jako przy odwróceniu mają popalić wszystkie wsie i całą ludność zabrać z sobą.

— Nie zostawią kamienia na kamieniu! — powiadał, sam zresztą w to nie wierząc.

Bo i któż to mógł uwierzyć w takie okropne banialuki! Ale te wiadomości zaciężyły na duszach, trwoga padła, roboty szły ospale, ludzie byli powarzeni, wylękli, nastawiając tylko uszy na każdą nowinę. A przylatywały co dzień gorsze i bardziej trwożące, niby stada złowróźnie kraczących kruków.

Któregoś dnia się rozeszło, że szosy zawałone uciekającymi tabo-rami. Jakoż przyłożywszy ucho do ziemi, posłyszano turkoty niezliczonych wozów.

Posłano chłopów na sprawdzenie. Prawda była. Później znowu doniesiono, jako i wojska się cofają. I to było prawdą. Ciągnęły dniami i nocami w stronę Warszawy.

Nocami słyhać było wyraźnie głucho turkoty i tętenty. Nocami też w stronie frontów a szerokim półkolem spoza borów jęły wykwi-tać jakieś ogromne łuny pożarów.

Już do reszty przetrwożyły się serca, patrzyli ponuro, dziwując się tylko, że tym pożarom nie towarzyszą, jak zwykle, grzmoty armat i bitewne zgiełki. To właśnie najciężej niepokoiło. Wili się w udrę-kach oczekiwań, niepodobna było wziąć się do czego, robota lecia-ła z rąk, włosy powstawały na głowach. Wreszcie całą wsią poszli do proboszcza.

— Pewnego jeszcze nic nie wiem — odpowiedział otwarcie — przygotować się jednak trzeba na najgorsze. Podobno palą wszystko, po drodze, nawet zboża i ludzi zabierają!

— Spalić wieś i pognać naród we świat, to się nawet nie mieści w głowie! — zawołał któryś.

— W człowieczej się nie mieści, ale w moskiewskiej wszystko się mieści — wybuchnął ksiądz.

— To nie może być! Nasz by tego nie zrobił! Nie mówię spalić dwory i z żydami pohulać — wiadomo, jako panowie i żydzi trzymają z Niemcami — ale żeby przykazywano poniszczyć chłopów, nigdy nie uwierzę — sprzeciwił się energicznie Balcerek i, aby powziąć języka, pojechał z organistą do miasta.

Wrócili wieczorem. Cała wieś czekała na nich pod figurą Matki Boskiej. Balcerek pierwszy, wychylając się z bryki, przemówił zmienionym do niepoznania głosem:

— W mieście już ani śladu po naczelniku i urzędach! Jedne żydy szwargocą w rynku.

— Uciekli wczorajszej nocy, zabrali kasy i papiery — uzupełniał organista. — A co do tego palenia, prawda! Spalone Budy, spalone Wierzbiny, spalona Olszowa, spalone wszystkie wsie w trzech parafiach i zboża pocięte albo potratowane! Sodoma i Gomora! Dzień sądu ostatecznego się zbliża. Idą czasy, jako żywi będą zazdrościli umarłym. Tysiące tysięcy, pognali przed sobą. Kto jeno może, chowa się po lasach! — gadał roztrzęsionym głosem.

Ponura cisza zaległa tłumy, rozpacz ścisła serca, kobiety zaczęły szlochać.

— I nie ma na to żadnej rady. Co ma być, stać się musi, tak nawet stoi w Piśmie świętem. Jedno co bym jeszcze rzekł: oto co kto ma lepszego niech zaraz zakopuje i chowa!

Nie spano tej nocy; siedzieli pod chałupami zapatrzeni w pożary coraz potężniejsze i tak już niedalekie, że chwilami zawiewały zapachy spalenizny. Noc też uczyniła się dziwnie mętna i niepokojąca; psy zajadle naszczekiwały po pustych drogach, rozlegały się

w ciemnościach jakieś szlochania i jęki; nawet dzieci nieustannie popłakiwały.

— Nic to, jeno Zły krąży nade wsią! Cóżby drugiego? — szeptali starzy.

I poranek nie przyniósł odmiany na lepsze, wstał bowiem mroczny, upalny i duszny. Zbierało się jakby na burzę.

Co trochę zrywał się gwałtowny wicher, roztrzepując nad polami gęste, siwe tumany kurzawy. Niebo zaciągało się chmurami i przelatowały kręte i ciche błyskawice. I jakoś dziwnie żałośnie szumiały zboża i drzewa targane wiatrami. Bydło, nie wypędzone na pastwiska, ryczało z głodu przy pustych żłobach, ludzie zaś łazili zgoła nieprzytomni, gdy naraz podniósł się krzyk:

— Kozaki! Kozaki!

Jakoż wpadła cała sotnia i zatrzymała się na placu przed kościołem. Oficer nakazał zwołać całą wieś i, kiedy się zebrała, stanąwszy w strzemiionach, zakrzyczał groźnie:

— Do jutra wszystkie zboża muszą, być wykoszone i stratowane. Jutro też rano wszyscy ludzie z wozami, końmi i inwentarzem powinni być przygotowani do drogi.

Z rykiem padli mu do nóg, błagają, co litość, całowali jego buty, kopyta jego konia. Posłusznym obiecywał wielkie odszkodowanie za wszystkie straty, opornym zaś zagroziwszy nahajkami i powieszeniem, odjechał.

We łzach i straszliwej męce przechodziły im długie godziny. Polały się rzęsiste potoki łez. Leżeli przed świętymi obrazami, żebrząc o zmiłowanie. Stało się na wsi, jakby w każdym domu leżał konaący, i słychać tylko było szlochania i żałości. Każdy dom zawodził z osobna, każdy sad dygotał i każde drzewo zdało się jęczeć i płakać.

— A może tylko straszili! A może już nie powrócą! — czepiali się ostatniej nadziei. Czekali Boskiego zmiłowania i jakiegoś cudu, który by wszystkich ocalił od zagłady.

Ratunek jednak nie przychodził, a nazajutrz o świtaniu sołtys przypominał nakazy. Jezusie miłosierny! A któż to potrafi przyłożyć się do zniszczenia chleba, kto? Cofali się nawet przed tą myślą, jak przed świętokradztwem i najgorszą zbrodnią. Jakże, wyciąć i stratować zboża! A co będzie jutro i pojutrze? Głodowa śmierć dla wszystkich.

Ale kilku strachliwszych ruszyło w pole z kosami. Niejeden w garście splunął, przeżegnał się i zuchwale puścił ostre żelazo w spłowiełe żyto i owies zielony, ciął raz i drugi; nie szło jakoś, naostrzył kosę, wparł się mocno w zagon, zaklął siarczyście i w końcu zbrakło mu serca, że stanął wylękły zgrozą śmiertelną przejęty. Zdało się, jakby te pola żałośnie zakwiliły. Płowozielone fale, przegarniane wiatrem chyliły się im do nóg z cichym a przejmującym wołaniem. Jakby krew wyciekała z tych pociętych już garści. Naraz nieobjęte obszary zagadały chrzęstem i poszumem. Żałosna skarga poszła po ziemiach i podnosiła się w niebo, do słońca, w nieskończoność. Każde źdźbło z osobna zatrzęsało się w strachu i zdało się szemrać: »Nie zabijaj! Nie zabijaj!«

Kosy cofnęły się w lęku i rozpacz. Na taki śmiertelny grzech nikt się nie odważył. Wrócili do wsi, do chałup, gdzie już tylko wrzały płacze, szlochania i lamenty, i panował okropny zamęt. Nie wiedziano co robić. W głowach się mieszało od przerażenia. Wytaczano wozy, niektóre kobiety pakowały pościele i skrzynie, niektóre goniły za rozpierzchłymi kurami. Krowy, powiązane u płotów, ryczały przeciągle, jakby wyprowadzane na rzeź. Chłopi siedzieli na progach w ponurej rezygnacji. Ksiądz zaraz po mszy przyleciał,

dodając serca i krzepiąc nadzieją, jak tylko mógł, ale zmożony powszechną rozpaczą, zapłakał wraz ze wszystkimi. Bowiem jeszcze przed południem powrócili kozacy a z nimi oddział uformowany do niszczenia pól, złożony z wałów, używanych do wyrównywania zagonów, z bron i kłoców.

Oficer, zastawszy niespełnione rozkazy, pogroził chłopom nahajką i dał znak oddziałowi do niszczenia. Runęli na zboża, niby ciężka gradowa nawałnica.

Wieś zajęczała, jakoby w tej ostatecznego sądu godzinie kary. Kobiety zawyły przekleństwami, groziły, pluły, a co gorętsze jęły ciskać w kozaków, co im tylko wpadło w ręce.

Krew nagle zawrzała w żyłach, rozpacz, strach, gniew i szaleństwo zatargały wnętrzościami, że wszyscy naraz zaczęli wrzeszczeć, jak opętani, grozić, przeklinać i zachęcać:

— Nie dawać się, chłopcy! Nie pozwolić! — I wraz jęli rwać koły, oglądać się za kosami, chwytając kamienie.

Ale oficer czuwał, wypuścił kozacką sforę na wzburzone gromady, rozbił, sprzął nahajkami, aż oblały się krwią, i zaryczał rozszokowany:

— Ja wam pokażę bunt! Każdy, który choć słowo piśnie, pójdzie na postronek. Milczeć i słuchać! Wozy wyprowadzić na drogę i pakować się, za dwie godziny ruszamy!

Sam już przynagłał do pośpiechu a nahajki również pracowały żarliwie. Jednak, pomimo takiej pomocy, dopiero o zmierzchu sformowała się pochodowa kolumna. Całą drogę zajęły wozy, inwentarze i ludzie, siedziały jeno małe dzieci i chorzy. Proboszcz miał przykazane jechać pierwszym wozem, na czele pochodu, ale tak się gdzieś zapodział w ostatniej chwili, że ani sposobu było go odszukać.

Już padły nakazy i mieli ruszać, kiedy w różnych miejscach wsi pokazały się płomienie.

— Gore! Gore! Wieś się pali! Ratunku! — wrzasnęli okropnie, rzucając się ku płonącym chatom, lecz nahajki, kolby i piki wnet ich powstrzymały, spędzając do kupy.

Pochód z wolna ruszył wśród straszliwych jęków i płaczów, koczacy bowiem na wszystkich oczach biegali z żagwiami od budynku do budynku, podkładając ogień, że co chwila wybuchał pożar w coraz innym miejscu. Aż i cała wieś stanęła w płomieniach. Czerwone, straszliwe grzywy chwiały się nad sadami, coraz wyżej i coraz okropniej. Paliły się domy, paliły się zabudowania, paliły się sady i nawet paliły się zboża co żralsze. Spienione morze ognia z dzikim poszumem i trzaskiem zbierało coraz wyżej, powiewając krwawymi, poszarpanymi łachmanami płomieni.

Michałowa, jak i drudzy, była już gotowa do drogi. Przed chałupą stał w drabinach zaprzężony we dwa konie wóz, Tereska pilnowała krów uwiązanych z tyłu, Jasiiek powoził. Spłakany był, wymęczony i pełen nieopisanej boleści. Wyżartymi przez płacz oczyma patrzył na wieś płonącą, stał martwy niby trup. Nagle, gdy dojrzał kozaka zmierzającego w stronę ich chałupy z płonącą głownią, zagrała w nim tak straszliwa, niepohamowana nienawiść, że porwawszy z wozu siekierę, skoczył niby ryś za węgiel i przyczaił się w cieniach.

Kozak, najspokojniej podpaliwszy słomianą strzechę na dwóch rogach, zabierał się do trzeciego, gdy Jasiiek, zaszedłszy go nieco z boku, trzasnął przez łeb z taką siłą, że mu siekiera uwięzła. Kozak zwałił się bez jęku, niby martwa, ciężka kłoda.

Chłopak stanął bezradnie, lecz w tym mgnieniu przypadła Tereska i, wciągnąwszy zabitego do izby, zatrzasnęła drzwi, a Jaśka siłą porwała z powrotem do wozu.

W tejże chwili chałupa stanęła w ogniu, zaś cały pochód ruszył naprzód.

Całą wieś popędzili na tułaczkę, na nędzę i na pewną śmierć.

Kozacy na koniach oganiali z boków, nie pozwalając wymknąć się nikomu.

Noc zapadła. Tłum posuwał się z wolna, niby rzeka bełkocąca w ciemnościach głosami sierocych płaczów, jęków, skarg i niewypowiedzianej żalości.

Wieś z dala przybierała kształt grobli ognistej, z zapadających się chałup wychlustywały fontanny iskier, kłęby dymów wisiały czarnym baldachimem, a krwawe brzaski oświetlały stratowane, pocięte zboża.

Jeszcze jeden okropny krzyk, jeszcze jeden ostatnich pożegnań płacz na wzgórku pod figurą, jeszcze jedno spojrzenie na ziemię rodzoną i, pochód przepadł w ciemnościach.

W brzaskach dopalających się wsi widniał jeno na wzgórku Chrystus rozpięty na krzyżu i płaczący nad człowieczą złością i niedolą.

III.

Była już późna noc, kiedy proboszcz odważył się nareszcie wyjść z jakiegoś dołu pod cmentarzem, gdzie się był schronił przed kozakami jeszcze przed wieczorem. I stanął, jakoby rażony piorunem, na widok wsi, płonącej jednym olbrzymim stosem. Kłęby dymów czarnymi, gromowymi chmurami przelewały się nad pogorzelskiem. Niekiedy rozgarniał je wiatr, że, jakoby w gorączkowym majaczeniu, roiły się ogniste jęzory płomieni, rozżarzone rumowiska, szkielety zabudowań i rzędy okopconych kominów. Paliły się

nawet płoty i sady. Paliły się przydrożne topole, dające obraz krwawych żagwi, pozatykanych w ciemnościach. Zasię przyległe pola, okryte dojrzewającym zbożem, stawały się podobne rozdrzanym, czerwonym falom.

Jakieś pobłąkane psy wyły rozpaczliwie po drogach i polach.

Z rozszalałych odmętów pożaru raz po raz biły krwawe fontanny płomieni, dymów i iskier. Rwały się też co chwila czerwone płachty dachów słomianych, jakoby skrzydła bajecznych żar—ptaków, trzaśki padających ścian, złowrogie szумы, dzikie tętenty, a chwilami krótkie, okropne ryki krów zapomnianych w oborach.

Od wschodniej strony dawał się słyszeć daleki a nieustanny grzmot armat. Proboszcz padł pod cmentarnym murem na kolana i jął się pacierza. Jękliwe słowa spływały mu z warg wraz ze strugami palących łez. Targał nim niewypowiedziany żal, nie pozwalający się zebrać na jakieś postanowienie. Strach nim władał i rozpacz zrywała na ratunek, ale ruszyć się z miejsca brakowało mocy, brakowało tchu i przytomności.

Aż wyczerpany bezsilną szarpaniną, skulił się pod murem i, brodząc w łunach przeżawionymi oczyma, modlił się, a chwilami zapadał w drzemkę.

Noc wlekła się strasznie powoli; ciepła była, wilgotna i przejęta gorzkawymi zapachami spalenizny. Ciężkie dymy przysłaniały niebo, a nisko nad ziemią rozwłóczyły się mgliste tumany, niby białawe morze, zrumienione odbłaskami pożogi.

Wieś dopalała się spokojnie aż do fundamentów.

Umilkły ryki krów i rozpaczliwe psie wycia. Złowroga cichość rozpościerała się na rumowiskach, mącona jeno niekiedy hukiem walących się ścian i kominów. Wieś stawała się już kupą przysgasających głowni i popiołów, z których chwilami wytryskiwały

oślepiające smugi ognia, lecz w miarę jak się zapadała w coraz głębszą ciemność, jakieś dziwne brzaski rozkwitały na krańcach widnokrzęgu.

Jakby sto krwawych słońc wschodziło naraz nad światem. Z głębin nocy, z czarnych przepaści ciemnic wynosiły się z przerażającą szybkością; czerwone były, ogromne i podobne krzom, wiejącym czerwonymi grzywami.

Gdzie jeno sięgnął okiem, tam krwawiły się łuny pożarów.

— Cała moja parafia się pali! — zajęczał naraz ksiądz.

Jakoż istotnie paliły się dokoła wszystkie wsie, wszystkie dwory i kościoły. Stawało się coraz widniej i coraz okropniej.

Jakiś dzwon podnosił w ciemnościach niebosiężny głos, wołający ratunku.

Zaś armaty na wschodniej stronie grały daleko, głucho i nieustannie.

A poza tym ani jednego ludzkiego głosu, nic, jeno posępne milczenie grobowego stosu i milczenie osłupiałej rozpaczy.

Wysoki krzyż czerniał przy cmentarnej bramie, na tle zbroczonego pożoga nieba. Ksiądz przyczołgał się do niego i, wyciągnawszy błagalnie ręce, runął do stóp ukrzyżowanego z żalosnym płaczem i jękiem.

— Miłosierdzia, o Chryste! Miłosierdzia!

Ale znikąd nie zjawiała się pomoc ni zlitowanie.

Pożary potęgowały się z minuty na minutę: z równin nieobjętych i z dalekich wzgórz, z dolin i lasów, w każdej stronie i z każdego miejsca tryumfalnie powiewały krwawe chorągwie pożogi. Co chwila w innej stronie wybuchały ogniste pióropusze. Straszne, jadowite jęzory krwawiły się z najgłębszych ciemności. Jakieś niewidzialne gardziele zionęły płomieniami. Aż czerwony, piekielny

świt okrył struchlałą, ziemię i zwycięski hymn zagłady rozśpiewał się w nieskończonościach, pod niebem wzdętym w kształt olbrzymiego namiotu z purpury, złota, czarnych aksamitów i rozmigotanych diamentowych pyłów. Na ziemiach zaś, podobnych wzburzonymu morzu płomieni, jeno tu i owdzie jakieś przyczajone w sadach domy patrzyły trwożnie białymi, okrwawionymi ścianami. Wszystkie strumienie zdały się spływać żywą krwią. Wszystkie wierzchoły drzew ociekały pożogą...

A niekiedy zrywał się wichur i, uderzywszy niewidzialnymi skrzydłami w pożary, miotał nimi, rwał słupy ognia, płonące dachy, kłęby dymów i ciskał je w noc, niby płaszcz utkany z rozpadających się gwiazd i słońc.

Strach padał na wszelakie stworzenie: stada wron, wiszących na cmentarnych drzewach i krzyżach, zrywały się z ponurym krakaniem, dziko szarpały się przydrożne drzewa, posępnie wyły bory, gwałtownie kolebały się zboża, i wszystko, przejęte nagłą, śmiertelną trwogą, chciało uciekać przed zagładą.

Jeno ksiądz próżen obaw, ale jakby wszystek w jedną piekącą ranę przemieniony, siedział pod krzyżem w zmartwiałym spokoju. Chwilami lał łzy żałosne i z tej dusznej udręki twarz, niegdyś pełna i rumiana, tężała mu z wolna na tragiczną maskę rozpacz. Płakał nad człowieczą niedolą i z każdym nowym pożarem zamierała w nim jakaś część świadomości. Ta bezlitosna noc, jakby noc sądu ostatecznego, wyżerała w nim czucie i rozumienie.

Nie mógł już pojąć, co się dokoła niego stawało. Natomiast czuł coraz okropniej, jako dzieje się jakaś straszna krzywda i że nie ma już na niebie ani na ziemi żadnego miłosierdzia i litości. I nawet nie pytał: dlaczego?

Nie śmiał. Umarła w nim wiara, zabita nadmiarem człowieczych nieszczęść. Bał się poruszyć trupa, bał się nawet myśleć o tym, a przy tym, nad ranem, pod wpływem znużenia i tych okropności, zaczęło mu się nieco mieszać w głowie. Nie spał, ale był pewien, że to wszystko zły, męczący sen, a co najgorsza, iż, mimo usiłowań, nie mógł się z niego otrząsnąć. Upływały bowiem godziny długie, jak wieki, a ów sen wciąż trwał w całej swojej okropności. Litościwa, upragniona rzeczywistość nie przychodziła z ukojeniem, bo co otworzył oczy, krwawe majaczenia pożarów trwały niezmiennie i ziemia wciąż widniała spowinięta w łuny i dymy, jakoby obraz straszliwego piekła.

— Nieprawda! Nieprawda! Okropny sen! — upierał się ksiądz, zaciskając powieki.

I uwierzył, a w końcu zdało mu się, że jest na plebanii, w swoim łóżku.

Jakieś bezdomne psiska przywlekły się do niego i, tuląc się a skomląc, pokornie lizały go po rękach i twarzy.

— Burek, wynoś się... Sieroty moje! Sieroty! — szeptał, ogarniając je ramionami.

O pierwszym świcie, kiedy już zbladły pożary i zmętniały ciemności, stado zbłąkanych owiec, nie bacząc na groźne warczenie psów, pokładło się przy nim puszystym, ciepłym kręgiem. Zachnął się niecierpliwie:

— Magda! Co to znowu za figle! Tego już za wiele! Magda!

A nieco później przywłókł się jakiś koń z opalonym bokiem i, obwąchawszy śpiących, zwałił się z jękiem pomiędzy owcami. Nikt mu już tego nie wzbraniał, jeno niekiedy ksiądz rzucał się przez sen, psy skomlały, to beknęła któraś z owiec, i spali już wraz społem jednako nieszczęśliwi, i bezdomni jednako.

O dobrym dniu przyleciała pod cmentarz Magda wraz kulawym kościelnym i Frankiem znajdując. Szukali proboszcza przez całą noc, a dojrawszy go pod krzyżem, między zwierzętami, załamali ręce z rozpaczy.

— Pomarł czy co! O mój Jezu, jaki bledziński! Ludzie, ratujcie!

Ale nie pomarł i na jej wrzaski otworzył niebieskie, jasne oczy.

— Czego się drzesz? Zaspałem nieco. Dzwon-no, stary, i szykuj do mszy.

Potoczywszy oczyma, zamilkł nagle i spochmurniał, jak ten dzień spowity w sine mgły, zadymiony i ponury. Owce zaczęły beczeć i koń z trudem zbierał się na nogi.

Ksiądz prędko ruszył ku wsi, ale w połowie drogi naraz przystanął.

— Juści, że mnie dręczył paskudny sen! Nic innego! — dodał po namyśle.

Psy szły przy nim. Magda z Frankiem zaganiała owce, a kościelny ciągnął za grzywę konia i klął na czym świat stoi, bo się był wzbraśniał iść.

— Co to znowu? Za szkody zajmujecie? — spytał ksiądz, nic jeszcze nie pojmując.

— Trzeba zagnać, bo jeszcze kto ukradnie — uspokajała Magda. — Owce muszą być dworskie, trzydzieści samych matek! A może żołdatom uciekły! Konisko poparzone, ale tęgi i wałach, w sam raz na miejsce naszego.

— Wara ci od cudzego! — zgromił ją, ruszając śpiesznie naprzód. — Jak niczyje, to mogą być nasze. A upomni się kto, święcie oddam. Franek, pokrako jedna, owce się rozlatują! Jezu Nazareński, patrzcie no ludzie, a to w rowie jakaś maciora z prosiętami! Maluśkie! Przecież jej tu nie zostawimy...

Ksiądz, pozostawiwszy wszystkich na drodze, śpiesznie pobiegł na plebanię, ukrytą pod wielkimi drzewami, i jakimś cudem ocalał od spalania. Jak się był przedostał przez rumowiska i, spalone sady, nigdy sobie nie mógł przypomnieć, dość, że położył się do łóżka i natychmiast zasnął.

Psy roztasowały się na kanapie i fotelach.

Po paru godzinach zbudziła go dosyć energicznie gospodyni.

— Co tam nowego? — spytał, jak zwykle. — Podnieś-no, Magduś, rolety!

— Sodoma i Gomora! Czyste piekło! Nasza wieś spalona do cna! Wólka też spalona. Spalona Dębka! Spalony Majdan! Spalona Dębowa Góra! Kościół w Liszkach też pewnikiem spalony, bo wieży nie widać. Wszystko spalone, a naród pognali na zatracenie. Jeno nasz dwór i budynki stoją, nie wiadomo tylko co się stało z dziedzicami! Mój Boże, nie ma już miłosierdzia nad człowieczem nasieniem.

— A nie ma — przywtórzył ponuro, siadając na łóżku. — Cicho, nie bluźnij, kobieto — zawołał wystraszony. — Dziej się wola Twoja, Panie! Nic, tylko kara Boska...

— Tyla wsi, tyła ludzi, tyła dobra! I za co to wszystko, za co? Cóż to zawiniły te dzieciątka, cóż to zawiniły te pomarnowane gadziny, cóż to zawiniły te chałupy? — krzyczała coraz groźniej, zaciskając pięści i tocząc zapłakаныmi oczyma.

Pobladł na płótno, fala straszliwych przypomnień zalała mu serce i mózg.

— Niech no Bartek dzwoni na sumę, późno już — zdołał wreszcie zaszeptać.

— Dla kogo się to będzie odprawiało? Cała parafia spalona! Może my już ostatnie na świecie! Byłam na wsi. Ani żywej duszy, ani

jednego ptaszka, ani jednego całego drzewa, ni płota, nic. Strasznie patrzeć, strasznie!

— Już po jedenastej! Powiedz kościelnemu, niech dzwoni i szukuje do mszy.

— Tyle to, pomoże, co umarłemu kadzidło! — wybuchnęła bluźnierczo.

Ksiądz, jakby nie dosłyszawszy, wziął brewiarz i klęknął do rannych pacierzy.

Zaś pokrótce rozległy się chropowate wołania dzwonu. Kościelny, targając sznurem z całej siły, dzwonił w rozbity kulą działową dzwon, że klekotał głucho, niby pęknięty garnek. Dzwonił długo i raz po raz wyzierał półkolistymi otworami dzwonnicy na wieś i drogi. Juści, że nigdzie nie dojrzał nikogo. Wieś była spowinięta niskimi kłębami dymów a drogi leżały puste i mgławce. Dzień się bowiem uczynił zasepiony i pochmurny. Z szarych dymów, rozwłóczających się nad ziemią, wynosiły się tu i owdzie szkielety opalonych drzew, niby czarne pięści, złorzeczące wszystkiemu światu. Smutek rozdzierał serce. A ta straszna cichość zdawała się wsypywać ziemię mogilnym piaskiem śmierci.

Nie bacząc jednak na wszystko, ksiądz o samym południu wyszedł ze sumą.

Odprawiał ją w podziemiach rozwalonego armatami kościoła, w długiej, niskiej i sklepionej piwnicy, pełnej zestożonych pod ścianami trumien okolicznych panów. Dwa okratowane okienka dawały nieco dziennego brzasku.

Niektóre z trumien już się rozsypywały, na nowych widniały jeszcze powiędłe wieńce i kwiaty, a z dwóch spływały, przycięte wiekami, białe atłasy sukien i welonów. Duszno było w tym śmiertelnym

lochu i ciasno. Wilgoć kapała ze sklepienia. Na ołtarzu, stojącym w szczycie, paliło się parę świec woskowych jakimś widmowym, bolesnym światłem. Kościelny służył do mszy a Magda z Frankiem klęczeli przed ołtarzem. Psy włóczyły się po kątach a niekiedy księże kokoszki zagdakały w okienka, że Franek wylatywał je odganiać. Magda, wielce strapiona i pełna niepokojów, posiłkując nosem, z trwogą patrzyła na proboszcza, który się słaniał przy ołtarzu i raz wraz wybuchał spazmatycznym płaczem.

— To się psu na budę nie zda — i jeszcze mi się jegomość rozcho-ruje — warczała.

Nie zważał juści, bowiem w tej dusznej rozmowie z Bogiem tak się był zagłębił i tak się jej wszystek oddawał, że, wyzbyty ze sił, ledwie się przywłókł do domu.

I do nikogo ani przemówił, tylko zaraz po obiedzie, wzięwszy kij, ruszył na wieś.

Cały dom pociągnął za nim. Ale psy, zwietrzywszy fetory spaleniźny i obwąchawszy pierwszą z brzegu spaloną chałupę, zawyły przeciągle i uciekły. I nie dziwota, bo nawet ludzie długo stali w osłupieniu przed tym obrazem piekielnego zniszczenia. Z kilkudziesięciu bowiem chałup nie pozostało ani jednej; nie pozostał ani jeden sad, ni jedno zabudowanie, ni jeden cały płot i ani jedna topola nade drogą. Wieś przestała istnieć. Jeszcze dymiły rumowiska, jeszcze czerwone płomienie lizały niedopalone belki, a czarne kłęby dymów tłukły się rozwichrzonymi łbami wpośród poczerniałych, spalonych sadów. A nad tym wszystkim wynosiły się kominy, niby czarno-rdzawe szyldwachy stróżujące. Trafiał się tu i owdzie ocalony ogródek, z którego wystrzelały słoneczniki i malwy. A nigdzie palące się kupy nawozów roznosiły tak gryzące dymy, że nie sposób wytrzymać.

Książdz jednak, nie cofając się przed niczym, oglądał każdą pogorzel z osobna, medytując, czyby się jeszcze nie dało czego uratować. Niestety, cała wieś była już jedną kupą węgla i popiołów. Nieszczęście wyło z każdego miejsca. Beznadziejny smutek unosił się nad pogorzelskiem a potęgowały go niezmiernie stada wron, przeciągające z głuchym krakaniem, i jakoweś ptaki krzyczące, jakby nad popalonymi gniazdami.

Proboszcz, obejrzawszy wszystko akuratnie, poszedł za wieś na wzgórek, pod figurę, skąd roztaczał się ogromny widok na pola i najbliższe wsie i dwory. Dzień się był przezierał z mgieł i oparów; z wolna odsłaniały się kręte, srebrzyste strumienie, zielone łąki poznaczone kępami olch, sfalowane pola, nakryte płachtami zbóż, nieruchome, modrawe lasy, dalekie wzgórza, żółcące się łysinami piachów, i kłęby czarnych dymów, pełzających nad spalonymi wioskami, niby grube, błękitem sprężowane liszki.

Zawiał cichy wiatr, pieściwie przegarniając zboża i trawy, że wraz zagadały i złoto-szmaragdowymi falami zaczęły się kołysać, burzyć, mienić i ze słodkim poszumem bić w brzegi głębokich dróg i miedz kwiecistych. Zaśpiewały skowronki a z głębin zbóż odzywały się głosy przepiórek i derkaczy. Powiały nieopisane aromaty, dyszące upojeniem i mocą. Jakieś nieopowiedziane szczęście tak zatargało nagle księżym sercem, że zrobiło mu się słabo i, przysiadłszy nad rowem, łapał powietrze posiniałymi wargami.

Magda natychmiast znalazła się przy nim.

— Co się stało? Niech jegomość wraca i położy się do łóżka, jeszcze przypyta się jaka choroba. Żałościę chałup nie odbudują! — gderała po swojemu.

Odgarnął ją niecierpliwym ruchem. Siadła opodal pod pszeniczną ścianą, on zaś, wcisnąwszy się głębiej plecami w zboże, toczył

w podziwie bławatkowymi oczyma; leciał za stadami rozświerganych wróbli, to za cieniem dziwnie wydłużonych bocianów, nisko płynących. Pszeniczny bór kołysał się nad nim i ciężkie kłosa jakby drażniącymi pocałunkami muskały jego siwą głowę.

Wstrząsnął nim dreszcz dziwnej lubości, nasycając zarazem zbolełą duszę mocą i cichością. Spływała weń błogość i głębokie ukojenie. Pochylał duszę nisko i z pokorą, jakby do stóp jakiejś niepojętej a czarownej mocy, która tysiącami nieuchwytnych, tajemniczych szmerów unosiła się coraz potężniej w powietrzu.

Przenikliwy i oszołamiający chór ściszonych głosów, zapachów i barw wrzał zgiełkliwie wśród traw i zbóż. Przeogromny rytm życia bił w całej przyrodzie, niby serce rozkołysanego dzwonu, aż wszystka ziemia zdawała się być nabrzmiała modlitwą — głęboką modlitwą szczęścia, płynącą nieustającym hymnem upojenia.

Ksiądz w jakiejś chwili wyrwał się z tych czarownych majaczeń.

— Cała parafia spalona i ludzie popędzeni na tułaczkę — zbuntował się nagle — a na świecie jakby się nic nie stało! Wszystko sobie rośnie, żyje i cieszy się! Cóż my to, pasierby? — rzucił wyzywająco. — Skazani na zagładę? — dodał mocniej. I na żrące myśli, co się tam dzieje z tymi tłumami, popędzonymi przez srogie kozactwo, na myśl o tej wojnie straszliwej, krzywdach, ludzkich cierpieniach i śmierci wszechwładnej, znowu gorzko zapłakał i, bezradnie załamując ręce, skarżył się w gorących słowach błagań o, politowanie nad człowieczą nędzą.

Ale pod wieczór, gdy wyjrzało jasne, ciepłe słońce i ziemia przyodziała się, jako święta oblubienica, w złociste welony wesela, gdy już wszystek świat stał się jedną pieśnią tryumfującego istnienia, gdyby najmarniejsze źdźbło pokazywało się w chwale życia wielbiącego, gdy, co jeno było na ziemi, niebie i w powietrzu, śpiewało

słoneczny chór dziękczynienia, ksiądz porwał się z miejsca, przemieniony nagle i radosny. Otrząsnął się ze smutków. W serce wstąpiło męstwo, wiara przepełniła duszę. Wyprostował się i spromieniał, jak to słońce.

— Żem zwątpił na chwilę, moja wielka wina! — grzmotnął się w piersi — a ja wam powiadam, jako nikomu włos z głowy nie spadnie bez Woli Bożej! — wołał donośnie. — Karze, ale i miłuje. Niewiadome są bowiem drogi Jego sprawiedliwości. I powiadam wam, przyjdą jeszcze nowe klęski i nowe nieszczęścia, srogi wróg nie pozostawi kamienia na kamieniu, ni jednego ziarna w komorze, ni ostatniego kęsa chleba. Płacz jeno zostanie w tej krainie, ruiny i śmierć. Ale ufajcie! Przyjdzie godzina zmiłowania. Bóg nas nie opuści a przez ręce swoich wybranych pobije nieprzyjacioły, wyżenie je precz, na hańbę i zatracenie! I powrócą tułacze do prawiecznych siedzib swoich, odbudują zniszczone gniazda, jako o każdej wiośnie czynią to ptakowie. Nastaną nowe czasy. Przeminie zło, jako przemijają burze i słoty, choroby i cierpienia. I nie będzie już człowiek nastawał na człowieka, jako ten wilk zgłodniały. Zakróluje na świecie sprawiedliwość, i pokój, i braterstwo! Ale powiadam wam, jako w Bogu jeno nasze życie, nasza przyszłość i wieczność nasza.

Wołał coraz ogniściej, jakby tym chmurom, zrumienionym łunami zachodu, jakby tym ptakom, ciągnącym w złocistych zorzach i błękitach, jakby tym drzewom, zasłuchanym po miedzach, tym zbożom sennym pacierzem chrzęstów szepczących, słońcu, opadającym za lasy, i Magdzie, srodze zaniepokojonej jego kazaniem, która kręciła coś głową i zuchwale mu przerwała:

— Jegomość, a to pora do domu. Rosa pada i katarzysko gotowe...

Powracał na przełaj, ścieżką, wydeptaną wskroś zbóż i wiodącą do kościoła. Szedł, ledwie głową wyrastający nad zbożami, powłóczęcąc rozpostartymi dłońmi po nachylonych kłosach. Zdawał się błogosławić każdemu źdźbłu i wraz też biorąc od każdego niewysłowione tchnienie życia.

Ścieżka biegła równolegle ze wsią, jeno nieco wyższymi polami, że wciąż miał na oczach dymiące się jeszcze tu i owdzie, pogorzeliśka.

— Cicho, jak na cmentarzu — westchnął. — I gdzie się to te moje sieroty obracają, gdzie? — zaszeptał, wybiegając oczyma w modrawe dalekości.

Naprzeciw leciał Franek, już z dala wykrzykując:

— Proszę dobrodzieja, dziedzicówna czeka! Dziedzicówna!

Ksiądz, podkasawszy sutannę, poleciał co tchu na plebanię.

W ganku, otoczona psami, siedziała wysoka panna z papierosem w zębach.

— Panna Zosia! Oczom nie chce się wierzyć! Jakimże cudem?

— Powracam prosto z lasów. Gdzie moi rodzice?

— Nie wiem. Od tygodnia nikogo ze dworu nie widziałem — odparł wystraszony.

Panna zerwała się z ławki. Młoda była, przystojna i rozrośnięta, w kożuszek krótki przyodziana, w długich butach i gronostajowym kaszkieciku na głowie.

— I ja od tygodnia nie wiedziałam, co się w domu dzieje! Akurat w przeszłą niedzielę, jak tylko bitwa zaczęła się do nas przetaczać, ojciec wyprawił mnie z wozami, i inwentarzami do lasów. Siedzieliśmy tam przez cały czas. Wróciłam dopiero dzisiaj w południe. Zastałam dom zrabowany i pusty, dach zerwany, na szczęście czworaki ocalały i budynki, ale w całym folwarku ani jednego człowieka!

Myślałam, że może proboszcz co wie. Cóż ja teraz pocznę? — jęknęła; głos miała ochrypnięty, oczy zaognione i gorączka buchała od niej, jak z pieca. — I co się mogło stać z rodzicami? — strach wyjrzał z jej jasnych oczu.

— Na pewno to samo, co i ze wszystkimi: ogarnęli ich kozacy i popędzili... Ja szczęśliwie uniknąłem ich pazurów. A może panna Zosia głodna?

— Od tygodnia nie jadłam nic gorącego — wyznała ze szczerością.

Rozczulił się tym niezmiernie i zatroskał, ale po długich szepta- niach z Magdą podano na kolację ziemniaki z barszczem, bo nic więcej nie było. Panna jadła bez apetytu i wkrótce odłożyła łyżkę.

— Niedobrze się czuję, głowa mnie boli, mam dreszcze — prze- ciągnęła się sennie.

— Naparzę malin suszonych, jaśnie panienka wypije, prześpi się, pod moją pierzyną i do jutra będzie jakby ręką odjął — zawyroko- wała Magda.

— Byle prędzej, bo już ledwie patrzę na oczy. To dobrze, napiję się malin, wyśpię się, będę zdrowa, i co ja z sobą pocznę? Niech mi proboszcz poradzi!

— Znajduję tylko jedną radę: jechać gdzie do krewnych i tam po- czekać, dopóki się nie znajdą rodzice.

— A tymczasem Mrozów rozdrapią do ostatka! — szepnęła, mo- cując się z jakąś myślą.

— I niepodobna temu przeszkodzić! — rozłożył bezradnie ręce.
— A tym bardziej panna...

— Czemu proboszcz pozostał i nie pozwolił się wypędzić? — spy- tała porywczo.

— Mój psi obowiązek warować, gdzie mnie postawiono — odparł bez namysłu.

— To i mój psi obowiązek pozostać w Mrozach i ratować je od zniszczenia. Żniwa za pasem, jest trochę dworskich ludzi, prawie wszystkie inwentarze, a ja miałabym wyjechać na tułaczkę? Ani mi się śni. Co będzie, to będzie, a powracam do domu.

— Sama jedna? Niepodobna! Jakże, to nawet nie wypada! Wojna, pełno wojsk, maruderów! Niebezpieczeństwa i przykrości na każdym kroku. Proszę się zastanowić...

— Proboszcz zajrzy do mnie czasami, a może jeszcze kto pozostał z sąsiadów...

— Wywiała wojna co do jednego; tak mi donosili, że już od tygodnia uciekali na łeb, na szyję do Warszawy! Naturalnie, tam są codzień świeże bułeczki...

— Może ich siłą przymuszali! Mniejsza z nimi, ale ja zostaję!

Ucałował ją serdecznie, pełen uwielbienia, i odprowadził do saloniku, gdzie już czekało na nią posłanie, dzbanek malinowego wywaru i Magda.

A że nie było czym świecić, to i ksiądz położył się do łóżka i długo rozmyślał o strasznych przejściach dni ostatnich, a w końcu i o panie Zosi.

— Zuch dziewczyna, ale czy sobie da radę? — z tą troską zasnął.

O dobrym dniu rozbudziły go ciężkie stąpania gospodyni.

— Cóż tam nowego, hę?

Tak był pytał codziennie od wielu, wielu lat.

— Słońce świeci, będzie upał — otwarła okna i pokój zalały ptasie świergoty. — Przyszło pięcioro dzieci z Malińca. Odbiły się w drodze od swoich i przywłokły się na plebanię. Utaplane w błocie, jak te psiaki. Nie wiadomo co zrobić z nimi.

— Wiadomo: dać im jeść, pomyć i przygarnąć. Gdzież to pójdą sieroty!

— A cóż to im damy jeść? — warknęła groźnie. — Niechże sobie jegomość zapamięta: kawy i herbaty nie ma już ani na lekarstwo; cukru ledwie coś niecoś; mąki dobrze jak starczy mi na miesiąc! Przyjdzie nam żreć ziemniaki z solą! A tu pięć nowych gąb i takiego drobiazgu! Mam ja to czas myśleć o nich, mam?

Ksiądz nie odzywał się ani słowem, więc, zmitygowawszy się, jęła z innej beczki.

— Od samego świtu znowu słyhać armaty! Pono straszne wojska wałą szosą na Warszawę. Chłopi z Dębicy czekają na jegomościa.

— Zaraz wstanę. Moja Magduś, trzeba by pomyśleć o śniadaniu dla panienki.

— Niech się jegomość o nią nie turbuje! Wstała o świtanie, wypła całą doinkę mleka, zjadła pół bochna chleba, skrzyknęła swoje psy i szukaj wiatru w polu! Pewnie już jest w Mrozach. Cudak to rzetelny, choć i jaśnie panna. Kiedym jej przekładała, jako takiej dziedzicze nie przystoi wracać między chłopstwo, to wie jegomość, co mi odrzekła? Że tak samo wszy gryzą skórę chłopską, jak i pańską, że jeśli chłopi poradzą w dołach i jamach, o głodnym pysku, warować swojego dobra, to i ona też potrafi, bo wcale nie gorsza! I gadaj tu z takim cudłem!

Aż ręce załamała ze zgrozy.

— Podobna do swojej babki, jak dwie krople wody! — wygrzebywał wspomnienia jakiejś dawno umarłej i, westchnąwszy na jej intencję, porwał się z łóżka.

Po mszy zajrzał do ogromnej, czarnej kuchni, przepełnionej rozkrzyczanym drobiem, bijącym się zajadle o ziarno, szcudrze rozsypane na podłodze, ale cofnął się przed groźną postawą i jadowitym sykiem gąsiorów. Przybłąkane dzieci odszukał dopiero w sieni: siedziały w najciemniejszym kącie, jak popętane ptaki. Nie śmiały

nawet głośniej zapłakać. Z kupy podartych łachmanów, zwichrzonych czupryn i zabłoconych twarzy wyzierały trwoźnie zaczerwienione oczy. Najstarszy chłopak miał z dziesięć lat, ojcową czapę i kamizelę, zgrzebne portczyny, niebieskie oczy i policzki opalone na brąz. Rozповідаł urywanie, jakby w gorączce:

— Wszystkich pognali do boru! Ciemno było i jak zaczęli strzyłać! Mój Jezu, łyskało się ciągiem i grzmiało, i drzewa waliły się o ziem, i ludzie krzyczeli, i kule pękały, i żołdacy latały! Matka się kajś zadziała. Bór się zapalił, to uciekałim, uciekałim! A potem spaliśmy we zbożu. I tak się nam jeść chciało! Szukalim naszych: już nikogo nie było. To szliśmy jedną noc, to szliśmy dzień, to szliśmy drugi dzień, a co wieś, to spalona. Napiekliśmy ziemniaków. A do domu nie mogliśmy trafić. Przychodzimy, w jedno miejsce i Maryś powiada: »Nasza wieś!« Nieprawda, bo ani czerwonej karczmy nie było nade drogą, ani wójtowego domu z gankiem, ani naszej chałupy, ani topoli z bocianem, ani nic! Jacyś ludzie zabrali nas i przywieźli.

Rozplakał się na dokończenie a za nim reszta wybuchnęła spazmatycznym szlochem. I chociaż je ksiądz głaskał i przyhołubiał, płakały tym rzewliwiej, wydzierając się gdzieś lecieć we świat i wypominając matki i ojców.

— Magda, trzeba je ulokować w organistówce i niech kościelny ma o nich staranie. Biedne, piskłeta! Wypoczną, to prędzej się z nami dogada — rozkazał.

Na ganku czekali na niego chłopci z Dębicy. Było ich trzech, różnych wiekiem, wzrostem i postawami, tylko jednako przyodzianych w granatowe kapoty, przepasane czerwonymi pasami. Twarze mieli wygolone i suche, jakby z drzewa wycięte, oczy siwe, jakąś troską świecące, mądre i zarazem podejrzliwe.

Zabierali głos kolejno, wyrzekając na wojnę i straszne czasy. Bo jakże, toć prawie cała okolica spalona i wyludniona ze szczętem, bowiem jednych zagarnęli Moskale, a drudzy uciekli ze strachu przed Niemcem. Psy jeno wyją na zgliszczach. Dwory też puste, kościoły w gruzach i, pola niesprzątnięte. A jeśli tu i owdzie pozostali jeszcze ludzie, to kryją się po lasach i jamach, jak te tropione zwierzaki. — Koniec świata nastaje czy co? I co z tego wszystkiego wyjdzie? Na czym się to skończy? — pytali, wpierając w księdza umęczone oczy.

Ale proboszcz poczuł, że pod tymi wyżalaniem kryją jakąś stokrąg cięższą troskę i niepokoje, tylko swoim zwyczajem przystępują do celu z wolna, kołując.

— Jest źle — zakończył Roch Owczarek — ale widzi mi się, będzie gorzej jeszcze.

— Będzie, oj będzie! — przytakiwał sołtys, najwyższy i najstarszy.

— Jak nasz rychło nie powróci a Niemcy się tu zagospodarują...

— Wszystkimi drogami walą wojska na Warszawę, ino ich tu patrzeć...

— Opowiadał mi jeden znajomek, co to za naród! Już tam za Łodzią dobrze ich znają. Nowe podatki nakładają, do robót na szosach pędzą, chałupy bielić i drogi zamiatać każą. I choćby najpierwszy gospodarz chodzić musi z pasportem, jak ten pies z klockiem u szyi. A krowy ani konia nie pokaż, bo już nie twoje. I zapisanym papierkiem płacą. Aż skóra cierpnie, co tam wyrabiają!

— A może to wszystko bajki! Bo to ludzie łą z dobrej woli, a już najgorzej ci, co to na własne oczy widzieli. Prawdaż to, księżę proboszczu? Mamy się to bać?

Ksiądz zakłopotał się srodze, wahając się, zali może pozwolić sobie na szczerłość, ale że był gorączka i Moskali nie cierpiał, więc

zaczął rozwodzić się dość gorąco, jako teraz właśnie nastaną lepsze czasy. — Nareszcie będzie porządek — prawil — ład, bezpieczeństwo, uczciwość w urzędach i sprawiedliwość. Wprawdzie podatki będą większe, ale za to porobią dobre drogi, koleje, szkoły i szpitale. Zapanuje prawo a nie samowola naczelników, a nawet strażników! — I długo w ten sposób prawil, sam zresztą nie bardzo wierząc w te raje i nie spostrzegając, że chłopci biorą jego słowa za, proste cyganienie, bowiem patrzyli w niego coraz posepniej, aż Roch Owczarek przerwał mu dosyć cierpko:

— Nie na chłopskie gęby takie smaki. Wolimy, żeby wszystko było po dawnemu. Prawda, iż naszego pobili raz i drugi, ale w końcu on pobije i powróci.

— Nasz? Jaki nasz? Jednyś to z nim wiarą i mową, że ci nasz? — zaperzył się ksiądz.

— Nie jednej mowy ni wiary, ale jemu przysięglim, jemu we wojsku służą nasze chłopaki, to juści, że to nasz cysarz. A drugiego nie chcemy — odparł sołtys z Dębicy.

— A i te, co idą, też nie naszej mowy ni wiary. Też nam nie braty i nie dobrodzieje.

— Bójcie się Boga, przecież Moskal to największy wróg Polski! Mało to nam pozabierał kościołów? Mało to ludzi powiesił? Mało to na Sybir wysłał? Opamiętajcie się, ludzie! — mówił zrozpaczony.

— Zbója uważacie za ojca i opiekuna!

— Panowie się buntowali, to ich pokarał! Nie nasza to sprawa. Może i drugim był zbójem, ale dla chłopskiego narodu był dobry i sprawiedliwy. A jakże to było za pańszczyzny, wiadomo każdemu. Wiadomo też choćby dziecku, że grunta darował nam cysarz i od pańskiej swywoli obronił. Myśmy im nie przeciwni, ale wiadomo, jak nas do dzisiaj uważają! Parszywy żyd albo jakiś miejski

przybłąda większe ma u nich zachowanie, niżli najgodniejszy gospodarz. Nie dziwota, jako niejeden się boi, żeby mu nie odebrali ziemi. Nawet naczelnik przed wyjazdem powiedział wójtowi z Rakowic: »Pilnujcie się chłopci, bo jak się wasi panowie zmówią z Niemcami, to może z wami być źle...«

Ksiądz spróbował zbijać te fałszywe mniemania, na próżno jednak: nie uwierzyli.

— Cudzego nic chcemy, ale swojego i tknąć nie pozwolim — mruknął groźnie Owczarek.

— Panowie mają nas za psi pazur, bo czemuż to do komitetów nigdzie nie dopuścili chłopów! A cóż my to, obce, przybłądy, ten śmieć, który można rozdeptać?

— Tacy my dobrzy, jak i oni — zawarczał sołtys. — Sami chcą rządzić i dla siebie. Do głowy im nawet nie przyjdzie, że nic się stać nie powinno bez naszego przyzwolenia! Oto, co zrobią bez nas, to pewnikiem na naszą szkodę.

Rozgorzały twarze, oczy zapłonęły zimną zawziętością i w głosach wrzał powstrzymywany gniew. Spokojni byli jednak na pozór, podobni do granitowych kamieni.

— Przyszliście tu odprawiać sądy? — wybuchnął ksiądz, dotknięty już do żywego i zagniewany. — To cały kraj we wojnie, w ogniu, krwi i ranach! To tysiące tysięcy narodu kozacy popędzili nahajami, jak stada bydła, tysiące tysięcy zdycha z głodu. To pola stratowane, poryte i spustoszone, wsie popalone, gdzie spojrzeć trup na trupie, nędza i choroby. Powszechna ruina! Cała Polska jak jedna rana i jeden krzyk rozpaczy! To nawet nie wiadomo, czy jutro wy sami będziecie mieli dach nad głowami i kawałek chleba, a wy przychodzicie odprawiać sądy nad panami, gnębić się, co wam podły carski stupajka powiedział, swarzyć się i kłócić!

Gdzież macie rozum? Ludzie, gdzież wasze sumienia? Zamiast ciągnąć do kupy, zamiast pomagać jeden drugiemu, zamiast bronić się przed wspólnym wrogiem, który cały kraj przemienia w pustynię, to wy, w takiej chwili straszliwej, prawujecie się o to, co tam było kiedyś, a co już nigdy powrócić nie może. Naczelnikowi wierzyście! Głupie barany! Stado ciemne i grzeszne. Wiedźże jeden i drugi, że Polska jest twoja, Polska jest moja, Polska jest panów, bo Polska dla nas wszystkich najświętszą matką i żywicielką. I wszyscy zarówno zabiegać o jej dobro jednaką mamy powinność. Precz z głupimi porachunkami a kłótniami! Przyszła pora i psi obowiązek na każdego, żeby ratował każdą polską duszę, każdy polski zagon, każdą polską chałupę, każdą krowinę i każdą grudkę ziemi, bo strata choćby najmniejsza, to strata wszystkiego narodu i Polski. Skarżycie się, że was nie wybrali do komitetów! To sami zakładajcie komitety! Sami bierzcie rządy w swoje garście. Sami ruszcie rozumem i troskajcie się o powszechne dobro. Sami stanówcie prawa i czuwajcie nad niemi. Któż jest wam mocen tego wzbronić? Przeciwnie, wszyscy się do was przyłączą i pomogą, ale troskajcie się o siebie i o swoich braci, a nie o Moskali! I któż to tak płacze za opiekunami i dobrodziejami? Najpierwsi gospodarze, prezesi kółek i kas, mądrale poważani w całej okolicy! A w cóż się obróciły moje nauki, moje zabiegi, moje starania, nawet moje więzienie za tajne nauczania?

Zapłakał nagle i przysłonił twarz rękami, ale przez palce sączyły się ciężkie łzy.

— Pięćdziesiąt lat jestem tutaj proboszczem — podjął po chwili żałośnie. — Znali mnie ojce wasi i dziadowie, znacie i wy, żem zawsze był z wami, nigdy nikogo nie oszwabił i nie utuczyłem się ludzką krzywdą i, jak umiałem, pracowałem dla was. Bóg mi

świadkiem i daję wam moje kapłańskie słowo, jako wszystko, co mówię o powrocie pańszczyzny, to, podle łgarstwo. Chcą naród pomiędzy sobą pokłócić, żeby brat powstał na brata, żebyśmy się wzięli za łby, bo wtenczas łatwo nas będzie wytracić i wszystkich przywieść do torby dziadowskiej! O to jedynie chodzi tym, co odeszli, jak i tym, którzy dopiero nadchodzą... bo jedni i drudzy śmiertelni nasi wrogowie. Prawdę wam powiadam szczerą...

Przestał mówić, zmożony wyczerpaniem, chłopie też milczeli, spozierając jeno na siebie i drapiąc się po głowach, aż wreszcie odezwał się pierwszy Owczarek:

— Co innego my chcieli, a zgoła co innego wyszło! — markotność brzmiała w jego głosie.

— Takie przyszły czasy, że człowiek bele cień gotów brać za strachy...

— Jak jest, to się już wie, ale to nowe niejednemu spać nie daje.

Wyjawiali się z wolna i wkrótce rozmowa potoczyła się znów, tylko już o najpilniejszych sprawach i bolączkach. Pokazało się bowiem, iż przywiodła ich do proboszcza poczciwa troska o zbiory w popalonych i opustoszałych wsiach.

— Zboża dojrzewają i nie sposób dopuścić, aby zostały na polach niesprzątnięte.

— Z chałupami jeszcze pół biedy, mogą pokopać jamy i tam biedować, jak żołnierze w okopach, ale jeść każdy potrzebuje. A skądże weźmie, jak z pola nie sprzątnie?

— Na żebry wszyscy nie pójda, bo i kto im da, kiedy ludzie ledwie już dyszą.

— Kto tak mówi, ten mi brat i prawy chrześcijanin! — przerwał im radośnie ksiądz.

— Właśnie o tym chcieliśmy z proboszczem poradzić.

— Rada prosta: zrobić żniwa we wsiach opustoszałych, zwieźć w stogi, wymłócić do siewu, zorać i zasiać choćby po trochu. Nie wiadomo, kiedy ludzie powrócą.

— Czy aby uredzimy? — zafrasował się nagle sołtys. — Tyle wsi spalonych i bezludnych!

— Trzeba poczekać z tydzień. Myślę, że bardzo wielu ludzi tuła się po lasach i czeka, by trochę ta nawałnica przeszła. Niemało też rozbiegło się po dalszej okolicy. Dwory też mogłyby nam pomóc, coż, kiedy tylko jedna panna z Mrozów powróciła.

— I siedzi we dworze, nie boi się? No, no! — dziwowali się chłopci.

— Może się pokazać, że i do drugich dworów powrócili dziedzice. Pojadę jutro, przewiem się, zobaczę i wstąpię do miasta. Czas leci a żniwa za pasem!

— Już w powiecie ani znaku po urzędach. Nawet kasę zabrali. Zostawili nas, niby te owce na pastwę wilków — narzekał sołtys.

— Uciekli, tym lepiej: ustanowimy swoje urzędy. Nie bójcie się, damy sobie radę i bez tych zbójeckich opiekunów — upewniał ksiądz. — I nasze pieniądze wywieźli.

— Najgorsze, że wypuścili z kreminału wszystkich złodzieiów.

— Będzie nam ciepło! Rozlecą się po wsiach, jak te wściekłe psy! To nie żarty! Nikt życia pewien nie będzie. Trzeba nam zebrać obrońcę, ale z kijami to wystąpi?

— Broni po chałupach nie brakuje — szepnął mu do ucha Owczarek. — Chłopaki nanosili. Kupili od żołdatów, albo i nazbierali po polach i okopach.

— Tylko schować ją dobrze i nikomu nie wydawać. Może być potrzebna w niejednej przygodzie. Najlepiej obwinąć w natłuszczone szmaty i zakopać w ziemię.

Pogadali jeszcze na wsiadanem, naznaczając sobie termin zjazdu.

— Mądre to i pocziwe — myślał, patrząc za nimi.

Skrećali właśnie z podwórza na drogę, gdy naraz porwał się za nimi.

— Owczarek! Stójcie no! — Wóz się zatrzymał. — Możeby który z was przyniesie mi jaką strzelbinę — szepnął nieśmiało i dziwnie prosząco. — Sam zostałem na pogorzeli, mogą mnie napaść i czymże się będę bronił, brewiarzem?

Obiecali solennie i jeszcze tegoż samego dnia, o zmierzchu, chłopak Owczarków przyniósł mu dwa kawaleryjskie karabiny i paręset nabojów.

Proboszcz schował je do szafy i z pokoju się nie ruszył ani na krok, a dopiero po kolacji, kiedy gospodyni poszła spać, pozapuszczawszy rolety, wyjął karabiny.

Wstrząsnęły nim nagle jakieś błyskawice wspomnień. Uśmiech przedziwnego rozradowania rozkwitnął mu na wargach. Zadygotał wszystek i w skroniach zabiło młotami, kiedy się dotknął zimnej, błyszczącej stali. Pałący żar przejął mu serce. Coś nagle w nim powstało i, oślepiając oczy, powiodło duszę, w cudny kraj dawno zapomnianej przeszłości. Przebudziła się w nim odległa młodość. Ileż to lat temu? Zapadał w jakieś głębiny i powstawał inny, zgoła przemieniony: tamten, który przed laty uciekał z konwiktu pijarskiego w Wieluniu do powstania, do partii Taczanowskiego. Radość w nim śpiewała i święte wzruszenie, jak wtedy, może w taką samą noc letnią, może w taką samą dzwoniącą ciszę i prawie w takiej samej celi. Zaszumiały mu naraz jakieś bory i nad głową świeciły blade gwiazdy. Dogasają ogniska, towarzysze, pookręceni w burki śpią, las szemrze...

»Hej, orły wy młode! Orły! Na bój! Na bój!« — zdał się wołać wszystek świat.

Pozamykał automatycznie okiennice i drzwi, świece postawił na bibliotecę, meble odsunął pod ściany, sutannę zrzucił i, ująwszy karabin, stanął sprężony.

Szeregi zwarte, bajonety nasadzone, ramię przy ramieniu; czuje oddechy towarzyszków.

— Raz, dwa! Raz, dwa! Na ramię broń! Krok podwójny! Marsz! — komenderował sam sobie i zdawało mu się, jako rusza z szeregiem, sprężony i baczny, że trąbki, gdzieś zagrały do ataku, bębny złowrogo warkocą, strzały zaczynają grochotać i świstać kule.

Mróz go przejął, dygot trzęsie, serce dziwnie rozerwie piersi, ale zarazem owłada nim jakaś nieujarzmiona moc i niby żelazną garścią ponosi i rzuca na wroga.

— Biegiem! Biegiem! Na bagnety!

Skacze, niby rozszrożony lew, i uderza, jak huragan. Bojowa furia niesie go i ciska w odmęty strasznej, nieubłaganej walki. Już nie wie co się z nim dzieje.

— Naprzód! Za wolność! Za Ojczyznę! Naprzód! — jakby sam Bóg wolał na niego.

Więc też księżyna szalał: kłuł, mordował, walił kolbą niby cepem, miażdżył, zabijał i, o Boże! Zwyciężał. Naprawdę zwyciężał. Wrogowie pierzchali przed jego straszliwymi ciosami, czyniło się jakoś dziwnie cicho i pusto, że z karabinem do ataku biegał dokoła i przyczajony wypatrywał kogo by jeszcze lubego życia pozbawić.

— Jegomość! A to złodzieje wylamują okiennice do salonu! Jegomość! Ratunku!

Głos był jakby Magdy, jakieś pięści waliły we drzwi, aż cały dom rozdygotał.

Obejrzał się nieco przytomniej i, dostrzegłszy pusty pokój i meble porozrzucane w dzikim nieładzie, zdmuchnął nagle świecę. Długo medytował w ciemnościach, nim pojał, co się z nim wyrabiąło.

— Jezus Maryja! Diabeł siedzi w tym karabinie i diabeł mnie opętał!

Magda, nie doczekawszy się odpowiedzi a uspokożona ciszą, odeszła spod drzwi.

— Boże, bądź mi miłościw! — bił się w piersi i kajał. — To zbójcekie narzędzie gotowe pocziwego człowieka przemienić na zbrodniarza. Ty stary ośle, ty! — strofował sam siebie z gniewem i wstydem. — Zachciewa ci się brykać! Zapachniała ci wojenka! Czekajże, ujmę ja ci obroku, wypościsz się, to ci zaraz zmięknie rura! — strofował i groził sobie. — I nie wódź nas na pokuszenie!

Obwinał pośpiesznie karabiny w jakąś serwetę i, pomimo nocy, zaniósł do podziemi kościelnych i tam schował w jakiejś na pół struchlałej trumnie.

Rano Magda podniosła larum, że złodzieje wdarli się na plebanię i w saloniku porozbijali meble, snać szukając pieniędzy. Ukradli tylko szydełkową serwetę.

— Budziłam, dobijałam się, a jegomość spał, jak zarznięty! Musiało ich być dużo! Podłoga zdeptana i słyhać było latania i wrzaski... Ale któredy weszli?

Książd się z niczym nie zdradził, lecz, aby uniknąć indagacji, zaraz po mszy kazał zaprzęgać i pojechał z kościelnym do miasta.

Poczuł się dziwnie zmęczony, rozbity i niezmiernie zdenerwowany.

— Poganiaj! Nie żałuj bata! Już nie mogę wytrzymać! — wołał zniecierpliwiony.

A dzień był i owszem bardzo cudny i nie nazbyt gorący, niebo jasne, rozśłonecznione i pełne ptasiego świergotu, jeno roztaczający

się dokoła widok rozdzierał mu serce. Do miasta było z dziesięć wiorst i wszystkie wsie, leżące nad drogą, okazywały się spalone i rozbite, zaś pola wyglądały jakby po najstraszliwszym gradzie. Z niektórych pogorzeli jeszcze wydobywały się strugi dymów. Okopy, przerywające pola i żółcące się piachami, podobne się zdawały powypruwanym kiszkom i wnętrznościom. A jeśli dojrzał jaką nie-spaloną chałupę, to na pewno miała zerwany dach, wydarte okna i przetrącony kulami komin. Wojnę znać było na każdym kroku. Miejscami z przydrożnych krzaków lub rumowisk wyzierały jakieś upiorne twarze. Na pogorzeliśkach łazili jacyś ludzie wynędzniali, z twarzami widm i obłąkanymi oczami. W jednej wsi, wyciągniętej wzdłuż drogi a doszczętnie rozbitej granatami, siedziała gromada ludzi, zapatrzona tępo gdzieś przed siebie. Nie odpowiedzieli nawet na »pochwalony«.

Siedzieli martwi, głusi, ślepi, jakby na grobie swoich prac i swojego żywota.

Psy wyły po rumowiskach. Tu i owdzie krowy najspokojniej pasły się w potratowanych zbożach i drób domłócał powalone jęczmiona. Na rozstajach, pod figurami, żółciły się szeregi świeżych mogił żołnierskich.

Rozpacz niemymi ustami pustki wyła z każdego miejsca.

Nie lepiej przedstawiało się miasto. Przewalały się przez nie walczące armie, biły huragany armat, niszczyły rabunki i pożogi, że leżało w połowie w gruzach. Ocalał tylko rynek i kilka bocznych ulic. Żydzi jęczeli, lamentując na gruzach swoich domów. Na ulicach i placach walały się resztki sprzętów, dachówek, cegieł i przepalonych desek. A tu i owdzie czerwieniły się w słońcu fabryczne kominy, niby potworne pnie sosen okrzęsanych z gałęzi. A przy tym te żałosne resztki miasta były przepełnione wojskami. Wszędzie

panował nieopisany tłok i wrzawy, entuzjastyczne szwargoty przepełniały powietrze. Na każdym kroku stały armaty, wozy, konie i nastożone kozły karabinów. Pod domami rozkładali się na odpoczynek żołnierze, otoczeni chmarami natrętnego żydostwa. Przy studni na środku rynku, pod anemicznymi kasztanami oprawiano świnie i woły, pozawieszane u gałęzi. Opodal dymiły kuchnie pochodowe i roztasowywały się nadjeżdżające tabory. W pewnej oddali, na szosie, przeryniającej miasto, słychać było grochoty bębnow, uroczyście grzmiące trąby, przenikliwe grania fletów i ciężkie bicia tysięcy maszerujących nóg. To nowe oddziały ciągnęły od zachodu.

W narożnej cukierni, wychodzącej na rynek i jakimś trafem ocalałej, aż huczało od rozmów, brząków szabel i ostróg. Na werandzie, ogrodzonej zielonym płotkiem przywiedłych bluszczów, siedziało kilkunastu oficerów. Żydowski tłum trzymał ich jakby w oblężeniu i, nie bacząc na częste razy kolb i butów żołnierskich, napierał coraz natarczywiej.

Książdz, znalazłszy jakiś wolny kącik w cukierni, kazał sobie dać herbaty i zapomniał o niej, przyglądając się chciwie potężnym postaciom; twarze mieli groźne, spojrzenia wyniosłe i władcze. Moc biła od nich i nieubłagana potęga. Ziemia zdała się uginać pod ich stopami.

— Mocarze! Kto im da radę! — myślał z dziwnie ściśniętym sercem i wyniósł się jak mógł najostrożniej. Strach w nim zadygotał, pomyślał trwożnie, że któryś z tych władców może tylko skinąć, a natychmiast powloką go gdzieś pod mur.

Przystanął w jakiejś bocznej uliczce, aby złapać nieco powietrza, owładnęły nim jakieś złe przeczucia. I zasięgnąwszy języka, że kilku znajomych członków komitetu wyjechało, postanowił

natychmiast powracać do domu. Po drodze wstąpił jeszcze na probostwo, nikogo jednak nie zastał: księża poszli na zebranie, odbywające się właśnie w ratuszu. Natomiast ogromny kościół poklasztorny, srodze nadwerżony bombardowaniem, znalazł zatłoczony zbiegami przeróżnego rodzaju.

Na cmentarzu dymiły ognie i rozkładały się wielkie obozowiska. U krat ogrodu powiązane krowy ryczały przeciągle. Na wielkich wozach piętrzyły się całe góry pierzyn, worów, skrzyń i różnego dobra. Płakały dzieci, naszczekiwały psy, nie zbrakło i rozgdakanych kur, zgoła jakby na jakim jarmarku. Ludzie jeno byli jacyś dziwnie cisi, twarze mieli umęczone, smutne i z oczów wyczierała beznadziejna rozpacz. W klasztornych korytarzach również było pełno. Góry tobołów zawały drogę. Nawet w kościelnych nawach roіło się od ludzi. Cisnęli się jeden na drugiego, niby owce w czas burzy. Byli to nieszczęśliwcy z okolicy, uciekający z pola bitew, spod kul, z pożóg i spod kozackich nahajek.

Proboszcz znalazł pomiędzy nimi nieco swoich parafian, którym się udało uciec już z gromad, pędzonych na Wschód. Runęli do niego z płaczem i błaganiami.

— Cóż wam poradzę? Wracać do domów! Choćby na gruzy! Lepiej zdychać na swoich śmieciach. Trzeba ratować, co tam jeszcze pozostało na polach.

I nie mogąc opanować wzruszenia, zatrzepał rękami i uciekł jak najspieszniej.

Wrócił do domu zgnębiony i chmurny jak noc, a zaledwie się nieco uspokoił, przyszła gospodyni z nowinami:

— W okopie pod cmentarzem leży dwóch ciężko rannych Moskali. Franek ich postyszał. Skamlali o zmiłowanie. Nie można ich przecież zostawić bez pomocy!

— Jeszcze mi tego brakowało! — jęknął, chwytając się za głowę.
— Nie wolno przechowywać nieprzyjaciół, chociażby i rannych.
Za taką litość płacą więzieniem.

— I pozwolimy im to zdychać w rowie, jak tym psom?

— Co tu począć? Muszą tam już leżeć od paru dni. Boże kochany, za dużo wali się na moją biedną głowę! Niech Magdzia postąpi, jak uważa. Ja o niczym wiedzieć nie chcę, a nawet i słyszeć. Opatrunki leżą w komodzie. Tylko nikomu ani słówka, nawet pod sekretem, jak to Magdzia potrafi...

— Słyszeliście, ludzie? — wybuchnęła żałościwie. — To niby ja latam po wsi z wywalonym ozorem i plotki roznoszę! Jegomość na mnie, jak na łysą kobyłę...

— Cicho już, dosyć! — machnął ręką i, porwawszy brewiarz, uciekł do ogrodu.

A potem, następnych dni nie chciał nawet słuchać relacji o stanie rannych i przeniesieniu ich do pustej lodowni. Zresztą mieli się znacznie lepiej.

I w końcu zapomniał o nich przy tym wszystkim, co się działo dokoła.

Każdy bowiem dzień rodził coraz dotkliwsze troski, niepokoje i trwogi.

Życie stawało się jakimś niepojętym a strasznym koszmarem.

Wypadki toczyły się potężniejącym wirem i z szybkością zawrotną.

Wszystkie okropności wojny zwały się na kraj jakby grobowym kamieniem.

Bitwy, pożogi, zniszczenia tratowały ziemię żelaznymi stopami nieubłagania.

A wojska wciąż szły i szły! Dniami i nocami przewalały się nieprzeliczone armie, płynące wszystkimi drogami na Wschód,

jak wzburzone na wiosnę potoki. Słysząc było nieustający ani na mgnienie turkot armat, wozów, tętenty konnicy, warkotania bębnow, głosy trąb i ponuro-tryumfalne śpiewania. Zaś w ciche lipcowe noce, rozgwiażdżone i wonne, niebo pokrywało się lunami dalekich pożarów, a w słodkim powietrzu drżały dalekie hukidział i bitewne wrzawy.

A na domiar pognębienia, coraz trwożliwsze wieści płynęły jakby wraz ze stadami wron i kruków, ciągnących na żer za wojskami. Czasami je szeptał jakiś nieznajomy wędrowiec, który zjawiał się na probostwie nie wiadomo skąd i nie wiadomo gdzie przepadał. Niekiedy Żyd z miasta przywoził starą gazetę, przepelnioną opisami bitew, pożóg i nieszczęść. To znowu przynosili je ludzie, powracający z samego dna bitewnych piekieł. A co pewien czas przyjeżdżała panna z Mrozów i, naszeptawszy księdzu swoich kłopotów i różnych okropności, uciekała do domu co koń wyskoczy.

Ksiądz wysłuchiwał wszystkiego, trapił się niemało, niekiedy łamał ręce, ale rozpaczy do serca nie dopuszczał, bo i nawet czasu mu na to brakowało, gdyż prawie co dzień jacyś powracający do swoich siedzib ludzie ściągali na probostwo. I sam też jeździł i chodził po wsiach spalonych, roznosząc pomiędzy nieszczęśliwych żywy sakrament wiary i nadziei. Krzepił, jak mógł. A kto nie miał dachu nad głową i kęsa chleba, tego przygarniał na probostwie, że już wszystkie budynki były przepelnione ku niesłychanemu rozdrażnieniu gospodyni.

Nie słuchał jej wyrzekań i prorocत्व złowróźbnych, robił swoje.

I często, jak tylko miał nieco czasu, szedł przed wieczorem na wzgórze za wieś pod figurę, wypatrywać tęsknymi oczyma powrotu ludzi ze swojej wsi.

Ale nikt jeszcze nie powracał, a tygodnie szły za tygodniami. Dnie przechodziły upalne, rozżarzone do białości, bez jednej chmurki, przysłonięte kurzawą nieustających przemarszów, ciche i jakby wybrane na żniwa.

I cóż z tego? Nie rozdzwaniały się kosy ni sierpy; nie rozlegały się radosne śpiewki; nie barwiły się wśród zbóż wełniaki; nie toczyły się do stodół wozy brzemienne złotą pszenicą. Pola stały puste, obumarłe, do zapomnianych cmentarzysk podobne. Step się z nich uczynił dziki, po którym bezkarnie żerowały nieprzeliczone stada ptactwa i zwierzyny, nadciągających ze wszystkich stron.

A żniwa zapowiadały się dobre i, pomimo kozackich stratowań, dosyć jeszcze pozostało do zbierania; tylko, że nie miał kto żąć, sprzętać i zwozić. Ziarno już się wysypywało z przejrzałych kłosów, słoma czerniała, zaś kartofle i kapusty zarastały bujnym chwastem. Ten obraz pól, marniejących z dnia na dzień, przejmował księdza coraz większą troską.

— Wróć i zdechną z głodu! — myślał z rozpaczą o wygnańcach.
— Cóż oni poczną?

Jeździł po okolicy, błagając o pomoc przy sprzętach. Molestował, jak mógł, i nic nie wskórał, bo wszędzie brakowało ludzi, koni i wozów: zabrała je wojna.

Musiał też patrzeć z zaciętymi zębami, jak niektóre oddziały wydeptywały sobie krótsze drogi na przełaj zbóż najlepszych, jak konie taborów pasły się w pszenicach i jak obozowe ciury wysiekały całe łany na podściół i wymaszczanie wozów.

Za pierwszym razem poleciał bronić i protestować, ale dostał taką odprawę, że gospodyni musiała go przez trzy dni ratować smarowaniem i okładami. Więc już nie protestował, jeno, patrząc na to, co wyrabiają, przeżywał w sobie bezsilny gniew i kary boskiej wzywał.

Któregoś dnia sierpniowego, gdy tak siedział na wzgórzu pod figurą, jak zawsze tęsknie wypatrując, czy kto nie powraca z wygnańców, dosłyszał naraz turkoty.

Jakiś wóz toczył się w tumanach kurzawy traktem od szosy i lasów.

Porwał się wyczekująco z zapartym tchem i z oczyma wbitymi w kurzawę.

Nadciągał wóz pod płócienną budą, zaprzęgnięty w cztery liche szkapy.

— W imię Ojca! Dziedzic z Dębicy! Czy mnie aby nie zwodzą oczy?

Wóz przystanął i wyjrzał spod budy siwy pan, a za nim cisnęły się twarze kobiet.

— Niech będzie pochwalony! Jakże się ma ksiądz dobrodziej? Droga już wolna, wracamy do chałupy. Nie wie ksiądz, zostało jeszcze co z Dębicy? Warszawa zajęta!

— Warszawa wolna, Moskale wypędzeni! Chwała ci, Panie! No i jakże tam teraz?

— Pomieniał stryjek, siekierkę na kijek. Krwawymi łzami, płaczą na tę wolność.

— Na wojnie, jak na wojnie! Nastaną czasy pokoju i wszystko na dobre się obróci.

— Już właśnie nastaly te czasy porządku i sprawiedliwości, bo mi w drodze zarekwirowali cztery konie i wóz z siewnym ziarnem. Niech to pioruny trzasną takie czasy!

Cofnął się pod budę i odjechał bez pożegnania.

— Droższy mu koń, niżli sprawa publiczna! Tak zawsze bywało! Prywata i prywata!

Rozmyślał, powracając do domu; struty był jednak i głęboko zaniepokojony. A ledwie zasiadł do kolacji, kiedy mu powiedziano, że powróciła Skowronowa.

Wybiegł na ganek. Siedziała tam na progu jakaś zbiedzona kobieta z dzieckiem.

— Skowronowa! Skądże powracacie? Gdzież Skowron? Gdzież reszta naszych ludzi?

Kobieta podniosła wyplakane oczy i głosem jakby z głębi grobu zaszeptała:

— A bo ja wiem, gdzie mój? A bo ja wiem, gdzie nasi? A bo ja wiem, skąd idę? Tyle jeno miarkuję, jakom wróciła na swoją ziemię i tutaj złożę kości.

Ani jedna łza nie stoczyła się z jej zgorączkowanych oczu, nie potrafiła już nawet zapłakać. Wynędzniała była, niby szkielet, przeżarta niedolą i śmiertelnie zmęczona.

— Gdzieśmy byli, którądyśmy szli, jakeśmy żyli przez ten czas, człowiek tego nie wypowie! Pędzili nas przez jakieś bory, przez jakieś miasta i pędzili dniami i nocami. Czasem dawali jeść, a czasami głód skręcał kiszki, że ludzie żarli surowe ziemniaki, jak świnie. A i o to było niełatwo, boć nas było tysiące. Uciekać nie było sposobu, bo pilnowali kozacy a wojna gonila za nami. Jak przyszły zimne noce, to i choroby rzuciły się na dzieci. Umarło mi moje najmłodsze. Chciałam je na cmentarz, nie było czasu, przynaglali nahajami! Pochowałam je gdzieś pod figurą, nade drogą. Powędrowaliśmy dalej do jakowychś ogromnych borów. Powiedzieli, że zostaniemy tam parę dni. Nie dali nam długo odpoczywać, bo cośmy jeno rozpalili ognie, zatrajkotały te ich piekielne maszyny. Bili się zaraz pod lasem. Zwyczajna to była rzecz i mój też powiedział: »Nie bój się, Maryś, przejdzie bokami. Nasi ich odpędzą«. I położył się na wozie ze starszemi dziećmi, a ja z dwojgiem zostałam przy ogniu.

— Jakoż pokrótce przycichło — ciągnęła dalej Skowronowa — ludzie się pospali, ogniska przygasły. Naraz jakby się wszystek świat walił na głowy! Jak nie zagrzmia armaty, jak nie zaczną bić kule a pękać, a kaleczyć, a zabijać! Naród w krzyk i lament! Sądny dzień nastał. Ratuj się, kto w Boga wierzy! Zdeptali ognie i każdy w swoją stronę. Złapałam dzieci i w nogi, gdzie mnie same ponieśli. Mój się gdzieś zapodział i tyłem go widziała. Całą noc tłukłam się po lesie. Kule biły, niby ten grad ognisty, niby ta zawieja piorunów. Najtęższe sosny łamały się, jak patyki. Nie wiadomo było gdzie uciekać! I nie wiadomo, gdzie się pogubili ludzie. Jeno dwie wystrachane sarny stowarzyszyły się ze mną i już razem uciekalim i uciekalim! Dopiero na świtaniu wyszłam na jakieś pola i akuratnie na niemieckich żołdatów. Szli jakby obławą prosto na nas i strzelali. Zawróciłam za drzewa. Było już za późno: chłopak mi coś stęknął i padł. Patrząc, krew mu się leje z głowy, oczkami przewraca i duszę oddaje... Pazurami wygrzebałam grób gdzieś nade drogą i pochowałam.

Przycichła, półuśmiech okręcił jej sine wargi, twarz stała się jakby wodną gładzią, przez którą przelatowały odbicia chmur posepnych.

— Owinęłam go w zielone zboże i rzekłam na ostatku...

— Komuście rzekli? — spytał mimo woli ksiądz, poruszony jej dziwną przemianą.

— A synaczkowi rzekłam: »Poskarż się, sieroto, Jezusowi! Poskarż się!«

Zatargała się w sobie i, spiąwszy groźnie brwi, zajęczała płaczliwie.

— Pan Jezus niewinnego dzieciątka wysłucha. Jakże, takie zabójstwa i takie krzywdy zostawiłby bez pokarania!

Rozsrożyła się nagle, obłęd zamigotał jej w oczach i gniew straszliwy ją przejął.

— Sądu i kary wołam na świat! Sprawiedliwości wołam!

Głos jej zagrzemiał niezmierną mocą i podnosił się z niesłychaną potęgą grozy. Zdała się być w tej chwili zjawionym obrazem wszystkiej krzywdy człowieczej.

Ksiądz przerażony uciekł do swego pokoju.

Skowronowa, uspokoiwszy się wkrótce, zapadła w stan dziwnej apatii. Nie odpowiadała już na żadne pytania, zjadła łapczywie kolację i nie chciała położyć się spać; zostawili ją na noc pod kominem, bezmyślnie zapatrzoną w dogasające węgle.

Ale nazajutrz o świtaniu już jej na plebanii nie było.

Znaleźli ją na wsi: błąkała się po zgliszczach i spalonych sadach.

— Gdzie moja chałupa? — spytała ksiądz, który poszedł się z nią rozmówić.

— Spalili ją kozacy. Jak to, nie pamiętacie? — zdziwił się i wystraszył jej głosem.

Usiłowała sobie coś przypomnieć i nie potrafiła, bo rozjęczała się płaczliwie.

— Przecież tu gdzieś być musi! Dobrze pamiętam; juści, dach nad sionką zaciekał. Obora prawie nowa, stodoła, trzy krowy, koń. I kajże się to podziało? Pomroka wlaźła mi na oczy czy co? Ludzie, gdzie moja chałupa? — zaczęła krzyczeć i, porwawszy na ręce dziecko, poleciała pomiędzy rumowiska. Zatrzymywała się tu i owdzie, biegła w pola, zachodziła na łąki, wystawała na drodze i szukała wciąż; szukała całymi dniami gorączkowo, obłędnie, niezmordowanie.

Ksiądz, napłakawszy się nad nieszczęśliwą, pociągnął za wieś na wzgórze, wypatrywać powrotu wygnańców. I prawie tak samo

obłądnie, uparcie i niezmordowanie wypatrywał z dnia na dzień. I tak samo wypatrywał na próżno.

Przechodziły dni, mijały tygodnie i całe miesiące.

Armaty ucichły, przemarsze ustały i wojna przetoczyła się na wschód daleki.

Już mżyły zimne deszcze, hulały wichry i szły noce nieskończenie długie, posępne i niby psy rozskowytane. Późna jesień odarła z kraszy ziemię i, przyodziawszy się w łachmany mogił, dygotała po polach i drogach, jako bezdomna żebraczka.

Po wsiach, pod bielonymi strzechami chat przywartych do ziemi, ta jesień wojny ciężko dawała się we znaki. Wszędzie panowała nędza i dręcząca troska wyjadała serca, bowiem czego nie strawiły pożary i co oszczędziły bitwy, to zagarniać jęły drapieżne pazury rekwizycji. Gęste patrole snuły się po wszystkich wsiach i drogach, a rozmiękłymi drogami, jednako w pluchy czy pogody, toczyły się nieskończone szeregi wozów wyładowanych i zbrojną eskortą opatrzonych.

Wstrząsające płacze i krzyki żegnały ostatnie krowiny, wyciągane z obórek.

Niejednen chłopski łeb padał rozwalony w obronie ostatniej garści ziarna.

I niejednego w kajdanach pędzono do więzienia i pod kule.

Jesienne, mgłami omotane pola łkały echami płaczów i rozpaczy.

Nienawiść rozrastała się w każdym sercu, doprowadzając niejednego do szaleństwa.

Proboszcz codziennie patrzył na te wozy, jadące przez wieś spaloną, ku szosie.

Jechały wesoło wśród śmiechów żołdactwa, połysku bagnatów i parskania ciężkich koni.

I często również widział, jak Skowronowa, już zupełnie oszalała, zjawiała się na drodze i, zastępując drogę wozom, zaczynała wrzeszczeć nieludzkim głosem:

— Loboga! Dyć moje krowy wieżą! Złodzieje! Ludzie, ratujcie! Oddajta moje! Oddajta! Wszystko mi zabrali! Oddajta! — Rzucała się na eskortę, drąc pazurami, bijąc kamieniami, błotem i czym tylko mogła.

Odpowiadały jej kolby, buty, pięści i drwiący dziki śmiech, że potem godzinami leżała w błocie posiniaczona, sponiewierana i nieprzytomna.

Takie właśnie sceny i znęcanie się nad nieszczęśliwą doprowadziły proboszcza któregoś dnia do takiej pasji, że, wydostawszy z trumny karabin, przyczaił się za węglem kościoła i jął drżącymi rękami brać na cel jednego z eskortujących wozy.

Na szczęście, nim zdążył strzelić, stanęła przy nim panna z Mrozów.

— Jezus, Maryja! Co ksiądz wyrabia? Niemile księdzu życie, czy co?

— A niemile — szepnął, wspierając się o mur kościoła. — Nie mogę już patrzeć! Ostatniego konia wyprowadzają! Kozuchy chłopom ściągają z pleców. Ludzi łapią i wywożą. Na każdym kroku gwałt, rabunek i przemoc! — skarżył się zrozpaczony.

— Mnie wczoraj zabrali pościel i meble! I nie ma tygodnia, żeby mi czegoś nie rekwirowali. Oganiam się, jak przed wilkami. Chcą mi obrzydzić życie i przymusić do oddania Mrozów w administrację. Ale nie ustąpię i, psiakrew, przetrzymam!

Zakłęła w nagłej irytacji. Zaprosił ją na plebanię i długo wypytywał o różne szczegóły, ale na odchodnym, odciągawszy ją na stronę, szepnął błagalnie:

— Zabierz moje karabiny i utop w stawie. Boję się, że mogą mnie przywieść do grzechu.

I oddawał je nie bez głuchego żalu, jakby najmilszej rzeczy się wyrzekał.

Po odjeździe panny Zosi, poszedł odszukać Skowronową. Zniknęła gdzieś, jak kamień w wodzie. Dopiero w kilka dni później zjawiała się na plebanii, lecz tak czysta, ochędożnie ubrana i przytomna, że ledwie ją poznał.

— Chwała Bogu, że wam się przemieniło na lepsze! — mówił wielce uradowany.

— A bo chciałam powiedzieć dobrodziejowi, jako był u mnie w nocy Pietruś...

— Pietruś? Skądże się wziął? Któż to taki? Przysiądźcie trochę — zapraszał.

— Toć mój synaczek drogi, com go pochowała! Przyszedł i powiada: »Matulu, dzień sądu nadchodzi! Kto winien, będzie pokarany! Sam Pan Jezus zejdzie na świat sądzić żywe i umarłe! Sam będzie wymierzał sprawiedliwość! A straszna będzie dla uciemężycieli! I ni jedna człowiecza krzywda nie oстане bez pokarania! Ni jedna!«



— ECHA —

Armaty przycichły i z głębi ciemnej izby zabrzmiał wylękły, drżący głos.

— Naprawdę widziałeś jak ojciec uciekał?

— Mówiłem już mamie.

— I nie strzelali za nim?

— Ciemno było, tłok i rozbijali tylko kolbami.

Odpowiadał ktoś niechętnie.

— Gdzie się pali? Ogień jakby coraz większy.

— Rynek. Niemcy chodzą od domu do domu, oblewają naftą i podpalają.

— Jezu, zginie całe miasto! — załkał głos z ciemności. — I my wszyscy zginiemy!

Jakby w odpowiedzi, zaczęły znowu bić armaty.

Gdzieś wysoko, w ciemnościach wylły stada przelatujących kul.

Mały parterowy domek rozdygotał się aż do fundamentów; trzaśkały drzwi, jakby poruszane niewidzialną ręką, rozwalał się piec, ze ścian zlatywały z brzękiem obrazy, przewracały się sprzęty i wylatywały resztki szyb. W izbie duszno było od wapiennego kurzu odpadających tynków i ciemno, bo jeno przez zawarte okiennice sączyły się krwawe brzaski niedalekich pożarów. W jednym z kątów, przed złocistym obrazem Częstochowskiej, ustawionym na podłodze, tliła się jeszcze olejna lampka. W głębi z kupy barłogów

roznosiły się nieustające szlochy dzieci a w przerwach grzmotów i wycia dział, wybuchały rozpaczliwe błagania.

— Boję się! Mamusiu, boję się!

Ale huk armat znowu przygłuszał te lamenty bezbronnych pi-skłat, domek się szarpał, chwiał w różne strony i trzeszcząc złowro-go, dawał pozór jakoby okrętu porwanego przez huragany; okrętu skazanego na zatracenie.

Matka uspokajała jak mogła, nie pomogło, płakały coraz żało-śniej.

— Cicho dzieci, śpijcie, zaraz przestanie grzmieć, nie odejdę was robaki kochane, nie bójcie się. Jak ojciec przyjdzie, pójdziemy do ciotki na gruszki. Józiu, wyjrzyj no, czy ojciec nie powraca!

Chłopiec wyszedł bez słowa i jakby pijany zatoczył się na ścia-nę. Wiedział, że ojciec, powrócić nie może. Przed paru godzina-mi, o zmierzchu rozstrzelali go Niemcy! Własnymi oczami patrzył na jego śmierć. Miał jeszcze ręce powalane jego krwią. Żołdac-kie kolby i bagnety odpędziły go od trupa. Przyleciał do domu z tą wieścią i coś wyższego nad jego pojęcie i wolę, przymusiło go do kłamstwa przed matką. Przyleciał pełen straszliwego krzyku, lecz dojrawszy jej twarz udręczoną niepokojem, nie potrafił już wyznać przed nią. Gotów był sam umrzeć niżli przyczynić jej tej no-wej i strasznej boleści. Zawarł się w sobie i milczał. Miał dopiero lat czternaście, ale te dni wojny i śmierć ojca uczyniły mu duszę starą jak świat, jak ból, jak ludzkość. Patrzył na wszystko jakby w coraz głębiej zapadającej się otchłani, że nawet nie czuł już żadnych obaw ni trwóg. Dusza mu skamieniała na bryłę zlodowaciałych łez.

Siedział czas jakiś pod ścianą bezmyślnie zapatrzony w pożary i kłęby dymów. A miasto umierało; jakieś potworne dzioby, kujące bezustannie w ciemnościach rozszarpały je na strzępy. Posępne

skrzydła dymów przysłaniały walkę i pożogi. Domek stał za rogatkami, przywarty szczytem do cmentarnego wzgórza, na którym dziko szumiały ogromne drzewa i bielilo się tysiące krzyżów. Szeroka ulica prowadziła do miasta leżącego nieco niżej; pędziły nią automobile, maszerowały wojska, toczyły się działa i przelatywała konnica, zaś niekiedy gromady ludzi z obłąkanym wrzaskiem uciekały w pola, w ciemność, pod płoty i w rowy przed gradem kul świszczących na wszystkie strony.

Chłopiec posiedziawszy dłuższą chwilę na dworze, powrócił do mieszkania.

— Cóż, nie widać? A może po drodze wstąpił do znajomych? — pytała matka.

— Miał zajrzeć do stryja... — wspominał nawet. — Pewnie tam zostanie na noc.

— I nas by samych zostawił w taką straszną noc? Tylko go patrzeć, pewnie wróci łąkami, trochę dalej, ale bezpieczniej. Przecież się tam nie biją, co?

Józio pod jakimś pozorem uciekł przed dom, bał się w rozmowie zdradzić.

Armaty były coraz rzadziej i pociski niby meteory przelatywały w ciemnościach. Gdzieś w nocy gdakały ohydnie kartaczownice z monotonnym uporem i trzeszczały karabinowe salwy. Słysząc było plusk kul uderzających w cmentarne drzewa i gontowe dachy. Bitwa zdawała się już przycichać, natomiast pożary wzmagaly się z minuty na minutę. Miasto stawało się podobne do płonącego stosu, spowiniętego w czarne kłębowiska dymów, że tylko niekiedy odsłaniały się głębie ulic niby krwawe rany, pełne straszliwej grozy walących się domów, zapadających się dachów i ulewy cegieł. A z tego piekła, ponad szumy ognia i trzaski, ponad ryki armat

i świsty kul, wydierał się potworny krzyk człowieczy! Szlochy i płacze zdawały się wybuchać z wnętrza samej ziemi. Naraz okropny grzmot rozdarł powietrze tak blisko, że Józio uderzył o ścianę, odbił się od niej i potoczył do przydrożnego rowu.

Oprzytomniał dopiero na świtaniu i ledwie się zebrał na nogi.

— Z domu pozostała jeno kupa połamanych ścian i dachów a spod rumowisk wydobywały się jakieś konające jęki.

Rzucił się na ratunek. Na darmo jednak poszły wszystkie jego rozpaczliwe wysiłki; na darmo krwawił ręce i padał z wyczerpania, nie poradził się przedostać.

Polecał szukać ratunku u sąsiadów, ale domy stały puste i zrabowane.

Błagał, zebrał zmiłowania i skamlał u nóg każdego przechodnia o pomoc, bo jęki stawały się coraz cichsze i jakby coraz dalsze, aż w końcu zupełnie umilkły. Zrozumiawszy, że wszystko skończone, padł bez sił, bez myśli i bez czucia.

Dzień się podniósł słoneczny, zadymiony jeno i pełen swędu spaleniźny.

Miasto paliło się jeszcze, lecz bitwa już była skończona.

Dobrze już po wschodzie, na drodze zagrzmiała kapela i w tumanach kurzawy jęła się ukazywać maszerująca kolumna. Muzyka huczała coraz mocniej i tryumfalniej, a wraz też zadygotała ziemia od kroków tysięcy. Zalśnił w słońcu nieprzejrzany las bagnetów, rozпалиły się złociste pikelhauby, świeciły wypasione gęby i zajaśniały dzikie, okrutne oczy. Na wspaniałym gniadoszu jechał oficer i w jakiejś chwili, przed roгатką, dał znak i potężny chór głosów uderzył w niebo.

Parli się naprzód w ulice płonącego miasta niby rzeka potężna, groźnie wezbrana mocą i wszystko po drodze druzgocąca.

Józio porwał się nagle, krew oblała mu twarz i serce przejęła taka straszliwa, dzika nienawiść, że porwawszy kawał cegły, trzasnął nią w łeb oficera.

— Masz za wszystkich, ty psie wściekły! — zakrzyczał nieprzytomnie.

Oficer zachwiał się w siodle, ale w tej chwili sto bagnetów, sto kolb i sto obcasów spadło niby huragan na zuchwalca.

Popłynęli dalej z tryumfalnym śpiewem i muzyką, jeno przy drodze pozostała bezkształtna kupa ciała, z której wynosiła się tylko pięść groźnie zaciśnięta.



28 listopada 1918

— SKAZANIEC NR 437 —

— Maryś, zobacz no, czy się tam kto nie wałęsa? — zabrzmiał rozkaz z komory.

Kobieta, podsiewająca grubą, razową mąkę nad płachtą rozpostartą pod kominem, odłożyła sito i, podniósłszy się z trudem z racji brzemienności, wyrzała przed dom.

Było bardzo wcześnie i jeszcze dzień nie dawał żadnego znaku o sobie.

Śnieg padał suchy i gęsty, o kilka kroków niepodobna było nic rozeznąć. Wszelaki kształt rozwiewał się w białawych tumanach. Wieś zaledwie majaczyła w śnieżnej ulewie. Wszystko grażyło się w tej rozdrغانej, sypkiej, białej topieli. Olbrzymie przydrożne sokory wynosiły się ku niebu, jakby smugami strzępiastych, nikłych dymów. Powietrze stało bez ruchu i śnieg opadał równo, gęsto, nieustannie a bez szelestu. Nie drgnęła ani jedna gałązka. Już nie dojrzał nigdzie płotów, dróg ni zagonów, nieba ni ziemi. Wszystek świat stawał się niepojętym, białym widzeniem, w którym jeno tu i owdzie, jakby przyczajone wilcze ślepia, migotały światełka chat. Czasem też przewiał w śnieżycy jakiś zbłąkany głos, nie wiadomo skąd lecący. I koguty zaczynały pisać.

— Nigdzie żywego ducha — oznajmiła i, dorzuciwszy drewek na ogień, zabrała się z powrotem do roboty. — Nawet w opłotkach śniegu po pas, sypie i sypie — dodała.

— Folguje sobie Pan Jezus. Sroga zima, najstarsi takiej nie pamiętają.

Umilkli, jeno w komorze zaturkotały żarna, gwałtownie obracane.

— W gazecie pisali, jako wilki już całymi stadami podchodzą gdzieś do wsi.

— Wilki byle czem odpędzi, ale żeby tak napisali sposób na Niemców!

— Na taki czas i, po nocy przecież nie przyjadą — uspokajała.

— Właśnie to pora najlepsza dla złodziejów. A jak to było w Zamościu? W taką samą zamieć i nad ranem wieś napadli i do cna ją obrabowali...

— W imię Ojca i Syna, byś nie wyrzekł w złej godzinie — przeżegnała się prędko.

Na kominie buchnęły nagle płomienie wesoło trzaskające i złościstymi brzaskami wypełniły całą izbę; zagrały rzędy obrazów na bielonych ścianach i szyby zahaftowane srebrzystymi różgami mrozu. Izba pokazała się duża i niska, przygniatały ją poczerniałe belki, upstrzone kolorowymi wycinankami z papieru. Widniało też sporo sprzętu i to nie byle jakiego. Dwa łóżka piętrzyły się stosami pierzyn i poduszek. Między oknami stół dźwigał lampę z białym kloszem i sporo książek.

Tkacki warsztat brał miejsce pod oknem, a na nim prawie skończony wełniak ciągnął oczy, pasami barw niby rozwiniętą tęczą migocących. Były i police, pełne talerzy i misek. I po kątach parę skrzyń suto malowanych w kwiaty.

I sporo przeróżnego dobra, świadczącego o zamożności.

— To żydowska sprawka — zabrzmiał znowu głos z komory.

— Oni za pan brat z Niemcami. Jednakowo szwargocą, to się wnet zwąchali na naszą zgubę. Psia ich mać!

Zaklął siarczyście i w złości puścił żarna z taką mocą, że iskry posypały się spod kamieni. Pracował zawzięcie i śpiesznie, jeno niekiedy ukazując na izbie swoją twarz umęczoną. Zapalał wtedy papierosa, pomagał żonie odsianą mąkę zsypywać do worka i, nieco wytchnąwszy, powracał do roboty.

— Słyszane to rzeczy, żeby kryć się ze swoim, jak złodziej!
— rzekł w jakiejś chwili. — Żeby ja musiał własne żyto mleć ukradkiem i po nocy! A psie krwie!

— Aż dziwno, że takie na wszystko te Niemcy chciwe i łakome
— zauważyła.

— Cudze takim smakuje! Że to nie ma kary na tych zbójów!

— Cicho, Adam, jeszcze kto posłysz i doniesie — ostrzegą.

— A to już człowiek ledwie utrzyma, co ma na języku!

— Słowem nie poredzi naprzeciw takiej mocy.

— Niechby tylko zawołali, a pierwszy bym ruszył na tych zbójów.
Srożył się coraz namiętniej na wspominki niemieckich gwałtów i złodziejstw.

— Człowiecza krzywda jeszcze nikomu na zdrowie nie poszła
— dogadywała z głębokim przeświadczeniem. — Nie minie ich kara Boska, zobaczysz!

— Nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje! — mruknął posepnie.
— A co nam zabrali zboża, bydła, ziemniaków i pieniędzy, to któż nam powróci, kto?

— Juści, że wilkowi z gardzieli nie wydrze. Żeby się udławili naszą krzywdą!

— Dopóki się tych wściekłych psów nie wytępi co do nogi, nie będzie sprawiedliwości.

Pogadywali, nie przestając pracować. Dopiero kiedy dzień zajrzał przez zamarznięte szyby do izby, Adam skończył mielenie; żarna

schował w stodole, mąkę gdzieś pod strzechę na górze i, otrzepawszy kożuch, zabrał się do obrządzania gospodarstwa.

Tymczasem na świecie uczyniła się odmiana, bo równo ze światem przestał padać śnieg a zaczął szczypać niezgorszy mrozik.

Dzień się podnosił modrawy, zaś kiedy słońce czerwoną tarczą ukazało się spoza borów, ziemia stanęła w płomiennych skrzeniach i olśniewających białościach. Wieś też zawrzała nagle gwarem i ruchem. Ze śnieżnych kopiec i grobel jęły bić w niebo granatowe, kłębiaste słupy dymów, porykiwania, gęgoty, skrzypy wierzej i studziennych żurawi, naszczekiwania psów. Zaroiły się drogi i obejścia. Przekopywano przejścia między domami; odwalano poniektóre chałupy, zasypane po strzechy. Już niegdzie po stodołach rozległy się głuche bicia cepów. Jakaś dziwna radość przejmowała serca, że w rozśłonecznionym, mroźnym powietrzu rozbrzęczały się donośnie wesołe głosy i śmiechy. Już gdzieś pomimo mrozu zrywała się piosenka. Kobiety wołały do siebie wskroś zasypanych sadów. Jakieś nabożne kумы, okutane chustami, w mężowskich butach, przebierały się do kościoła.

Właśnie sygnaturka zaczynała zwoływać na mszę, kiedy Maryś, omaściwszy otrębami picie dla krowy, próbowała dźwignąć z ziemi ciężką cebratkę.

— Postaw, jeszcze się podźwigasz, sam zaniesę — powstrzymał ją chłop.

— Ale przypilnuj, żeby nie wylała na ziemię! — Kurom podrzuć ziarna i wnet przyjdę.

— Nie wychodź, póki śniegu nie przekopię. Już ja wszystko zrobię za ciebie, moje ty klejnoty! — objął ją i, pocałowawszy w poźółki, zmizerowany policzek, wyszedł z cebratką.

— Że już lepszego nie ma na wszystkim świecie — szepnęła, goniąc za nim wdzięcznymi oczyma. — A może teraz Pan Jezus ulituje się nade mną — westchnęła, spoglądając błagalnie na święte obrazy. — Żeby jeno nie pomarło, jak tamte — myślała trwożnie.

Bowiem nie wiodły się im dzieci, już byli pochowali dwoje. Młodzi byli, dorodni, zdrowi, zamożni, boć siedzieli na dwudziestu morgach, a tylko w tym jednym jakoś im Pan Bóg nie błogosławił. I to ich okrutnie trapiło. Więc też obecnie, ponieważ Maryś była już w ostatnich tygodniach ciąży, Adam czuwał nad nią niczym kokosz nad pisklętami. Wszystkie kumy dworowały z niego, ale, puszczając mimo uszu wszelakie przekpiwania, wszystko robił za żonę i jak mógł wyręczał. I dzisiaj było to samo, bo nie tylko napoił krowę i wydoił ją, lecz również dał żarcie świniom i gęsi wypuścił na świat, że z głośnym gęganiem, brodząc w śniegach, leciały pod chałupę. Zabrał się w końcu do rąbania drzewa, gdy zawołała go żona na śniadanie. Jakoż w izbie już pachniała przysmażana słonina i na szerokiej ławie przed kominem smakowicie parowały ziemniaki i barszcz; bochen chleba leżał pobok.

Jakiś czas pojadali w milczeniu, jeno na skrzybot łyżek o wręby mich wysunęły się z komory pstrokate króle, hycając po izbie w śmiesznych podskokach, zaś co zmyślniejsze stawały słupka przed gospodarzami, strzygąc uszami i wąsami.

— Ta stara lada dzień się okoci, już brzuchem włóczy po ziemi — zauważył, rzucając im łyżkę przezornie ostudzonych kartofli. — I maciora ino patrzeć, jak się oprosi. Gniazdo już ściele i przystępu nie daje. Zagotuj dla niej siemienia lnianego.

— Ale kto ją przypilnuje, by znowu prosiąt nie podusiła? — zakłopotana się nagle.

— Zgodziłem Grzelową. Jak tylko zlegniesz, sprowadzi się do nas. Przyda się, boć nie dałabyś sobie rady z dzieckiem i gospodarstwem. Przyjdzie dzisiaj do umowy.

— Pyskacz baba i zakropić sobie lubi, ale robotna i mocna, jak koń.

— I parobek by się zdał. Teraz, jak mamy te pięć morgów więcej, to ciężko mi będzie uradzić samemu. Raili mi Marcina od młynarza. Chłop zdatny!

— Do dzieuch i do gorzałki, wiadomo. Józka Bialikówna nie chodziła to ze skargą do proboszcza na niego? Manił ją żeniaczką i porzucił z dzieckiem. W żywe oczy się wyparł, choć stawiała świadków na wszystko!

— Trudno takiej dać wiary: łajdus dziewczyna. Za każdym parobkiem lata, choćby palcem na nią nie kiwnął. Chłopak nie głupi płacić za drugich.

— Spytaj się o Jaśka Miazgowego, czterech ich siedzi w chałupie. Miazgowa mówiła, że jakby się trafiła służba we wsi, toby Jasiek poszedł. Przewiedz się.

— Chłopak poczciwy i pracowity, cóż, kiedy należy do tej partii, co się to po lasach ćwiczy, więc jak go zawołają, musi wszystko porzucić i lecieć. Przysięgał na to.

— Aha! To o nich zeszłej niedzieli ksiądz wspominał na ambonie.

— I sam im pomaga. Wezmę chyba Marcina, jak uważasz, Maryś, co?

— Byłeś jeno nie żałował! U młynarza się zwałkonił na lekkim chlebie. Bo to mało naszmugłował mąki do Łodzi? Pono i na swoją rękę handluje! Życie ma tam dobre, co tydzień mięso, to nasze nie będzie mu do smaku. Miarkuj ino...

Adam, skończywszy śniadanie, zapalił papierosa i, puszczać dym, srodze się zamedytował nad słowami żony. Niemało go zaniepokoiły.

— Mróz niezgorzej owarzył owies, pójdę pomłócić — zdecydował nagle, powstając.

— Kiedy sprzedasz pszenicę? Stryj powiadał, jako teraz dobrze płacą.

— Mieli po nią przyjechać której nocy, ale po takiej śnieżycy drogi kopne i bokami zgoła nie przejedziesz. Musisz ją przenieść z góry i schować pod słomę w stodole.

— A żeby tak do kopca pod ziemniaki? Tam by i Niemiec nie zwał.

— Niepodobna na taki mróz otwierać kopca. Na nic zmroziłbym kartofle.

— Prawda. Że to nie pomyślałam. Przynieś mi z wiadro wody. Wezmę się do wełniaka. Ale, zanieś psu jeść, bo już skowyczy aż trudno ścierpieć.

— Nie turbuj się, wszystko zrobię, jeno pracuj z wolna i nie szarp się — upominał, wychodząc.

Wody naniósł do sądka w kącie przy drzwiach, miskę zabrał i poniół do stodoły.

Kury wraz z gęsiami podniosły w sieni taki wrzask, że musiała je nakarmić i wypędzić przed dom. Rzuciła też przed progiem jęczmienia gołębiom, spływającym spod strzechy stadem zrudziałych, jesiennych liści. Uprzątnąwszy po śniadaniu zamiotła izbę, podrzuciła drew na ogień, posłała akuratnie łóżka i, zdjąwszy z nóg drewniane, ciężkie trepy, zasiadła do warsztatu.

Króle, wypełznąwszy z jam komory, znowu poczęły baraszkować na izbie w smudze bladego słońca, bijącego przez roziskrzone,

zamarznięte szyby. W izbie robiło się coraz cieplej i rozpostarła się cichość; słyhać było tylko monotonne, głuche uderzenia cepów, niekiedy jakieś wrzaskliwsze głosy wsi nadlatywały, a czasem zaszczekał żałośnie Kruczek, targający się na łańcuchu pod stajnią.

Brudzowa zabrała się do roboty z namaszczeniem i czujną cierpliwością, że co trochę rozlegał się suchy klekot warsztatu, przybijanie płochą i ledwie dosłyszalny świst czółenka przelatującego wskroś szarej przędzy wątku, a znaczącego swój ślad barwistą nitką wełny. Za każdym przybiciem płochy, szara przędza, rozpięta na warsztacie, drgała jakby spływające nieustannie strugi deszczów.

Pracowała pochylona naprzód i w głębokim skupieniu. Na tle srebrzystych szyb, roziskrzonych mroźnym światłem, Maryś, przybrana w barwisty wełniak i kaftan w poprzeczne paski żółte z niebieskim, w seledynowej chustce na lnianych, bujnych włosach, smukła, śliczna, o twarzy ściągłej i niby ze złotawego wosku uczynionej, dawała obraz prządki, snującej ze siebie migotliwe przędze tęczy. Tkała bowiem niezmiernie wzorzysty wełniak: dno gorąco szafranowe przecinały pasma fioletu, młodej zieleni, purpury żywej obrzeżonej nikłymi wrębami białości.

Nie miała żadnego wzoru, więc często zapadała w długie medytacje, rozpatrując cewki omotane kolorowymi wełnami. Często, odsunawszy się nieco w tył, patrzyła przymrużonymi oczyma na rozwijające się dzieło. A przychodziły chwile, że, siedząc nieruchomo, przyzywała do pamięci łany żrącej pszenicy w skwarny dzień lipcowy, miedze grające w słońcu błękitami ostróżek i ostów, zagony kwitnącej gryki, zieleń młodych owsów, to półka lnów, kwitnących tak cudnie, jakby tysiącem tysięcy tych najdroższych dziecińskich oczów! Wtedy wzdychała cichutko i tęsknie za czymś gorąco

upragnionym i, wsparłszy twarz na dłoni, patrzyła przymglonymi oczyma we świat, niosąc się całą duszą do swoich drogich, często opłakiwanych mogiłek.

Bury, ogromny kot chlusnął naraz z pieca na środek izby, pomiędzy króle, które rozbiegły się z przerażeniem, przeciągnął się leniwie, wytarł łapkami pyszczek i, obwąchawszy statki puste po śniadaniu, jął się obcierać o nogi gospodyni.

Nie zauważyła, więc skoczył jej na kolana i, mrużąc, przypominał się natarczywie.

— Ty próżniaku, to nie chciało ci się zleźć z pieca, jak drudzy jedli, co? Poczekaj teraz!

Kot nasrożył się i, miauknąwszy, skoczył na łóżko i zapadł się w pierzynach.

— Widzicie go, jaki mi dziedzic, będzie się tu rozwalał na pierzynie!

Ale dała mu spokój, bo wpadła Franka, stryjeczna, i zaraz od progu zagadła:

— Wiecie? Niemcy zabierają po wsiach wełniaki, płótna i nawet przędzę...

— Jeszcze by tego brakowało! — opadły jej ręce. — A co by im przyszło z wełniaków?

— Zabrali w Modlicy, zabrali w Mrozach i zabrali w Zakrzewie — otrzepała o próg trepy, zapaskę ściągnęła z głowy i, nagrząwszy ręce, przystąpiła bliżej. — Śliczny wełniak. Ja bym w ten pas zielony wrobiła ze dwie granatowe nitki — wskazała palcem.

— Już tak ostać ostanie — odparła sucho. Każdy widzi po swojemu. A cóżeś tak się styłała w śniegu? Zaspy na drodze czy co?

— Grzelowe chłopaki zepchnęły mnie do rowu. Nie dadzą wisusy nikomu przejść.

— I, powiadasz, płótna bierą i przędzę? — zatroskane oczy podniosła na nią.

— I co im wpadnie w ręce. Dopiero co u sołtysa rozповідаł dziadek, ten ślepy i kulawy Paweł, znacie go, jako w Zakrzewie gospodarzowi zabrali całego wieprzka zabitego, wszystkie kiełbasy i placki, jakie narządzili na wesele! Co?

— Że to ludzie pozwalają sobie odbierać! — zawrzała nagłym gniewem.

— Próbujcie nie dać, to was zbiją, każą płacić kary i jeszcze wsadzą do kryminału. Mało to już ludzi pomarnowali, co?

Natrajkotała i poszła z tym samym do drugich chałup, a wnet po niej przybiegła stara Brzoskowa, okutana w chusty i czerwona jak piwonია.

— Kobieto, jeszcześ nie w łóżku? — krzyknęła na wstępie. — Coś długo się przeciąga!

I gdakającym głosem jęła dawać rady i rozpowiadać, jak to z nią bywało przy rodach.

I tak im było bliżej południa, tym częściej ktoś wpadał na chwilę, załgując się o różne sprawy, byle przy tej okazji pogadać, no winy swoje wysypać, języka zasięgnąć, chałupę spenetrować i coś nowego zachwycić dla drugich. A każdy wiedział najlepiej i sprawy najważniejsze. Zwłaszcza o Niemcach i Moskałach nie było końca opowiadaniom. Ktoś nawet przysięgał, że już po lasach zbierają się kozacy. Nie brakowało również i miejscowych plotek i wiadomości.

Brudzowa, ile że sama była z natury powściągliwa w języku, przerwała niecierpliwie staremu Dryzdzie, który, zamówiwszy się o pożyczanie świderka, plótl już trzy po trzy.

— Trzeba mieć głowę, jak stodołę, żeby tylachna spamiętać.

— Juści, że w przetaku wody nie utrzyma — odparł z przekąsem i wyszedł.

Zabrała się do nastawiania obiadu, kiedy przed domem dały się słyszeć jakieś tupoty i skomlące głosy. Troje ludzi przyszło po proszonym.

Wpuściła ich do izby, niechętnie wskazując im ławę pod komi-
nem.

Zasiedli, grzejąc w milczeniu ręce i sine, wynędzniałe twarze. Było ich troje: kobieta, mężczyzna i wyrobek. Ubrani byli z miejska, jeno pookręceni od zimna w jakieś chusty potargane i płachty, w kaloszach przywiązanych do nóg sznurkami.

Brudzowa, nie bardzo im rada, jak wszystkim obieżyświatom, zaczęła jednak spoglądać na nich ze współczuciem, bo siedzieli onieśmieleni, cisi i jacyś pokorni.

Poczciwość patrzyła im z oczów i nie wyglądali na dziadów.

— Z daleka to państwo wędrują? Pewnie fabrykanci? — spytała po długiej chwili.

— Tak. Idziemy z miasta Łodzi — odpowiedziała kobieta, podnosząc na nią przesmutne, wypłakane oczy. — Idziemy do swoich aż za Siedlce, będzie ze dwadzieścia mil. Pieniędzy nie mamy na kolej i musimy drałować piechotą. Po żebranym chlebie się wlecemy, od wsi do wsi — głos się jej załamał i schrypnął. — Może nas Pan Bóg nie opuści a dobrzy ludzie wspomogą. Wyszliśmy przed czterema dniami, a jakby na nieszczęście, śniegi spadły i mrozy biorą coraz większe. A najgorzej, że ludzie boją się nas nocować. Tyle łajdactwa namnożyło się po świecie, że trudno rozpoznać, kto poczciwy a kto zbój. I na dobitkę, mój mąż chory i ledwie już nogami powłóczy.

Mówiła z beznadziejnym smutkiem, co Brudzową przejęło serdeczną litością.

— Mleka wam nie dam, bo krowa na ocieleniu i już zostawiła, zasię drugą, najlepszą dójkę, zabrali nam Niemcy, ale zrobię wodzianki — zaproponowała i, nie czekając odpowiedzi, nalała w miskę wrzátku, doprawiła go do smaku solą, pieprzem i tłustością, wkrajała z pół bochna chleba i podała.

— Niech wam będzie na zdrowie.

— Bóg wam zapłać, pani gospodyni, od czterech dni nie jedliśmy gorącego.

Przypięli się do jada łąpczywie, zwłaszcza chłopak dziw nie wlaź do miski, tylko stary po pierwszych łyżkach z jękiem chwycił się za żywot i posiniał.

— Jakby mi kto świdrem brzuch przewiercał! — jęknął, odkładając łyżkę.

— Co się stało? Loboga, może szkło było w chlebie! — zatrwożyła się Brudzowa.

— Od Niemców przywiózł tej choroby, że od czasu do czasu przy jedzeniu dostaje takiego bolenia w brzuchu. Zmarnował mi się chudziak, zmarnował! — wyrzekała.

— A gdzie, zapowietrzone! — krzyknęła naraz Brudzowa, biegnąc do okna. — Adam, odegnaj!

— Nie gniewajcie się, zaraz sobie pójdziemy — zabełkotała przerażona jej głosem.

— Co wam się troi? Gęsi włożą w zaspę i gotowe mi się potopić.

Wybiegła pędem. Wraz też rozgłosiły się przed chałupą rozpaczliwe gęgania, gdakania kur i wrzaski.

— Czekaj, zbóju, niech no gęsi zniesą jaja, to cię dam żydom na szabas. Zły, jak ten pies — objaśniała, powracając do izby — zawsze mnie musi uszczypać.

Kokoszkę, którą przyniosła pod pachą, wsadziła do koszyka pod łóżko i przykryła przetakiem. — Jajka gubi po dworze na psią uciechę — tłumaczyła, zabierając się do obierania ziemniaków.

Przystawiona do ognia kapusta już dawała znać, gryzącymi parami.

— Myśleliście, że na was krzyczę? — wymówka zadźwięczała w jej głosie.

— Człowiek zganiany gorzej psa, to boi się własnego cienia. Wczoraj we Woli z chałupy, gdzie nas przyjęli na nocleg, skoro memu zrobiło się po zimnej kapuście tak słabo, jak teraz, gospodarze nas wypędzili. Bali się, żeby im w stancji nie umarł. Na kolanach żebrałam o miłosierdzie. Nie usłuchali; na mróz, na śnieg, na noc i zawieję wygnali nas, niby psów! Wygnali! — jęknęła cichutko i załóśnie.

— Przeprowadziliśmy się do księżej obory, między krowy, ciepło nam było! — uzupełnił chłopak i, odłożywszy miskę, jął się czaić po kątach za uciekającymi królikami.

— Wicuś, nie drzyj portek! Cóż, przechodzi ci, nieboraku?

— Przechodzi. Już mnie i poty odstąpiły — odparł, obcierając zroszoną twarz i ze smutkiem spozierał na wymiecioną do czysta miskę.

Dojrzała to Brudzowa i hojnie ich opatrzyła na drogę w chleb, kaszę, a nawet i spory kawałek kiełbasy.

— Jest Pan Bóg nad sierotami a dobrzy ludzie na świecie — zawołała modlitewnie kobieta, próbując ją pocałować w rękę.

Brudzowa cofnęła się zasromana.

— Oddacie kiedyś biedniejszym. To pan był u Niemców? — spytała prędko.

— Dwa lata pracowałem ciężko na tych poganów — ożywił się nagle i sprostował, twarz mu zagrała nienawiścią i przemienił się

zgoła nie do poznania. — I tyle od nich wycierpiałem, że teraz przed każdym krzyżem, przed każdą figurą i przed każdym kościołem proszę Boga o mor i zarazę na tych katów przeklętych. I nie opowie ludzkim słowem, co tam nasz naród wycierpi. Takiej męki nie było od stworzenia świata!

— Franuś, nie szarp się, bo cię znowu rozboli. Ja pani gospodyni opowiem. Wicuś, bój się Boga, ostatnie łachmany podrzesz — strofowała chłopca, któremu właśnie było widać tylko nogi spod łóżka; wczółgał się tam za królikami. — Mój był szwajcarem w fabryce, w miasteczku Łodzi. Chłop był na pokaz, a nie takie chuchro, jak go pani gospodyni widzi. Dobrze nam było, Wicuś chodził do szkoły fabrycznej. Mieliśmy trochę odłożonego grosza, mieszkanie, opał i światło darmo, nie brakowało nam niczego. Samych poduszek miałam cztery i dwie pierzyny, nie przymierzając jak te — wskazała z dumą na łóżka. — I nikomu ani, powstało w głowie, że może zmienić się na gorsze. Aż tu nastąpiła wojna. Fabryki stanęły. Bitwy grzmiały coraz bliżej i kto mógł, z miasta uciekał. Naród bał się Niemców gorzej od zarazy. Kalisz mieli wszyscy w świeżej pamięci. Nasz fabrykant zawołał męża i powiada: nie bój się, Przytyk, i pilnuj mi fabryki. Niemcy naród porządny, nikomu krzywdy nie zrobią, grzecznie tylko z nimi. Dał nam sporo pieniędzy i wyjechał do Warszawy. Kto czyj chleb je, tego słuchać powinien.

Niezadługo przyszły straszne bitwy. Dziś był górą Niemiec, jutro Moskal; przewalali się przez miasto, jak ta burza. W końcu zapanowali Niemcy. Uspokoilo się. Zaprowadzili swoje porządki. Skóra cierpła, co wyrabiali z ludźmi. Płacz tylko usłyszał w mieście i przekleństwa. Nędza zaczęła biedny naród żreć do żywego mięsa. Jakiegoś dnia zajechały przed naszą fabrykę ogromne wozy z niemieckimi żołdatami.

»Otwierać bramę!« — krzyczą. Mój otworzył posłusznie. Gdzie składy? Pokazał. Cały tydzień wywozili! Na tysiące tysięcy wzięli gotowego towaru. Płacili kwitami. Potem zabrali z farbiarni kotły miedziane i rury; potem wszystkie pasy, a w końcu co najlepsze maszyny. Zostały gołe mury! Niejeden z naszych robotników zapłakał po fabryce, jakby po jakim nieboszczyku. Nie było czego pilnować. Może w tydzień potem jakieś dwa żandarmy zajrzały do naszego mieszkania. Akuratnie w domu nie byłam. Weszli, a starszy zaraz krzyknął do drugiego: »Zabieraj pościel, przyda się nam na kwatery«. Mój mąż się oparł. Rabunek w biały dzień, na jego oczach! Cóż by to człowiek był wart, żeby swojego nie bronił. Mocny był, rozwalił któremuś łeb stołkiem, ale w końcu przemogli go, sponiewierali i okutego w kajdany powieźli do więzienia i pod sąd oddali! Za to, że swojego bronił! Niechże kto zrozumie!

Przyleciałam już po wszystkim. Mieszkanie stało puste, bo czego nie zrabowali Niemcy, rozkradli złodzieje. Nie dbałam o to, szło mi o męża. Cóż, kiedy nie pomogły żadne starania ni prośby. Łacniej uprosić kamienie, niżli tych katów. Nawet nie pozwolili mi się z nim zobaczyć. Wywieźli go do robót. Przez dwa lata pracował przy okopach na ruskim froncie. Było ich tam takich polskich nie-szczęśników ze dwa tysiące. Żywili gorzej, niżli to mógł pies wytrzymać. Sypiali w nieopalanym szopach; za każdą skargę płacili kijami, a któren uciekał i złapali go, dostawał kulę w łeb. Chorych nie leczyli. Wyzdrowiał, to dobrze. Konających często razem z trupami wrzucali do wspólnego dołu. Mój wytrzymał w tej katordze całe dwa lata, że to człowiek był młody, zdrowy i mocny. Zdarł się jednak w końcu na łachman i kiedy już był do niczego a zdychać nie chciał, odesłali go z takimi samymi kalekami z powrotem do Łodzi.

Zima przeszłego roku była ciężka. Przywieźli ich na stację i rzucili pod szopę. Połowa już była zmarznięta na śmierć. Na własne oczy widziałam i póki życia nie zapomnę. Leżeli na kupie, niby lodowate kloce. Reszta dogorywała, czekając Boskiego zmiłowania. A wyglądali, że niepodobna było nikogo rozpoznać. Męża wyciągnęłam na pół żywego, w ranach był cały i z odmrożonymi nogami.

Jeno po głosie doszłam, że to on. Dużo byłoby powiadać, dużo. I com wycierpiała, to już na Boskim sądzie opowiem, bo tylko Pan Jezus może się nad nami ulitować i Niemców sprawiedliwie pokarać za tyle krzywdy polskiego narodu. I pokarze ich, pokarze! — dodała, podnosząc pięść ku niebu.

Brudzowa słuchała zdrętwiała tej prostej a tak straszliwej litanii.

Długo siedzieli w milczeniu, gdy jakiś chłopak zakrzyczał przez okno:

— Niemcy we wsi! Zajechali do proboszcza! — i poleciał z nowiną dalej.

— O wilku mowa, a wilk tuż! — Brudzowa krzyknęła.

— Uciekajmy! Wiciu, Franek, uciekajmy choćby do lasu! — odchodziła od zmysłów.

— Czegóż się boicie? — wystąpiła Brudzowa. Cóż to wam zrabują? Tylko gospodarzy może spotkać nowa bieda. I gdzież to pójdziecie na taki mróz i śniegi?

— Nieszczęście ciągnie z nimi, nieszczęście! — szeptała śmiertelnie wystrachana, gorączkowo okręcając w łachmany siebie i swoich. I nie dała sobie wyperswadować. Wynieśli się śpiesznie, chyłkiem, niby tropione zwierzęta, i bokami przebierali się ku borom.

Adam, posłyszawszy nowinę, przyleciał uspokajać żonę.

— Czego oni mogą chcieć od proboszcza? A może o te dzwony, co?

— Każą zapłacić karę i na tem się skończy — bagatelizował z rozmysłem.

— A może będą szukali?

— Znajdą to pod śniegiem? Dobrze schowane i ziemia zmarznięta.

— A może przyjechali po to niedostawione żyto? — niepokoiła się coraz głębiej.

— Nie dalim, to nie damy — rzekł twardo. — Żeby im odstawić wszystko, co chcieli, toby w żadnej chałupie nie zostało nawet na barszcz. Niedoczekanie!

— Mogą wieś pokarać za nieposłuszeństwo! — spojrzała przetrwożona.

— A mogą! Ale dobrowolnie nikt tym zbójom nie da i jednego ziarna.

Zerwał się gwałtownie i, poleciał na wieś zasięgnąć języka; powrócił rychło i jakiś nieswój.

— Jeszcze siedzą u proboszcza. Cztery wozy ze żołdatami stoją pod karczmą.

— Darmo niemi nie przyjechali. Że to nikt ze wsi ani zajrzy!

— Bo wszyscy zlecieli się pod kościół i patrzą w Niemców, jak wrony w gnat.

Przestali rozmawiać, udręka przegryzała im serca, ogarniał niepokój. Kobieta zasiadła do warsztatu, cóż, kiedy robota dziwnie jej nie szła, czółenko wyslizgiwało się z rąk, plątała się przędza, myliły kolory wełny i coraz trwoźniej wyglądała oknem.

Adam, nie wiedząc czego się jąc w chałupie, poszedł w podwórze, zajrzał do inwentarza, zboże, omłócone przed południem, schował pod słomę. Kopnął w głuchej złości psa i, zabrał się do rąbania drzewa pod szopą. Robota mu jednak szła źle i, poszczerbiwszy

siekierę na sękach, rzucił wszystko i poleciał na drogę nasłuchiwać i patrzeć. Wieś była długa i kościół stał właśnie na drugim końcu a tak przysłonięty, przydrożnymi sokorami, sadami i chałupami, że niepodobna było nic dojrzeć. Jeno jakieś wrzawy leciały w mroźnym powietrzu.

Pełen głuchych obaw, zabrał taczalnik do sieni, żeby na nim wygładzić poszczerbioną siekierę, gdy pokazała się w opłotkach Grzelowa.

— Czekaliśmy na was. Rozmówcie się z moją i sprowadźcie choćby jeszcze dzisiaj.

— Niemcy rabują po chałupach — wyrzuciła zadyszana.

— Zabierają, co im tylko wpadnie w pazury. U Górków zabrali zboże, dwie kopy jajek i płótno.

Brudzowa, wywarłszy drzwi, stanęła w nich, jakby spiorunowana.

— Widzieliście czy wam powiadali? — żgnął ją drwiąco.

— Wszyscy widzieli, jak wynosili na wozy. Na oczach całej wsi grabią.

— To będzie, co Pan Bóg da! — mruknął, zabierając się do naostrzenia siekiery.

Kobiety weszły do stancji. Grzelowa była już w latach, ale jeszcze w sobie krzepka, obrotna i zdrowa. Włosy miała siwe, oczy jak tarki, twarz poznaczoną ospą i wszystkie zęby. Wdowa po wielu mężach i chociaż odumarły ją wszystkie dzieci, a nigdy nie wiedziała gdzie będzie spać i kto ją przygarnie, serce miała dobre i humor.

Ogrzała się przy ogniu, nie omieszkując przy tym opowiedzieć wszystkiego, co tylko zasłyszała na wsi, nie miała jednak zwyczaju obgadywania ludzi.

Brudzowa, zajęta tkaniem, odpowiadała tylko niekiedy, półsłówkami.

— Tyleśmy przetrzymali, to, da Bóg, przetrzymamy i Niemców!
— rzekła.

— Święta prawda! — przytwierdziła, podchodząc do warsztatu.
— Piękny wełniak.

— Nie darmo powiadają, jako w okolicy żadna piękniejszego nie utka.

— Klimkówny robią, jakich nigdy nie zobaczy. Do Warszawy je wozili.

— A Sułkowa wczoraj rzekła: »Brudzowa może robić pięknie, bo ma w domu spokój i o nic ją głowa nie zaboli«. Po prawdzie, to niejedna zazdrości wam męża...

— Bo i lepszego nie znajdzie na świecie. A to co znowu? Dzwon nagle zahuczał.

— Komuś przedzwaniają na lekkie skonanie, ale komu?

— W jedną stronę biją, to na trwogę. Pewnie się gdzie pali. Polecę zobaczyć.

Ale Adam, przykazawszy jej pozostać przy żonie, sam się wybrał na wieś.

Dzwon jęczał ponuro i na jego rozgłośne wołania wszystka wieś wybiegała przed chałupy. Zaroily się naraz drogi, obejścia i opłotki. Powiała zgroza. Wybuchnęły trwożne szlochania i wrzaski, jakby przy jakimś zbójcekim napadzie.

A w czystym, mroźnym powietrzu dzwon jęczał coraz prędzej i rozpaczliwiej, aż włosy powstawały na głowie; ludzie martwieli w śmiertelnej trwodze, nie wiedząc, z której strony uderzy na nich nieszczęście. Wszyscy patrzyli ku kościołowi, gdzie byli Niemcy i skąd rozchodziły się gniewne krzyki i lamentacje.

Jeszcze się nie pomiarkowali, co to wszystko znaczy, kiedy sołty-sowe chłopaki zaczęły biegać po chałupach i coś cicho nakazywać i przedstawiać.

A nie wyszło i »Zdrowaś«, gdy wieś jakby nagle przecknęła z martwoty.

— Nie damy się tym zbójom! Pod kościół! Nie damy się! — poleciał zgodny krzyk.

I wraz, kto jeno Boga czuł w sercu a krzepę w kościach, chwycił, co miał pod ręką, i leciał na Niemców pod kościół. Zasię kobiety, starce i wyrostki wyprowadzali na gwałt co lepsze konie i krowy, i popędzali je drózkami za stodołami ku lasowi. Taki strach poszedł, że poniektóre wносиły toboły z pościelami, pędziły stadka gęsi, a jakaś, modląc się w głos, z płaczem popychała tuczonego wieprza.

Tymczasem na placu przed kościołem, gdzie szeroko rozwartym półkolem siedziały chałupy pochowane w sadach i, przysłonięte topolami, zieleniały na śniegach ogromne wozy, pod strażą zbrojnych niemieckich żołnierzy. Bowiem za niedostawione w nakazanej ilości zboże rekwirowali po domach co im tylko wpadło w garście.

Ograbiali w ten sposób chałupę po chałupie, nie przepuszczając nawet sztukom domowego płótna, nowym wełniakom i połciom słoniny.

Okradane gospodynie krzyczały wniebogłosy, pomstując na czym świat stoi i wzywając pomocy, ale nikt nie śmiał się sprzeciwić, bo kolby tłukły niemiłosiernie i nastawione bagnety trzymały wszystkich w respekcie.

Jakiś starszy, z cygarem w czerwonej, tłustej gębie, siedział najspokojniej w saniach i dopiero, gdy nagle zahuczał dzwon i ze wszystkich stron zaczęli się zbiegać ludzie, wydał jakiś rozkaz skrzekliwym głosem i rozglądał się złymi oczyma.

Cizba nastąpiła z minuty na minutę i coraz ciaśniejszym kołem. I na widok tego, co się dzieje, wzburzenie zaczynało wszystkich

ogarniać. Raz po raz wybuchał głuchy pomruk, zrywały się głośne przekleństwa i tłum kołysał się, niby wzbierająca powoli woda. I chwiały się groźnie nad głowami żelazne widły, cepy, okute łusnie, a nawet gdzieniegdzie i kosy. Stali niezdecydowani jeszcze i chwiejni.

Jeno baby, jazgocąc coraz zapalczywiej, wykrzykiwały namiętnie i urągliwie zarazem:

— Nie dajcie się, chłopcy! To wstyd! Nie dajcie swojego! Stoją juchy, kiej te barany!

— Portki wam pościągają i wy im pozwolicie! A do kądzieli, piecuchy jedne!

— W sam raz wam na niemieckich parobków. Ruszta się wałkownie, i brońcie swojego!

Zawrzało naraz w gromadzie, pomruk poszedł, jakby bór zagadał, zaświeciły oczy, zacisnęły się pięści, gniew jął czerwienić twarze i rozpierać serca i ponosić, już w pierwszych szeregach zaszeptano, jakby uderzyć, a sołtys, wypychając naprzód zbrojnych w kosy, widły i drągi, nawoływał zajadle:

— Kupą chłopcy! Przez łby walić, nie oszczędzać! Kupą i prędko, nie zdążą wystrzelić.

I byłoby niechybnie przyszło do pogromu Niemców, gdyby w ostatniej chwili nie zjawił się proboszcz, który jął na wszystkie świętości prosić, zaklinać i błagać.

— Ludzie, zmiłujcie się nad sobą! Miejcie litość nad kobietami i dziećmi. Pobijecie tych złodziejów a jutro przyślą cały pułk, wieś do cna ograbią, spalą, was rozstrzelają, ziemię zagrabią i wasze żony i dzieci pognają w niewolę. Skargę napiszemy, sam z nią pojedą do Warszawy. Tak zrobili w Zamościu i wyszło im na dobre.

Stary był, uważany i takim przejmującym głosem molestował, i tak płakał, i tak białe, bezsilne ręce łamał, że, chociaż z ciężkim sercem, rad jego posłuchali.

Dzień się też już był kończył, słońce ogromne, jakby przesycone krwią, spadało na bory, śniegi pokryły się czerwonym zarzewiem brzasków, a drzewa kładły długie, granatowe cienie. Mróz brał siarczysty, śnieg skrzypiał pod nogami.

Ludzie się porozchodzili, że tylko tu i owdzie w opłotkach czerniała jakaś gromadka, bacznie śledząca obroty Niemców, którzy czy z racji wieczoru, czy też z innych przyczyn, zaczęli pomijać biedniejszych gospodarzy, rekwirując tylko u samych najbogatszych.

Słońce już się było schowało w połowie, kiedy wozy stanęły przed Adamową chałupą.

Czekał w progu spokojny na oko i w sobie zwarty. Maryś dygotała za nim, jak liść.

— Nie dostawiłeś pięć metrów żyta! — czytał mu z książeczki starszy.

— I nie dostawię, bo nie mam! — odrzekł twardo, nieustępliwie.

— Zobaczymy! Zrewidować chałupę! — zakrzyczał w złości, niezgorzej po polsku. — A jak się pokaże inaczej, skonfiskuję zboże i zapłacisz karę. Rozumiesz?

Niemieckie pacholy rozpełzły się po chałupie, jak plugawe robactwo, myszkując po wszystkich kątach, wzbijając drzwi, skrzynie i szuflady.

Starszy wszedł do izby i, zapaliwszy nowe cygaro, grzał się przy kominie.

Adama zawołali do stodoły, nakazując mu wyrzucić słomę ze sąsiek na klepisko.

— A róbcie sobie sami, kiedy wam tego potrzeba! — przejął go jednak strach.

Skłęli go serdecznie a tak żarliwie zabrali się do poszukiwań, że znaleźli pod słomą pięć worków pszenicy i parę ćwiartek jęczmienia.

Zbladł, jak trup, ale nie odezwał się.

— Ty polska świnio! Ty psie! Ty oszuście! — wymyślali kiepską polszczyznę. — Ty złodzieja, ty głupia chłopa! My zjemy twoja pszenica! Gruba kara cię czeka!

Ścierpiał obelgi, ścierpiał rabunek i chociaż serce mu się rozdygotało nienawiścią, krew zalewała oczy, gniew porywał, że byłby ich szarpał zębami, spokojnie patrzył, jak wynosili worki na wozy. I również spokojnie wysłuchał jeszcze gróźb starszego, który przyleciał do stodoły i pięściami mu wytrząsał pod nosem.

— Pięć korcy pszenicy! Całe pięć korcy! — zaskowyczał w nim straszliwy żal i, wyszedłszy za stodołę, patrzył na odjeżdżającą zbożeką karawanę dotąd, dopóki mu nie zniknęła w zmierzchu i oddalonych. I jakoś nie pilno mu było do izby! Nie wiedział, jak powiedzieć o tym nieszczęściu żonie, żeby się zbytnio nie zmartwiła.

Gorączka nim trzęsła, po kościach chodziły ognie, że i woda ze studni nie pomogła.

Jeszcze raz wyrzwał na drogę i dopiero poszedł do domu.

W izbie było ciemno i jakoś dziwnie cicho.

— Maryś! — zawołał, sądząc, jako poszła do komory albo na górę. Odpowiedział mu słaby jęk, jakby gdzieś spod ziemi.

Zapalił światło. Maryś leżała na podłodze, sina, z otwartymi oczyma, a zgoła nieprzytomna. Leciała mu przez ręce, niby woda, kiedy ją przenosił na łóżko; skropił jej twarz — ani drgnęła; potrząsał, przywoływał najczulszymi słowy — nic nie pomagało, leżała jak nieżywa. Włosy mu powstały na głowie i pochwyciła taka rozpacz, że, wybiegłszy przed chałupę, zakrzyczał rozpaczliwie.

Zbiegli się sąsiedzi, przyleciała i Grzelowa, wysłana jeszcze za dnia do sklepiku. Sprowadzono wreszcie starą Borucinę, znającą się na kobiecych słabościach, i ta, po długich trzeźwieniach rozmaitymi sposobami, przywróciła nareszcie omdlałą do życia. Ale wnet pochwyciły ją straszne bóle przedwczesnego porodu.

W izbie zapanowały przeraźliwe jęki. Śmierć zdała się zaglądać przez szyby.

Adam kręcił się nieprzytomnie po podwórzu, zaglądał do krowy, siedział czas jakiś przy koniu, to stał pod oknem i zamierającym sercem nasłuchiwał.

Dziecko urodziło się nieżywe. Przyjął to z pozorną rezygnacją, dopytując się jeno babki o zdrowie żony. Stara, w odpowiedzi rozłożyła bezradnie ręce.

Ale po jakimś czasie zawołano go do chorej. Maryś, przygarnawszy się do niego, jak dzieciątko, wybuchnęła strasznym płaczem.

— Ten zbój zabił moje dziecko! Zabił! — szeptała wśród nieustających łez. I nic więcej nie potrafiła ze siebie wydobyć, bo przyszła na nią gorączka tak wielka, że o Bożym świecie zapomniała mającąc tylko nieprzytomnie.

— Nic nie potrafię wymiarkować, co się jej stało — głowił się Adam.

— Moiściewy, a gdzie się to podział wełniak — wykrzyknęła naraż Grzelowa, wskazując na pusty warsztat.

Istotnie, wisiały tylko strzępy nici przeciętych, wełniak zginął.

— Kto to mógł zrobić! Niemcy, bo któż by? O ścierwy zapowietrzono!

Te przypuszczenia potwierdziła Brudzowa, gdyż w parę dni potem, przyszedłszy nieco do siebie, powiedziała słabym, ledwie do słyszalnym głosem:

— Poszło o wełniak. Niemiec chciał mi go zabrać, juści, co nie dałam, to mnie przez złość trzasnął w łeb, skopał i swoje zrobił. Szkoda mi wełniaka, szkoda!...

Adam zadrzał; czerwona gęba z dymiącym cygarem jak żywa stanęła mu w pamięci.

— Skopał cię, z tego twoja choroba. Wyzdrowiej, a już się ja z nim porachuję...

Ale Maryś jakoś nie zdrowiała, przeciwnie, było jej coraz gorzej; słabła z dnia na dzień, krwotoki nie ustawały i trawiła ją silna gorączka. Sprowadził z miasta doktora; nie pomógł. Przywiózł spod Łodzi sławnego znachora; na nic się również nie zdało. Wreszcie zakupił uroczystą mszę do Przemienienia Pańskiego, dziadom rozdał szczodłą jałmużnę i całe nabożeństwo leżąc krzyżem, błagał o zmiłowanie. Wprawdzie potem Grzelowa znajdowała w chorej zmianę na lepsze, lecz on nie potrafił się tego dopatrzeć. A natomiast niechybnie przeczuwał śmierć zbliżającą się do niej pomalutku a nieubłaganie. I dobrze widział żonę co dnia bledszą, słabszą i wątleszą. I dobrze widział, jako jej oczy modre stają się przeźrocystsze, niby te wody coraz płytsze, jako jej wychudzone ręce poruszają się ruchem wiotkich, bezsilnych gałązek, a głos staje się cichy i jakiś zgoła obcy.

Chłop był w sobie zamknięty, twardy i niełatwy do roztkliwień, ale na widok żony odwracał prędko oczy, żeby mu w nich nie zobaczyła rozpaczy; zaśię często nocami, kiedy spała, podkradał się do jej łóżka, z lękiem nasłuchując słabych oddechów.

— Bóg ci zapłać, kiedyś taki pocziwy — szepnęła kiedyś, poczuwszy jego obecność.

— Nie śpisz to? Chciałem ci poprawić pierzynę — tłumaczył się niezręcznie.

— A bo to mogę spać, kiedy mi po głowie chodzą takie myślenia różne...

— Powiedz jej, to może ci ulży! — usiadł na łóżku i pochylił głowę ku jej twarzy.

— A to myślę, że może Pan Jezus karze nas na dzieciach za jakie ciężkie grzechy!

— I, miałyby się Pan Jezus mścić na takich robakach, co? Jakże, karałby niewiniątka!

— Czemu to innym Pan Bóg błogosławi? — przemówiła niezagoloną raną tęsknoty.

— I utrapienia z dziećmi mają po uszy. Choćby nasza Grzelowa, mało się to na swoje napłakała? A dzieci Tomczyków, co? — z rozmysłem podawał najgorsze przykłady.

— Dopust Boży — przerwała mu. — Nasz Waluś miałyby na siódmy, w sam raz do pasienia gęsi.

— Tyle byś miała pociechy, żeby ci gąsięta, pogubił albo pozabił, jak drugie chłopaki.

— Waluś by pozabijał gąsięta, mój Waluś? — protestowała srodze dotknięta. — Taki był cichy, jak ta woda latowa! Sam się całe dni zabawiał. Pamiętam, jak do ognia rączyny wyciągał i niby ta ptaszka piukał: gaga, matulu! gaga! — cichutki szloch zaszemrał w ciemnościach. — A Hanusia miałyby akuratnie cztery lata na świętego Grzegorza. Mój Boże, a jaka była zbytnica, jaka mądrała! — rozmoldła się wspomnieniami.

— Pewnie, usadzała kupy na każdym kroku i darła się, że ciężko było w chałupie wytrzymać! Jużeś zapomniała tych smaków! — bronił się jak mógł od roztkliwień.

Dała więc spokój, lecz kiedy się znowu położył i posłyszała jego chrapanie, przysłoniwszy sobie głowę pierzyną, płakała gorzkimi łzami żalów i wspominań.

Owo tak się toczyły zimowe dni w Brudzowej chałupie, a kobieta zamierała powoli, zasię Adam czerniał i schnął w nieustającej udręce wyczekiwanego nieszczęścia. A przy tym ni sypiał, ni jadał jak się patrzy. Poruszał się, jakby na pół przytomny, bo chociaż chodził koło gospodarstwa, młócił, z lasu drzewo przewoził, a nawet czasami zaglądał do sąsiadów, to pod wiecznym strachem czy się tam co złego nie stało.

— No jakże? — pytał po parę razy na dzień. — Nie lepiej ci to?

— Dochodzę se pomaluśku, dochodzę! — odpowiadała jakby szmerem opadającego kwiatu.

Grzelowa, słysząc takie rozmowy, dziwowała się przed sąsiadkami:

— Wiecie, takiego męża jeszcze na wsi nie spotkała! On świata nie widzi za żoną.

I prawdę rzekła.

W jakiś czas potem zjawił się u Brudzów żandarm niemiecki z nakazem zapłacenia tysiąca marek kontrybucji za znaną u nich pszenicę.

— Mam jeszcze dopłacać do swojej pszenicy? — nie mogło mu się to pomieścić w głowie. — Za to, żeście mi ją ukradli! Niedoczekanie wasze! Żeby nie wiem co, nie zapłacę. Rzekłem! — wybuchnął groźnie do Niemca, któremu właśnie żydek w złotych okularach tłumaczył jego słowa — a teraz fora ze dwora!

Żandarm się rozszrozył, sklął go jak psa, nawet za rewolwer chwycił i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, ale po chwili żydek wywołał Adama do sieni.

— Gospodarzu, dajcie to marek żandarmowi, to nie napisze na was skargi za obrazę.

— Mogę mu dołożyć, ale kłonicą — mruknął zawzięcie. — Panie starozakonny, powiedzcie, że ja podam skargę na jego kamrata za, pobicie mojej żony, że aż poroniła, i za ukradzenie wełniaka!

— I to można. Niemcy naród sprawiedliwy. Jak wy macie rację i pewnych świadków, sprawę wygracie! Ja radzę dać żandarmowi w łapę choćby pięćdziesiąt marek, on musi o swój honor dbać, a wyście mu drzwi pokazali. Może być bardzo źle.

— Ze złodziejami układał się nie będę, panu starozakonnemu dam, a jemu nie dam.

I nie pomogły żadne prośby ni groźby, ni mądre rady sołtysa, ni nawet nalegania żony. A skończyło się na tym, iż mu zabrano konia na pokrycie kontrybucji, a za obrazę żandarma wytoczono mu sprawę. Machnął na wszystko ręką i splunął.

— Konisko było stare — tłumaczył żonie — ślepowe i zółzowate. Nie smuć się, Maryś, niech tylko Niemców wygonią, to ci sprzęgnę galantą parę. Do Łągiewnik na odpust świętego Antoniego zawiezę cię w kasztanki. Akuratnie ma takie na sprzedanie dziedzic w Tkaczewie, trzylatki, ogierek i źrebica. Chciałabyś to, Maryś, co?

— Na intencję wyzdrowienia ofiarowałam się iść pieszo do Częstochowskiej.

— To pójdziemy na pierwszy odpust w Zielone Świątki, pójdziemy — przytakiwał.

Uśmiechnęła się radośnie i, podnosząc głowę, szepnęła z przejęciem:

— Wiosna już niezadługo, przecież to dzisiaj świętej Agnieszki.

— Święta Agnieszka wypuszcza skowronka spod kamyszka, powiadają. Nieprędko jednak wiosna — wyrżał oknem. — Będzie odmiana, bory poczerniały i kurzy z kominów. Jakoż sprawdziły się jego przewidywania, nazajutrz bowiem odmieniło się powietrze,

mróz zelżał i przyszły śniegi, wichry i srogie zamiecie. Całymi dniami gotowało się na świecie, niby w garnku. Śnieżyce przewalały się po polach takie, że nie rozpoznał ni lasów, ni chat, ni dróg, wszystko było białym, wrzącym jak ukrop odmętem.

Wichry wyły rozwścieklonymi stadami, szumiały głucho bory i przydrożne sokory, targając się jako psy na łańcuchach, miotały się wściekłym porykiwaniem. Cała wieś jakby wymarła, bo nie sposób było nosa pokazać z chałupy. Potworzyły się zasy, jak góry, i drogi uczyniły się nie do przebycia.

U Brudzów, ponieważ dom stał na skraju wsi, śnieżyca jeszcze ciężej dawała się we znaki, wichry bowiem waliły w nią dniami i nocami, zanosząc śniegiem pod same strzechy. Adam codziennie musiał się przekopywać przez zasypane śniegiem podwórze, do stodoły i obory. Niepodobna też było myśleć o żadnej robocie na powietrzu, więc przeważnie przesiadywał w izbie zajęty struganiem dzwonów i szprych do wozów, w czym był niemały majster.

Grzelowa krzątała się koło gospodarstwa, zabawiając nieustannym gadaniem chorą gospodynię, która, słuchając piąte przez dzieśiąte, patrzyła w rozkołysane za oknami drzewa.

— To na mnie wołają — ozwała się pewnego razu. — Dusze w czyścicu ostające tak mnie wołają. Rozumiem co do słowa! Czas mi już w tę daleką drogę. Tam stoją moje braty pomarłe, moje ojce i praojce, do okien się cisną, zaglądają.

— Co wam? To wiaterek tak buja drzewinami! — tłumaczyła się Grzelowa.

Adamowi wyleciała z rąk robota, z przerażeniem patrzył w żonę.

— Drzewiny — mówiła z przekąsem. — Ślepiście, kiedy nic innego nie widzicie!

Wicher był nagle uderzył w chałupę, aż obrazy poleciały ze ścian na podłogę.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — przemówiła, rozglądając się przytomnie.

Ale pomimo tego, Grzelowa wyprowadziwszy Adama do sieni, szepnęła trwoźnie:

— Trzeba jej księdza. Może się jeszcze przemienić na lepsze. Nie wiadomo komu z brzegu, komu jednak w drogę, temu czas!

Po południu, kiedy jednak wiatr się nieco uciszył i poprzekopywano zaspy na drodze, przyszedł ksiądz z Panem Jezusem. Ludzi się też nazbierało sporo i zalegli się, a całą kupą dreptali w opłotkach, czekając póki nie otworzą do izby.

Brudzowa, wyspowiadała się przykładowo, przyjęła Komunię i ostatnie Olejów Świętych namaszczenie, pod koniec tak jednak osłabła, że Grzelowa, wsadziwszy jej w rękę zapaloną gromnicę, rozpoczęła odmawiać modlitwy za konających.

Adam stał w nogach łóżka zmartwiały w zgrozie i sam ledwie już dychający.

Jedno tylko rozumiał, że oto Maryś umiera, a on temu przeszkodzić nie potrafi.

— Otworzyć drzwi, niech sobie dusza spokojnie odleci na Jezusowe pola — rozkazała Grzelowa.

Otwarto je na rozcież, ludzi się naszło, poklękali wszyscy, wionął gorący szmer pacierzy, płaczów i szlochań. W żółtym świetle gromnicy twarz konającej zdała się być pogrążoną w jakimś ekstazy omdleniu, leżała bez ruchu. I, ku powszechnemu zdumieniu, jeszcze tego dnia nie odeszła na Jezusowe pola, gdyż po jakimś czasie otworzywszy oczy, dziwnie się uśmiechnęła.

— Jużem się gdzieś niesła i wasze pacierze mnie wstrzymały — szepnęła.

Porozchodzili się, dziwując się zdarzeniu tak szczególnemu i chwając miłosierdzie pańskie. Sołtysowa, wychodząc na ostatku, kazała się Adamowi odprowadzić do drogi.

— To ci rzeknę, byś wiedział: uśnie, jak ptaszek, i nie będzie wiadomo kiedy. I co ty sam poczniesz, chłopaku? — szeptała, pilnie orząc ślepiami po jego zbiedzonej twarzy.

— Tyle gospodarstwa bez gospodyni! Rozkradną cię najemnicy. Weź tylko sobie na rozum...

— Dajże mi ciotka spokój, to grzech! — szarpnął się oburzony i powrócił do mieszkania.

Chora po tylu wzruszeniach i gdy w izbie ucichło i zmrocząło, głęboko zasnęła.

— Mówiłam, po spowiedzi może się odmienić — szeptała Grzelowa, obierając ziemniaki pod kominem. — Bywało, jako ksiądz już Olejami namaścił, dzwony zadzwoniły pozgonne, ludzie oplakali, a chory na drugi dzień o gorzałkę wołał i kiełbasy się dopominał.

— Niech się wasze słowa sprawdzą a dam wam zagon pod len! — obiecywał uroczyście.

— Zawsze na dwoje babka wróży. Nie tak, i nie owak, a jakoś być musi.

Brudzowa nie zawołała wprawdzie nazajutrz o gorzałkę, ale, poczuwszy się nieco silniejszą, spróbowała dojść do komina. Cóż, musiał ją zanościć z powrotem do łóżka.

— To z długiego leżenia nogi zrobiły mi się jakby ze słomy — tłumaczyła. — Niech no sobie odpocznę i podjem co dobrego

a zobaczycie! — powiadała zuchowato.

Radość zapanowała. Adam przyniósł od księdza słodkiego wina, zaś Grzelowa jeła pitrasić przeróżne smaczności: a to jajecznicę, to kielbasę, to gołębie, to kurę, to rosoły i podtykała jak dzieciątku, namawiając czułymi słowy do jadła.

— Jak patrzę, to aż mi ślina idzie — skarżyła się chora — a wezmę do gęby, to jakbym kawałek płótna gryzła! Przełknąć nie mogę!

Smakowało jej wino, dodając nieco sił, że któregoś dnia, kiedy Adam poszedł na wieś, zaczęła się przed Grzelową uskarżać na swoją dolę.

— To nie jest sprawiedliwe, żeby młodzi umierali przed starami.

— Jezusowa wola! — odparła stara nieco dotknięta.

— I do roboty byłam pierwsza, i gospodarce dałam radę, i ludziom pomagałam, i potrzebujących wspierałam, i w służbie Bożej nie byłam leniwa, i dzieci mogłabym jeszcze mieć, boć mi dopiero na trzydziesty rok. Niejedno dobre mogłabym zrobić jeszcze na tym świecie! A tyle biedoty, co się o śmierć skamle, żyje i żyje. Tylu niepotrzebnych nikomu dziadygów, tylu chorych, co ino zapaskudzają chałupy, tylu łajdusów i zbójów! Mój Boże, o takich to jakby całkiem śmierć zapomniała.

— Prawdę powiadacie — przytwierdziła Grzelowa, żując jej słowa niby oset.

— A gospodyni na dwudziestu morgach to przecież nie dziadówka spod kościoła — buntowała się rozżalona. Cóż, bo to jest sprawiedliwość na świecie?

— Śmierć na morgi nie patrzy i dusi, kto jej bliższy z brzegu, zarówno dobry jej dziad proszalny, jak i największy dziedzic. A może to i sprawiedliwe! — wyznała cichutko.

Tak sobie pogadywały przyjacielsko, bowiem Brudzowa czuła się coraz lepiej.

Któregoś dnia, kiedy słońce zajrzało przez okna, poczuła się tak silną, że kazała wyjąć ze skrzyni wszystkie swoje świąteczne przyodziewy. Grzelowa rozłożyła je przy niej na łóżku. Z lubością niezmierną ją przeglądać chusty, staniki, wełniaki, paciorki, zapaski i te przeróżne kobiece przystrojenia.

— Tę pawią kupił mi Adam w Warszawie! — szepnęła, zawiązując chustkę na głowie.

— Mieni się, niby woda we słońcu. Żadna we wsi nie ma nawet podobnej...

— Albo ta żółciuszka ze szlakiem w palmy, co?

— Śliczności, aż oczy bolą patrzeć! — chwaliła ze szczerym uwielbieniem.

Dla mojej dziewczuszki zbierałam — szepnęła żałośnie. — Myślałam: dorośnie i na wiano dostanie te korale po mojej matce, i te prawdziwe bursztyny, i ten krzyżyk z granatów, i te chusty co najśliczniejsze! Inaczej Pan Jezus zarządził, inaczej! I ani dla niej, ani dla mnie! Wszystko trzeba zostawić i odejść! — lzy pociekły jej z oczu.

Grzelowa zabrała wszystko z powrotem do skrzyni.

— Człowiek zgnije pod ziemią, jak ten pies, a któraś dziewczucha we wsi będzie się w moje dobro przystrajała — wybuchnęła skargą. — O dolo człowiekowa, dolo!

Spłakała się strasznie pod wpływem nagle rozbudzonej zazdrości, która nią tak szarpała, że wieczorem późnym, kiedy Adam jak zwykle usiadł przy łóżku, by jej coś poczytać na książce do nabożeństwa, przerwała mu gwałtownie:

— A gdzieś to siedział całe popołudnie? U Kazimierzów byłeś, co? Juści, na Magdę w sam raz będą pasowały wełniaki po mnie. Pewnie, gospodarstwo bez kobiety zostać nie może! Ale to ci jeno zapowiadam — uniosła się gniewem, aż jej twarz spłynęła rumień-

cem i oczy się zaiskrzyły — że od moich bursztynów i koralu wara! Po matce je wzięłam i niech idą ze mną do grobu. Niech zgniją ze mną, a nie dam!

Patrzył na nią tak jakoś smutnie i z taką rozpaczą, że, pochwycawszy jego rękę i tuląc ją do serca, całując i oblewając rzewnymi łzami, zajęczała spazmatycznie:

— Nie pamiętaj, com ci rzekła! Już sama nie wiem, co mi przychodzi do głowy. Tak mi cię żal, Adaś, ostawiać samego, tak mi cię strasznie żal!

Uspokoił ją wreszcie, obtarł załzawioną twarz i wygodniej ułożył na poduszkach.

— Cóżby to Panu Jezusowi szkodziło, żebym pożyła choćby ten jeden roczek! Żebym jeszcze raz obaczyła kwitnące drzewiny i pola na wiosnę! Żebym jeszcze raz poszła sadzić ziemniaki, żebym len posiała i nasadziła kapusty! Żebym się jeszcze raz spiekła na słońcu we żniwa, żebym na Zielną poszła na odpust! Nie dłużej, Adam, nie! Na zimę wszystko bym ci narychtowała jak się patrzy! Prosiaka bym podpasła na słoninę. Przychowałabym drobiu! Grzybów bym ci w boru nazbierała! Kapusty nakwasiła! I na późną jesień niechby mnie sobie śmierć zawołała! Cóżby to szkodziło Jezusowi? Co? — szeptała rozdzierająco.

Nie potrafił długo wytrzymać tych skamlań okropnych; nie potrafił już patrzeć w jej twarz przeżartą w męce, ni w jej oczy pełne niewysłowionych żalów, więc pod jakimś pozorem uciekwszy z chałupy, zapłakał palącymi łzami rozpaczy.

Nie spała jeszcze, kiedy powrócił, i rzekła prosząco:

— Siądź przy mnie. Tak mi się czegoś cni i tak się czegoś boję.

Oddech miała przerywany, ręce lepkie od potu i oczy gorączkowo świecące.

— Ja bym zaraz poznała tego zbója! — buchnęła nienawiścią.

— Jakiego zbója? — niczego się nie dorozumiewał.

— Tego, który zabił nasze dzieciątko i mnie, tego Niemca. Pamiętam go: gęba czerwona i spaśna, wąsy rude, a oczy jak u złego wieprza, maluśkie i żółtawe.

Pamiętam go i ja. Nie bój się, nie zapomnę.

— Ja mu i po śmierci nie daruję, Panu Jezusowi do nóg upadnę o karę na niego. Jak mnie kopnął, to zaraz poczułam, że śmierć wstąpiła we mnie. Nie o mnie idzie, ale o to biedactwo, które jeszcze świata Bożego nie oglądało, a już go ludzie zakatrupili. Ciągle je widzę — obejrzała się błędnymi oczyma — chodzi po izbie, to na moją pierzynę robak kochany się skrobie, a czasem woła: »matulu!«. Prawda, nieraz nie śpię i uważam, za poduszkę ciągnie i do samego ucha powiada: »matulu!«.

Opowiadała z przejęciem i wśród tych szeptów i majaczeń zasnęła cicho.

Nazajutrz znowu poczuła się tak rzeźwą, że rozkazała Grzelowej:

— Wpuście wszystką gadzinę, niechże nacieszę chociaż oczy.

Jakoż izba w mig napelniła się pierzastą hołotą: gęsi, kaczki, kury i gołębie zleciały się z niemałym wrzaskiem i dalejże się bić i gonić za sobą.

— Dajcie mi jęczmienia — prosiła i, otrzymawszy pełną miarkę, jęła słabą dłonią posiewać ziarno na rozchwiane głowy i skrzydła ptactwa. — Użyjcie sobie, niech wam pójdzie na zdrowie. A zgodą, dzieci, zgodą! — upominała dobrotliwie. — Ty wilku, będziesz mi tu rozbijał kokoszki — powstała na gąsiora, odpędzającego kury od ziarna. — Poznał mnie ten zdrajca, poznał — krzyknęła radośnie, kiedy ogromny stary gąsior, kręcąc żmijowatą szyją i sycząc groźnie, jął z podniesionymi skrzydłami podsuwać się do łóżka.

— On mnie znowu pobije, ten zbój! — wołała pełna radosnego lęku.
— Chwal się, głupi, chwal — urągała, gdy gąsior ze zwycięskim gęgotem powracał do stada. — Te siemieniutki powinny już nieść jajka! Koguta trzeba by zmienić: stary i wygląda niby podskubany. Masz się też czem chwalić — zwróciła się do niego, bo właśnie był, stratowawszy dwie kokoszki z rzędu, skoczył na warsztat i piał tryumfalnie. — Rozgłaszaj swoje, rozgłaszaj, ale przed gąsiorem uciekasz! — przyganiała i gdy jej Grzelowa podawała niektórą z kur, każdą ważyła w ręku, macała i, przytrzymując za skrzydła, przemawiała tkliwie: — Nie bój się, głupia, tylko nieś jajka a nic ci się złego nie stanie. Tasiuchny! — ozwała się do paru starych kaczek.
— Paskudne ptaszyska, żreć tylko i żreć, jak te nienasycone wilki!

Zmęczyła się jednak prędko tą niesforną wrzawą i, po wypędzeniu stada, długo leżała, w milczeniu przyglądając się figlom królików, baraszkujących na izbie.

— Grzelowa — nagle sobie coś przypomniała. Śniło mi się dzisiaj, żem się kąpała we strudze za młynem. Woda była płytka i takie piachy, że grzęzłam po kolana...

Skrzywiła się stara: ten sen wydawał się jej złym prognostykiem.

— A ryby widzieliście, co?

— Nie, wodę ino i piachy! I sromałam się, że to byłam nagusieńka!

— Organiścina ma taką książkę, w której stoi, co znaczy każdy sen. Pójdę się spytać. Woda, nago i głębokie piachy! — przepowiadała sobie, żeby nie zapomnieć.

I zaraz po obiedzie poleciała w stronę kościoła.

— Przez posły wilk nie syty — powiedziała organiścina. — Sama jej wyłożę.

Kobieta była chytra, w języku obrotna i, chociaż z przyrodzenia słabowita i pokasłująca, tęgi łykacz i sekutnica. Zaszedłszy do Bru-

dzowej, z miejsca przymówiła się o gorzałkę, a przekąsiwszy chlebem, wyjęła swoją drogocenną księgę.

Chora z bijącym sercem czekała na jej słowa. Adam stał jakiś mroczny.

— Nago po wodzie chodzić — odczytywała uroczyście w senniku — znaczy: choroba! Ale że po wodzie czystej i bieżącej, znaczy też pomyślność i list z pieniędzmi.

— Chyba by Adamowy brat pisał z wojska. Co prawda, on się zawsze dopomina pieniędzy.

— Te piachy — coś mi się nie podobają — wtrąciła Grzelowa srodze zafrasowana.

— Fraszki małe ptaszki! Jeżeli śnią się wysokie i sypkie, oznacza to śmierć, zaś jeśli się przyśnią pod wodą czystą i bystrą, to właśnie wróży zdrowie na długie lata. Gdyby w tej wodzie były ryby, oznaczałyby przeciwności, straty w gospodarce, choroby dzieci — upewniała z uroczystą powagą.

Burdzowa słuchała z wypiekami na twarzy, czepiając się jej słów niby tonący.

— Mój Boże, czego bym ja nie dała, żeby się to sprawdziło! — westchnęła.

— Jesienią sama dziedziczka z Mrozów przysyłała pokojówkę że bym jej wytłumaczyła jeden sen. Wyłożyłam akuratnie i w miesiąc wszystko się sprawdziło. Jak dzieci kocham! Korczyk pszenicy przysłała mi za to.

— Na dwoje babka wróży i łże aż się kurzy! — zaśmiał się Adam. Tak wywarła na niego gębę, że, machnąwszy ręką, wyniósł się w podwórze.

— Te chłopcy to do niczego, żaden nie ma wyrozumienia i dla nich kiełbasa na misce to dopiero rzetelna prawda. Mój taki sam: na-

uczony przecież i z księdzem ciągle przestawa, i gazety czyta, a głupi, jak stołowe nogi. Ani mu gadaj o snach i wróżbach. Do pustego domu wejść się boi, a niczemu nie wierzy.

Przyszły jeszcze jakieś kumy i, tak sobie społecznie ugwarzając, siedziały, gdy o samym zmierzchu zabręczały dzwonki na drodze wprost chałupy.

— Niemcy! — wrzasnęła Grzelowa, wyglądając oknem.

Widać było sanie, a kilku żołnierzy z karabinami wchodziło w opłotki.

— Grzelowa, zawołajcie Adama, prędziej! — rozkazywała wystraszona chora.

Jakiś gruby Niemiec wszedł do izby, tłukąc butami, aż zadygotały sprzęty, za nim weszło dwóch z karabinami. W izbie było zupełnie mroczno.

— Adam Brudz jest? — spytał jakiś ochrypły głos, na który Brudzowa zadrżała.

— Jestem. Czego to! — odpowiedział Adam, właśnie wchodząc do stancji.

— Tu jest rozkaz — trzasnął w rozwinięty papier. — Za obrazę żandarma na służbie masz zapłacić tysiąc marek kary i za opór władzy drugi tysiąc.

— A jak nie zapłacę, to co? — rzucił hardo.

— To ci zarekwirujemy całe gospodarstwo a zapłacić musisz. Hardy jesteś, to my cię nauczymy pokorności. Ostatnią krowę weźmemy! Światła!

Adam, zaświeciwszy lampę, postawił ją na okapie komina.

Ukazała się jasna głowa, twarz tłusta i czerwona, rude wąsy i małe oczki.

— To ten sam! — zakrzyrzała strasznie chora, unosząc się z łóżka. To ten piekielnik, co zabił moje dziecko, to ten zbój zapowietrzony. — Ratunku, ludzie!

Niemiec cofnął się jakby przed widmem, kobiety dygotały pod oknem, żołnierze stali przy drzwiach, Adam przy łóżku żony, która, potrząsając pięścią do Niemca, krzyczała obłądnym, nieludzkim głosem:

— Nie daruj mu! To ten zbój! Za moje dziecko! Za mnie! Nie daruj! Adam, oszalały zgoła, rzucił się z krzykiem na Niemca.

— Ty psie zbójcecki! Za nasze krzywdy! — trzasnął go pięścią w twarz, aż zleciała mu pikelhauba, on zaś, zatoczywszy się na warsztat, rzygnął krwią.

Żołnierze runęli na ratunek. Zawiązała się krótka, straszliwa bitwa.

Kobiety krzyczały wniebogłosy a Brudzowa padła zemdlona. Adam, napadnięty przeważającymi siłami, bronił się z ponurą zawziętością, że w izbie powstał dziki wir tarzających się po ziemi ciał, wrzasków, klątw i chrapliwych, nieludzkich głosów. Chłop był mocny, ale uległ w końcu. Powalili go na ziemię i tak przyrychtowali, że leżał zemdlony i w krwi swojej i cudzej uwalany.

Starszy, przyszedłszy nieco do siebie, popatrzył na niego złowrogo i szepnął:

— Tego ptaszka weźmiemy! Zapłacisz mi! Wstawaj, bydlaku! — kopnął leżącego.

Kobiety oblały go wodą, że otworzył oczy i powstał. Chwiał się na nogach. Noc miał w duszy. Straszliwa nienawiść zatykała mu gardło.

— Wziąć go w postronki! — rozkazywał Niemiec.

— Nie trzeba. Przecież wam nie ucieknę. Pójdę z dobrej woli.

Pozwolili mu się przebrać i wziąć nowy kozuch. Grzelowa naszykowała węzełek. Przystąpił do żony z pożegnaniem.

— Maryś! Maryś! — wydarł z siebie głos, ociekający krwią serdeczną.

Oprzytomniała i, zarzuciwszy mu ręce na szyję, załkała rozpaczliwie:

— O Jezu! Już my się zobaczymy na tamtym świecie! O Jezu! Jezu! Krew jej buchnęła z ust, straciła przytomność.

Adam przykląkł na chwilę przy niej i, błyskawicznie pochwyciwszy siekiereę spod łóżka, schował ją pod kozuch.

— Prędezej! Bo cię każe popędzać! — zakrzyczał Niemiec.

Adam odwrócił się jeszcze od progu. Maryś konała, Grzelowa zapaliła gromnicę i kobiety, klęcząc przy niej, w głos się modliły.

Na dworze pod domem, w opłotkach i na drodze zebrało się już sporo narodu. Odkrywały się głowy, gdy przechodził, wszystkie oczy szły za nim, kobiety szlochały w głos, cichość się uczyniła niby na pogrzebie.

— Zostajcie z Bogiem, braty kochane!

Wsiadł do sani, żołnierze go otoczyli, konie ruszyły z kopyta.

Noc się zrobiła. Wjechali w lasy. Konie szły coraz wolniej, bo śniegi leżały ogromne i droga mało była przetarta. Siedział we środku sań. Na przodzie, twarzami do koni siedziało dwóch z karabinami, a z tyłu dwóch miało go na oku. Nikt się nie odzywał. Mróz brał niezgorszy, śnieg skrzypił pod płozami. Niebo wisiało ciemne i jak by nabite gwiazdami. Droga wiła się leśnymi gąszczami, że z obu stron stały ogromne świerki zasypane śniegiem i raz po raz jakaś gałąź trącała go w głowę. Skulał się w sobie i zwierzał coraz potężniej, nie czuł ran ni bólów. Marzył jeno coś dziko i strasznie. Marzył o zemście, a co podniósł oczy, to spotykał złowrogie ślepie wroga.

Czekał okazji. Nieznacznie dotykał ręką siekiery. — Nie, nie pora jeszcze! — nakazywał sobie.

Las się skończył, szły puste, zaśnieżone pola, potem jakieś wsie z oświetlonymi oknami. Droga była daleka, przeszło pięć mil, i nużąca, Niemcy zaczęli drzemać, widział jak jeden i drugi kiwają się na strony. I konie też ustawały. Czujnymi oczyma dojrzał wszystko i wiedział już, co zrobi. Żeby uspić ich czujność, zaczął półgłosem odmawiać pacierze i bić się w piersi. Tym ruchem opuścił siekiere do nóg i mocno ujął za stelisko.

Aż przyszła nareszcie wymodlona pora.

Wjechali znowu w bór na drogę prawie ciemną, pod rozłożyste drzewa. Konie wlokły się krok za krokiem. Niemcy drzemali.

Porwał się nagle i jakby piorunem trzasnął siekiere w łeb Niemca: padł bez jęku; drugim ciosem również błyskawicznym, zabił drugiego; wykręcił się i, nim trzeci zdążył porwać za karabin, ciął go, w kark, aż mu krew trysnęła na twarz. Czwarty zeskoczył z sań i strzelił, chybił jednak. Adam rzucił się na niego, niby żbik rozjuszony, i ciął go przez twarz. Zwalił się z wrzaskiem na śnieg. Trwało to wszystko krótką chwilę i czterech Niemców leżało martwych, porąbanych jak w szlachtuzie.

— Mróz was dokończy — szepnął mściwie, patrząc na ich ostatnie drgawki. — Co teraz, co? — podniósł oczy w niebo. — Uciekać! Uciekać! — wrzasnął w nim jakiś mocny głos. — A gdzie i po co? Będą ścigali, niby wściekłego psa, i złapią. Maryś już musiała umrzeć! Gdzie się będę tułał? — Zbrzydło mu już wszystko. Nie może wrócić do chałupy, to już mu choćby śmierć. Zemścił się za swoje krzywdy! Napił się tej zemsty po gardło.

Ułożył trupy na saniach, niby martwe kloce, i ruszył do miasta.

Rozmyślał jeno o Marysi i popłakiwał z wielkiego wzburzenia.

Ani widział, jak o świtaniu konie same stanęły przed urzędem niemieckim. Powstał straszny gwałt, zbiegło się całe miasto. Adam opowiadał wszystkim, jak się to stało, nie ukrywając niczego.

Wzięli go do kryminału, zakuli w kajdany, dostał Nr 437. A w parę dni sąd wojenny skazał go na rozstrzelanie.

Uśmiechnął się i wyrzekł do sędziów z dzikim tryumfem:

— Jednego zabiłem za żonę, drugiego zabiłem za dziecko, trzeciego za konia, czwartego za siebie! A wy mnie tylko jednego! Cóż mi zrobicie? Możecie mnie jeszcze pocałować gdziesik.

Wyszedł z podniesionym czołem i nawet nie pozwolił zawiązać oczu.



KONIEC

— POSŁOWIE —

Za frontem Władysława Reymonta wpisuje się nie tylko w cykl spotkań związanych ze stuleciem Nagrody Nobla dla polskiego pisarza, które przypada 13 listopada 2024. Przypomina nam też o przeżyciach mieszkańców wsi podczas I Wojny Światowej – Wielkiej Wojny, jak za historiografią zachodnią zaczynamy nazywać działania zbrojne lat 1914–1918. Wprowadzie istnieje w całej Polsce „Szlak Frontu Wschodniego I Wojny Światowej”, wytyczony dziesięć lat temu na stulecie wybuchu, dźwięczą nam jeszcze słowa wypowiedane podczas licznych konferencji naukowych, spotkań i koncertów. Bibliografia książek i artykułów przygotowanych na rocznicowe okoliczności w muzeach mazowieckich, w tym w Muzeum Niepodległości i Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, jest obszerna, nieustannie poszerzana i wciąż aktualna. Nie znamy szerzej naturalistycznych opisów cierpień, jakie przechodziła ludność polska w tych tragicznych dniach, zanotowanych przez Reymonta. Szlaki turystyczne zajmują się zazwyczaj kierowaniem naszej uwagi na zabytki kultury materialnej, w tym przypadku na twierdze, pola bitwy, nawet więzienia. Dzięki rocznicowym przypomnieniom odnowiono cmentarze wojenne, przywołano tragiczne dzieje wiążące się z przedstawicielami naszego narodu, głównie chłopstwa, walczącego na frontach po stronie zaborców,

gdzie „brat strzelał do brata”. Niewiele jednak miejsca zajmowała w tych rocznicowych obchodach twórczość pisarska.

Bogata literatura zachodnioeuropejska, znana i przypominana, nie stawała się przyczyną zainteresowania rodzimych wydawców i naszych krytyków czy historyków literatury. Wydawano raczej monografie historyczne oraz wspomnienia. Warto przywołać jednak niektóre pozycje literatury pięknej: Erich Maria Remarque, *Na zachodzie bez zmian*; Blaise Cendrars, *Odcięta ręka* oraz *Rażony gromem*; Louis-Ferdinand Céline, *Podróż do kresu nocy*; Ernest Hemingway, *Pożegnanie z bronią*; Joseph Roth, *Marsz Radetzky’ego*; Jaroslav Hašek, *Przygody dobrego wojaka Szwejka podczas wojny światowej*; Kazimierz Sejda, *C.K. Dezerterzy*. Mamy też polskie przykłady literatury inspirowanej wojną: Julian Strykowski, *Austria*; Leopold Buczkowski, *Kąpiele w Lucca*; Józef Wittlin, *Sól ziemi*. Zupełnie nieznana jest obecnie proza naszego noblisty dotycząca okresu pierwszej wojny światowej, warto więc przypomnieć *Za frontem*.

Ten zbiór opowiadań wyszedł u Gebethnera i Wolffa w 1919 roku, a więc zawiera literacko przetworzone spostrzeżenia z ostatnich miesięcy. Reymont zresztą starał się umiejscowić precyzyjnie niektóre utwory, podając konkretne daty powstania: *Na Niemca* – 17 grudnia 1914, *Dola* – 16 stycznia 1917, *Za frontem* – 20 października 1918, *Echa* – 28 listopada 1918.

Publikujemy wersję autorską tego zbioru, niewiele zmieniając w zapisie słownictwa, pozostawiając w większości oryginalną składnię. Nie badamy też warstwy językowej tekstu, nie porównujemy z naukowymi opracowaniami związanymi z dialektologią. Autor miał swoisty, oryginalny styl, sam tworzył neologizmy języ-

kowe, które z czasem przenikały nie tylko do języka literackiego. Dzisiaj wiele słów z utworów Władysława Reymonta zaadaptowały różne gwary.

Już w 2008 roku konwent marszałków kilku województw zdecydował o tworzeniu przestrzeni pamięci o I Wojnie Światowej. Osiem województw: mazowieckie, łódzkie, podlaskie, warmińsko-mazurskie, świętokrzyskie, lubelskie, małopolskie, podkarpackie podpisało list intencyjny w sprawie „Szlaku Frontu Wschodniego I Wojny Światowej”. W dokumentach pisano o poprawianiu konkurencyjności regionów jako atrakcji turystycznej i kulturowej oraz przygotowaniu profesjonalnej informacji dla turystów. Powstał głównie szlak samochodowy. Korzystanie z tej atrakcji polega na odwiedzaniu różnych pomników historii związanych z przebiegiem działań wojennych. Przygotowując tę propozycję dla turystów wzorowano się na francuskich rozwiązaniach zastosowanych w okolicach Verdun, gdzie odbyła się jedna z największych bitew Wielkiej Wojny. Do pomysłu związanego z turystyką kulturową warto dołączyć literacki zapis tamtych dni.

W Europie tworzone jest Muzeum Wielkiej Wojny, powstała stała konferencja pod nazwą „Zarządzanie Dziedzictwem Pierwszej Wojny Światowej”. Projekt jest realizowany w ramach „Wielowymiarowego i transgranicznego modelu zarządzania na rzecz aktywizacji dziedzictwa I wojny światowej w celu wspierania zrównoważonego rozwoju społeczno-gospodarczego odległych terytoriów Europy Środkowej”. Przekładając powyższe na język zrozumiały i praktyczny warto stwierdzić, że w Gorlicach powstaje nowoczesny obiekt muzealny upamiętniający ofiary Wielkiej Wojny, pełniący też funkcje informacyjne, edukacyjne i badawcze. Ważną częścią programu

tworzonej instytucji będzie też ochrona materialnego i niematerialnego dziedzictwa tego okresu.

Mało znane opowiadania Władysława Stanisława Reymonta, wydane po raz pierwszy za życia Autora, wpisują się w projekt inicjowany przez władze Gorlic, miasta związanego historycznie z przełamaniem frontu wschodniego w maju 1915 roku. W polskiej historiografii Bitwa Gorlicka ma swoje naukowe udokumentowania, cmentarze wojenne i miejsca upamiętnień funkcjonują w pamięci zbiorowej Podkarpacia. Warto, by to dziedzictwo było obecne również w świadomości europejskiej.

Za frontem W. S. Reymonta było wydane w okresie międzywojennym w Brazylii z podtytułem *Opowieść z czasów wojny*, jako 6 tom „Biblioteki Osadnika” (Wyd. „Gazeta Polska”, Kurytyba, Parana, 1939). Kolejne wydania w Polsce miały inny tytuł, zapożyczony ze znajdującego się w tym tomie opowiadania *Pęknięty dzwon*. Tytułowe opowiadanie, posiadające autorskie datowanie na 2 października 1914, dało początek zbiorowi, jaki wydano nakładem Wydawnictwa Polskiego, sygnowanego dwoma miastami: Lwów i Poznań, w 1927 roku. Kolejne edycje miały miejsce w następnych latach. Czwarte wydanie, dostępne w wersji cyfrowej w „Polonie” Biblioteki Narodowej, ukazało się w serii „Biblioteka Laureatów Nobla”, tom 30, redagowanej przez Stanisława Wasylewskiego, w roku 1938.

Współcześnie zbiór opowiadań Reymonta zatytułowany *Za frontem* dostępny jest wyłącznie w księgarniach cyfrowych, w postaci e-booka, edytowanego przez wydawnictwo Avia Artis (2021).

Tadeusz Skoczek

Koordinacja pracy redakcyjnej

Janina Tomczyk

Administracja

Dorota Dobrońska

Promocja

Dorota Panowek

Projekt graficzny serii

Natalia Roszkowska

ISBN 978-83-67398-96-1

Wydawnictwo Muzeum Niepodległości

(identyfikator wydawnictwa naukowego 42 700)

al. Solidarności 62; 00-240 Warszawa

wydawnictwo@muzn.pl

Realizacja poligraficzna

Fundacja im. Władysława Orkana

Nakład 200 egz.